

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 3/233

1967



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

L. TYRMAND : **PORACHUNKI OSOBISTE**

J. CZAPSKI : **" KOŚĘ ZAPLEŚĆ "**

M. GARDER : **KONFLIKT CHIŃSKO-SOWIECKI**

E. BETTIZA : **U SCHAFFA I KOŁAKOWSKIEGO**

SPIS RZECZY

Leopold Tyrmand:	<i>Porachunki osobiste</i>	3
Józef Czapski:	<i>„Kosę zapleść”</i>	40
Danuta Mostwin:	<i>Dwie czarne prababki</i>	51

W I E R S Z E

Wacław Iwaniuk:	<i>Nowe wiersze</i>	68
-----------------	---------------------------	----

ARCHIWUM POLITYCZNE

Michel Garder:	<i>Konflikt chińsko-sowiecki</i>	73
Londyńczyk:	<i>Kronika angielska</i>	77

S A S I E D Z I

—	<i>Charakterystyczny dokument</i>	87
J. Ł.:	<i>Na Ukrainie</i>	90

K R A J

Enzo Bettiza:	<i>U Schaffa i Kołakowskiego</i>	92
Bogdan Mieczkowski:	<i>Produkcja przemysłowa Polski 1937-1960</i>	96

KRONIKA KULTURALNA

Danuta Irena Bieńkowska:	<i>Gaude, Mater Polonia</i>	100
Stanisław Bóbr-Tylingo:	<i>Zjazd nowojorski</i>	102
Alicja Iwańska:	<i>Nowojorskie millenium</i>	104
Andrzej Nakov:	<i>Plastyka w Paryżu</i>	109
Stanisław Frenkiel:	<i>Wystawa T. Beutlicha</i>	117
	<i>Komunikaty</i>	117
	a) <i>Apel Polskiej Rady Bibliotecznej</i>	
	b) <i>Przedpłata na książkę J. i A. Tomaszewskich</i>	
	c) <i>Przedpłata na „Towarzystwo Wolnego Malarstwa Polskiego”</i>	
	d) <i>Odszkodowania niemieckie</i>	

K S I A Ź K I

Zbigniew A. Jordan:	<i>O książce Kołakowskiego</i>	121
Stanisław Piekut:	<i>Synteza literatury emigracyjnej</i>	128
Jerzy Gajek:	<i>„Kisiel” i muzyka współczesna</i>	132
Jerzy R. Krzyżanowski:	<i>O pisarstwie Andrzeja Brychta</i>	135
Magdalena Czajkowska:	<i>Obrazy i znaczenia</i>	138
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i>	141



Zofia Hertz:	<i>Humor krajowy</i>	143
--------------	----------------------------	-----



J. Korson:	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	144
------------	----------------------------------	-----



M. K. Dziewanowski, W. Jędrzejewicz, J. J. Korabiowski, L. Lipski, J. Perkowicz, E. Raczyński, W. S., A. Tar-nowski, St. Żochowski:	<i>Listy do Redakcji</i>	152
---	--------------------------------	-----



Marek Hłasko:	<i>Oświadczenie</i>	159
---------------	---------------------------	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Marzec — Mars

1967

INSTYTUT



LITERACKI

WPLĄTY NA FUNDUSZ "KULTURY"

Zygmunt Sowa, Detroit, Mich. (USA), po raz drugi	F. 63,00
Stanisław Gombiński, Paryż, po raz trzeci	F. 50,00
Janusz Laskowski, Paryż, zamiast życzeń Świątecznych i Nowo- rocznych, po raz dziewiąty	F. 35,00
L. Demby, Nomandsland n/r Salisbury (W. Brytania), po raz ósmy	F. 13,50
Mieczysław Błaszkiwicz, Brooklyn, N.Y. (USA), po raz szósty	F. 14,50
Edward Baumiller, Leonard, Mich. (USA), po raz czwarty	F. 40,00
Aleksander Grzonka, Gossau, S.G. (Szwajcaria), po raz dwunasty	F. 27,50
Inż. Mieczysław Bornet, Toronto, Ont. (Kanada), po raz czwarty	F. 24,00
Jerzy Gintel, Caracas (Wenezuela), po raz siódmy	F. 39,00
Janusz Zembrzusi, Paryż, po raz szósty	F. 100,00
L. Holzer, Camberwell, Vic. (Australia), po raz trzeci	F. 27,60
R. Pietrasz, Bainsford, Falkirk (W. Brytania)	F. 13,50
Bezimiennie, Milwaukee, Wis. (USA)	F. 39,00
Inż. W. W. Kosicki, Ogunquit, Maine (USA), po raz trzeci	F. 9,50
E. Baczymalski, Reading, Berks. (W. Brytania), po raz szósty	F. 27,00
Wilhelm Bismayer, Chicago, Ill. (USA), po raz drugi	F. 24,00
Inż. Zbigniew Szpikowski, Toronto, Ont. (Kanada), po raz siódmy	F. 45,00
Teresa Nitosławska, Montreal, Que.	F. 9,00
P. J. B., (Kanada)	F. 112,50
Zofia i Jerzy Bonieccy, Rose Bay, NSW. (Australia)	F. 685,00
Stanisław Czerski, Sainte Foy, Que. (Kanada), po raz trzeci ..	F. 22,50
Jan Hrycewicz, Toronto, Ont. (Kanada), po raz drugi	F. 76,50
Józefa i Marian Tursey, Ste Anne de Bellevue, Que. (Kanada), po raz piętnasty	F. 27,00
Państwo F. Hasińscy, Philadelphia, Pa. (USA), zamiast kwiatów dla śp. Janiny Damasiewicz	F. 24,00
Nina Sereda, Montreal, Que. (Kanada), po raz dwudziesty drugi	F. 49,00
G. J. Dobrzański, Toronto, Ont. (Kanada), po raz czwarty	F. 31,00
W. T. Kinastowski, Weeland, Ont. (Kanada), po raz szósty	F. 21,30
Dr C. Fabierkiewicz, Toronto, Ont. (Kanada), po raz czwarty ..	F. 22,50
Stanisław i Maria Żochowscy, Brisbane, Qld' (Australia)	F. 107,90

DZIĘKUJEMY!

Prosimy naszych prenumeratorów w Stanach Zjednoczonych o najszybsze podanie ich „zip-code”, gdyż, jak nas informują brak tego numeru powoduje opóźnienie względnie niedoręczanie przesyłek.

Redakcja.

Redakcja KULTURY dziękuje prezesom Zjednoczeń Polskich w Afryce Południowej za życzliwe ustosunkowanie się do naszego pisma i za pomoc udzielaną naszemu przedstawicielowi, p. Romanowi Królikowskiemu z Johannesburga w jednaniu nowych prenumeratorów, jak również za ogłoszenia zamieszczone w wydawanych przez nich Komunikatach.

Porachunki osobiste

„...W ten sposób okazujesz, Sanczo — odparł Don Kichot — że jesteś prawdziwym prostakiem i jednym z tych, którzy mówią: niech żyje silniejszy!...”

Cervantes

I

W drugiej części życia postanowiłem zająć się więcej ideami, niż ludźmi. Dotąd postępowałem odwrotnie i nie przyniosło mi to niczego, poza przekonaniem o wszechobecnej niesprawiedliwości. Spotykałem w końcu ogromne ilości ludzi w życiu, w większości jednak okazywali się po jakimś czasie nie tacy jak należy. Co to znaczy „taki jak należy”, albo „jak trzeba”, dobrze nie wiem; w Polsce posługujemy się różnymi normami moralnymi, na przykład: „on jest w porządku”, albo: „on nie jest coś taki”, albo: „ty już wiesz”, którymi trudno jest operować w ramach precyzyjniej opracowanych etyk. Ale ja — zastrzegam się od razu — mogę nie mieć racji. W dzieciństwie nazywałem się mnóstwa książek, z których wynikało, że dobro zawsze zwycięża. Nie okazały się one pożytecznym przygotowaniem do tego, co dalej, bo dalej okazuje się, że przeważnie zwycięża dość obiektywne zło. Postanowiłem więc zamknąć ten okres poddając pod publiczną rozprawę moje ułomne opinie.

Generał/minister Moczar sądzi zapewne, że nie wracam do Polski („prysnąłem”, „dałem dęba”, ew. „nogę”), albowiem na przełomie 1965 roku zdecydował o wydaniu mi paszportu zagranicznego. Chyba nie pomyśli, że uczyniłem to, gdyż przez 7 lat nie dawał mi tegoż paszportu bez żadnych powodów do nie

dawania. Gdybym dostał paszport w 1958, 1960, 1961, 1962, 1963, 1964 — są to pełne daty mego kalwaryjskiego pisania podań, listów, pism, wniosków, formularzy, czekania, telefonowania, antyszambrowania i szukania tzw. dojsć — wyjechał i załatwił swoje sprawy, nie zostałem nigdy na tymże (*excusez-le-mot*) Zachodzie, bo wiem dobrze gdzie moje miejsce i dokąd serce moje jest przynależone — jak mawiają żołnierze w starych piosenkach. W 1963 jednak, po tak długim nie dostawaniu, doszedłem do wniosku, że znajduję się w więzieniu. Logicznie więc ktoś, kto ma dowody na to, że siedzi w pudle, jak mu rozewrą bramę stara się odbić jak najdalej i już nigdy nie wrócić.

Można zakwestionować prawidłowość moich wniosków i rzec: Polska nie jest więzieniem, bowiem miałem prawo udania się do Krakowa bez przepustki. Mnie się jednak wydaje, że przestrzeń zamknięta, na której panuje przemoc silniejszych, jest więzieniem, choćby się nawet rozciągała od Bałtyku do Tatr. Można także dodać, że miałem samochód, ładne mieszkanie, a wokół siebie interesujących ludzi i świetne dziewczyny, ale to nie jest poważny argument. W pewnych amerykańskich więzieniach stopa życiowa osiąga wyżyny zaplanowane w komunizmie na drugą połowę XXI-ego wieku, faceci mają tam własne apartamenty, kino, tenisa, owoce południowe i Old Spice po goleniu, nie mówiąc o drobniactwach jak 5 posiłków dziennie i telewizja. Mimo to każdy lokator zmyłby się od razu, gdyby tylko mógł, nawet mając w perspektywie poniewierkę po ławkach w parku. Więzienie, zwłaszcza w totalizmach, polega przede wszystkim na strachu, że mogą ze mną zrobić co chcą, a ja nie mogę nic, ani bronić się, ani argumentować, ani uciekać. Przebywałem kiedyś w Wilnie na Łukiszkach; byłem młody, siedziało mi się znakomicie, gdyż walka o jakieś święte sprawy wydawała mi się jeszcze wartością samą w sobie, ale wybuchł tam tyfus i zrozumiałem *jak bardzo* odmówioną mam szansę ratunku, ja ubezwłasnowolniony. Nigdy nie zapomnę tego strachu i coś z niego snuło mi się po duszy kiedy po miesiącach upokarzających wysiłków przyjęty zostałem w 1959 przez tow. Alstera, ówczesnego wice-ministra bezpieczeństwa i głównego od paszportów. Powiedziałem mu, że od dwóch lat moje podania, prośby i błagania pozostają bez odpowiedzi, że wokół mnie biała, kafkowska ściana, że ja już nawet nie chcę paszportu, tylko chcę wiedzieć dlaczego? Alster zamyslił się głęboko, po czym rzekł: — Nie ma żadnych przyczyn, dla których nie miałby pan otrzymać paszport. — Ja: — To dlaczego go nie dostaję? — On: — Bo nam się pan nie podoba. — I dodał: — Ale ja panu dam. Tylko mi pan przyrzeknie, że nie będzie pan udzielał zagranicą wywiadów. — Przyrzekłem i nazajutrz już miałem, pojechałem do Londynu i nie udzieliłem

żadnego wywiadu mimo, że kuszone mnie zapłatą o sile nabywczej licznych par butów. Wróciłem po miesiącu, dumny z dotrzymanego przyrzeczenia. W następnym roku wystąpiłem znów o paszport. Nie dostałem już nigdy ani odpowiedzi, ani paszportu. W międzyczasie bowiem Alstera wykopano, a na jego miejsce przyszedł Moczar. Okazało się, że moja sprawa nie ma nic wspólnego z konstytucją, zaś wszystko z tak zwaną łaską możnych.

Od stuleci przywykliśmy nazywać tragedią pewne rozwiązania eschatologiczne, toteż fakt, że ktoś nie może wyjechać za granicę do tego pojęcia nie przylega. Lecz elementy tragedii podane są historycznym przewartościowaniom i nowa nieuchronność katastrof, supersoniczna zemsta losu, czy cybernetyczny fatalizm mogą wstrząsać charakterami i łamać moralność nie gorzej od mojry Edypa. Mogę wyobrazić sobie dramat o mieszkańcu (słowo „obywatel” nie pasuje tu z natury rzeczy) kraju rządzonego przez komunistów, w którym odmowa paszportu prowadziłaby do wydarzeń równie krwawych i nieodwracalnych jak u Szekspira. Za każdym razem gdy nie dostawałem — a nie dostawałem codziennie przez 7 lat, bowiem każdy mój dzień wypełniony był wysiłkiem, aby go otrzymać — siadywałem w moim niebieskim fotelu i godzinami wpatrywałem się tępo w przestrzeń za oknem. Wyzbyty innych uczuć i myśli jak: dlaczego? Nie wiedziałem nic o swojej winie, a także nikt mi winy nie dowiódł, a mimo to byłem winny. Nie wiem o co jestem oskarżony, co stwarza nieskończoność oskarżeń możliwych, targa więc mną niepokój, że nie mam pojęcia za co mógłbym odpowiadać. Fakt, że mojej winy nie znam, nie stanowi o tym, że jej nie ma, lecz tylko votum nieufności dla tych, którzy o mojej winie wyrokują. Jestem winny, bowiem *oni* uznali moją winę, wnuknijmy więc w ich bieg myśli, szukajmy sposobu ratunku, porozumienia, przekonania ich o mojej niewinności. Przecież musi być sposób aby dowieść, że białe jest białe, a okrągłe okrągłe. Musi być jakaś przyczyna, którą trzeba wykryć, nie może odpaść wszelkie rozumowanie, nawet wobec najgorszego durnia, czy zbira. Wobec powyższego kilka tysięcy razy w ciągu roku dokonywałem drobiazgowej analizy problematyki paszportowej w komunizmie i mojego wypadku na jej tle.

Przed Październikiem paszporty na zachód otrzymywali w Polsce:

a) ludzie godni zaufania, a więc: wysocy urzędnicy, karierowicze z dyplomacji i handlu zagranicznego o wypróbowanej wierności (?), różna zawiesina partyjna i bezpartyjna na usługach tzw. cyrku Stalina, który załatwiał zjazdy intelektualistów, kongresy pokoju i tp., PAXowcy, marynarze, ubiaci do pilnowania ich wszystkich, oraz Jarosław Iwaszkiewicz i Jan Kott;

b) ludzie niezbyt godni zaufania, ale których trzeba było choć raz pokazać, jak różni sportowcy, matematycy, kompozytorzy, zawsze skrupulatnie dobierani pod kątem pozostawionych rodzin, aby nie przyszło im coś do głowy; c) kilkaset osób na 30 milionów w ciągu 10 lat, którzy po latach pisania podań i wysiadywania pod drzwiami dygnitarzy mogli się w końcu połączyć z żoną, czy z ojcem zatrzymanym przez wojnę gdzie indziej; znam jednak wypadek, kiedy sparaliżowana staruszka, reklamowana z uporem przez syna w Kanadzie, otrzymała paszport w rok po swej śmierci.

99,99% narodu polskiego miało nakazane siedzieć na miejscu ustalonym przez Lecha, Czecha i Rusa. Oczywiście, należąc bez reszty do narodu nawet przez myśl mi nie przebiegło za Stalina abym mógł dokądkolwiek wyjechać. Nie było problemu, nie jechał nikt, nie jechałem ja i życie toczyło się kulawo pomiędzy Jastarnią a Zakopanem.

Pierwsze miesiące idylli komunistów z narodem, jeszcze przed Gomułką, polegały na tym, że urzędy zobowiązały się uroczyście do załatwiania i wydawania tego, co winny były zawsze załatwiać i wydawać. Ludzie zorientowali się w locie, że nastąpiła niepowtarzalna okazja, nagle wszyscy mieli krewnych w Anglii, zaproszenia z Francji, mężów we Włoszech; znalazły się dolary na przejazd, paszporty zaczęto dawać, Polacy jechali i nie wracali, ale komunizm nic sobie z tego nie robił, zhumanizował się i nie obrażał. Tak było przez 56 i 57. Po czym UB pozbierawszy się po ciosach doszło do wniosku, że jedną z najpotężniejszych broni w walce przeciw ludziom w zmodyfikowanych warunkach jest paszport. Odtąd przestał on być konstytucyjnie gwarantowanym dokumentem, zaś stał się przedmiotem kary, lub nagrody. Wyglądało to nieco inaczej jak za stalinizmu, masowość obrotu była nieporównanie większa, ale dziwnym trafem najłatwiej otrzymywali paszport ci, którzy otrzymywali go bez trudu od Radkiewicza, zaś najtrudniej, albo w ogóle nie, ci sami, którym wtedy nie wolno było o nim nawet marzyć.

Pod koniec 1956, sądząc po wydaniu ZŁEGO, że zostałem pełnoprawnym obywatelem, wystąpiłem o paszport. Ministerstwo Kultury w szale skruchy za to, co wyrabiało z takimi jak ja, przebąkiwało coś o stypendium; było to mydlenie oczu, takim jak ja nie dawano nic nigdy, ani przed, ani podczas, ani po Październiku, ale miałem już wydawców na Zachodzie, więc finansowo byłem uniezależniony od matactw tych dziwnych dygnitarzy-pasożytów żyjących z artystów — co, jak wiadomo, stanowi wyczyn dotąd nieznany w dziejach człowieka, albowiem zawsze artyści żyli z dygnitarzy. Paszport dostałem, wyjechałem i wróciłem w 1957. Już w następnym roku moje podanie o po-

nowny wyjazd pozostało bez odpowiedzi i wyjaśnień. I tak się zaczęło.

W komunizmie trzyma się człowieka w ciągłym stanie oskarżenia: niezapłacony rachunek za gaz nie jest po prostu niezapłaconym rachunkiem, lecz elementem ewentualnego procesu. Jeśli ktoś czegoś nie otrzymuje od urzędu, zaczyna szukać winy, lub błędu, którymi mógłby być obciążony, nawet będąc niewinny jak noworodek, skrupulatny jak maszyna do liczenia i zdolny jak Lenin, albowiem komunistyczny urząd bytuje poza winą i błędem. Długoletni staż nakazał mi przeto zastanowienie się nad sobą: co *oni* myślą, że ja zrobiłem? Ewentualności było bez liku: ja nie musiałem „robić”, samo moje istnienie było nie takie jak należy. Słowa Alstera uderzały w dziesiątkę. Za Stalina nie można było być otwartym anty-komunistą, ale można było otwarcie i z własnej woli nie być komunistą (nie mieszać z „nie-komunistami” z nakazu K.C., doskonale z tego żyjącymi). Otwartość takiej postawy była odczynnikiem honoru i uczciwości wtedy, gdy nawet najodważniejsi starali się to ukryć. Zarówno moja praca w „Tygodniku Powszechnym”, jak sposób ubierania i wygłaszane hojnie opinie ustawiały mnie na straconej pozycji, w 1958 było to jednak za mało do odmowy paszportu: w międzyczasie mnóstwo ludzi zaczęło ubierać się jak ja, słuchać jazzu i wygłaszać podobne do moich opinie, nawet Grzegorz Lasota i Stefan Staszewski. Ale przed rokiem skończyłem powieść na zamówienie „Czytelnika”: nazywała się „Siedem Dalekich Rejsów” i jeszcze w czasie pisania zakupił ją angielski wydawca. Maszynopis wysłałem tego samego dnia do „Czytelnika” i do Londynu. „Czytelnik” zapłacił i nie wydał: właśnie zaczynała się gomułkowska kontrreformacja, o książkach decydowała znowu żona ministra policji i niejaki tow. Werblan, którzy dopatrzyli się w tej książce pornografii i obrony inicjatywy prywatnej. Natomiast pan Michael Joseph w Londynie nie znał się na takich subtelnościach i wydrukował książkę. Zostałem więc wezwany do pana Galińskiego, który dopiero co nastał na posadę ministra Kultury i Sztuki: zażądał on wycofania książki od angielskiego wydawcy, zaś pytany przeze mnie o powód konfiskaty odparł, że jej bohaterowie dokonują pewnych nieprzyzwoitości (miał na myśli spółkowanie) na Ziemiach Odzyskanych, które powinny być rzeczą świętą dla każdego Polaka. Powiedziałem, że jeśli napiszę p. Joseph uzna, że działam pod przymusem i wyda ze specjalną banderolą, opisującą z lubością moje tortury w lochach UB, natomiast gdybym mógł pojechać do Londynu, to kto wie, ale właśnie chodzi o paszport, na co p. Galiński ochłodził i zobojętniał. Lata 58 i 59 miałem więc lżejsze, pewny byłem, że nie dostaję paszportu za karę, z powodu książki, która w końcu wyszła w Anglii, nie odniosła żad-

nego sukcesu i nie zwróciła niczyjej uwagi, gdyż była po prostu niedobra. Pocięchę tę zdruzgotał Alster, człowiek szczery, lecz przewrotny; zapytany w czasie owej rozmowy, czy właśnie może ta książka, odparł prosto: — Te rzeczy nas nie interesują... — pograżając mnie z powrotem w udręki relatywizmu. A więc co *ich* interesuje?

W Październiku oznajmiono nam również, że każdy urząd podlega kontroli, prostującej jego błędy. W ten sposób zaczęła się moja *via dolorosa* odwoławcza. Do rocznej ilości zignorowanych podań doszła zwielokrotniona liczba odwołań, albowiem prosi się jeden urząd, zaś skargę (lub jak mówią wrażliwsi: donos) można składać w wielu. U podłoża tej działalności tkwił zdrowy instynkt: życie w komunizmie pełne jest metafizyki, czyn nie pozostaje w korelacji do skutku, nigdy nic nie wiadomo, a potem okazuje się nagle, że wymykające się poznaniu wszech zależności produkują fakty wolne od racjonalnych uzasadnień. W moim życiu sprawa paszportu przybrała charakter skrzyżowania pielgrzymki z misją. Musiałem dostać się do kogoś kompetentnego w dziedzinie odwołań, jak doradzali różni ludzie, obserwujący z zaciekawieniem mnie jako wijącego się za paszportem robaka. Wszak rozmowa z Alsterem dała raz niewytłumaczalną wolę w *ich* postawie, szukajmy przeto niewytłumaczalności gdzie indziej, jak Kubaś-Puchatek, który nie mogąc trafić do domu postanowił go nie szukać i dzięki temu go znalazł.

Jak dobrze my, ludzie oświeconego komunizmu, znamy poniżenia telefoniczne. Komuniści zastosowali telefon do spraw państwowych zgodnie z magiczną właściwością tego wynalazku: ponieważ kogoś nie widać więc go nie ma. Telefon służy im do nie-bycia, kiedy przyzwoitość nakazuje być. Komunistyczna technika władzy skonstruowana jest na zasadzie unikania petenta, cała mądrość rządzenia polega na wytrawnym pomijaniu potrzeb rządzonych tak, aby nikt nie miał okazji do protestu. Unik jest maksymalnym osiągnięciem, wcieleniem administracyjnego geniuszu: komuniści wierzą święcie, że wznosi się na nim cała struktura stabilizacji i społecznego pokoju. Telefony więc wyglądały tak: — Czy jest dyrektor Roszak? — Sekretarka: A kto mówi? — Ja: mówię nazwisko, zaś ma ono jeszcze wagę, było nie było co któryś tam człowiek czytał w Warszawie ZŁEGO. Sekretarka: — Proszę zaczekać... — i pyta dyrektora Roszaka, czy jest, który oczywiście mówi, że go nie ma, więc sekretarka w tubkę: — Nie ma dyrektora. — Na to ja: — A kiedy będzie? — Sekretarka: — Proszę zaczekać... — po czym, po chwili: — Nie powiedział kiedy będzie... — co znaczy powiedział, że nigdy go dla mnie nie będzie. W podobny sposób telefonowałem do K.C. PZPR codziennie przez wiele miesięcy.

Przyjął mnie wreszcie w imieniu Wydziału Kultury arogancki pijaczyna nazwiskiem Daniłowicz. Jako personalnik „Czytelnika” już w 1946 roku brał udział w wyrzucaniu mnie za nieprawomyślność z posady i z mieszkania na zlecenie Borejszy. Widocznie wryłem mu się w pamięć, bo potraktował mnie niebanalnie i tym razem. Na ogół instancje interwencyjne odznaczają się uprzejmością: komunizm jest tyranią bezosobową, gdzie nikt za nikogo, ani za nic nie odpowiada, wobec tego można sobie pozwolić na każde przyrzeczenie i każdą nielojalność. Dygnitarze, u których interweniowałem dotąd, powtarzali: — Dlaczego pan u mnie nie był? Nic o tej sprawie nie wiem... — Kłamali, wiedzieli doskonale, a nie byłem, bo przez lata całe nie mogłem się do nich dostać. I zawsze coś przyrzekali, bo to nic nie kosztuje. Daniłowicz postąpił inaczej: dał mi do zrozumienia, że skoro UB odmawia, to widocznie wie co robi i w ten sposób wyłączył K.C. ze świętej wojny człowieka z urzędem.

Była to właściwie ostatnia instancja dla szeregowego Polaka: jak *tam* powiedzą nie, to mogiła. Ale dla mnie paszport był już obsesją. To już nie dotyczyło zmarnowanych przedsięwzięć na Zachodzie: angielska firma chcąc filmować ZŁEGO wycofała się, nie mogąc się doczekać mego przyjazdu, niemieccy i angielscy wydawcy znudzeni byli wysyłaniem daremnych zaproszeń. Wokół mnie moje środowisko społeczne podróżowało bez przeszkód, odmowy paszportu bywały sporadyczne i przejściowe. Uporczywość mojej banicji nabierała cech odrażającej wyjątkowości. Opuszczała mnie równowaga: hierarchia mych celów i potrzeb przemieszczała się w sposób niebezpieczny dla higieny psychicznej. Już nie praca, dokonania, osiągnięcia i to wszystko co stanowi o życiu normalnego człowieka wyznaczało moją strefę działań. Chodziło o paszport. Rosła we mnie irracjonalna wiara w powiązanie paszportu z sensem istnienia; jak wtedy na Łukiszkach opanowywała mnie rozpacz zamknięcia: wierzyłem w jakieś niesprecyzowane ocalenie gdybym tylko mógł przekroczyć ten absurdalny zakaz. Nakaz aktywności wiązał się dla mnie nierozzerwalnie z paszportem: wydawało mi się, że czynna, twórcza postawa wobec własnego losu zależy od tego skrawka tektury. Los człowieka — rozumowałem — zdeterminowany jest przez gwarancję prostych form bytu jak możliwość wchodzenia i wychodzenia skąd się chce. Mój Boże — upewniałem się — ileż można *zdziałać* przez poruszanie się z miejsca na miejsce! Popadałem w zabobon: bałem się patrzeć na niemowlęta, aby mi się potem nie śniły, co mogłoby oznaczać nowe nieszczęścia w *tej sprawie*, o którą lękam się jak o chorą istotę. Usiłuję uprzedzić interwencję tysięcy znaków szczęścia i przesądu, zakłąć je, unieszkodliwić ich przyczynę i skutek, jestem rozdygotany i bezbronny. Boję się wszystkiego wokoło: nieopatr-

ných słów, beztroskiego śmiechu, za który mógłbym być pokarany nową bezskutecznością wysiłków. Albowiem nie ustaję w wysiłkach, życie toczy się od audiencji do audiencji; przerwy są czasem wielomiesięczne, ale smak i sens życia daje mi wyłącznie czekanie na audiencję w Urzędzie Rady Ministrów, u sekretarza Kliszki, u dyrektora Biura Współpracy z Zagranicą, u prezesa Ligi Przyjaciół Żołnierza, którego zna ktoś ze Spatifu, kto powiedział mi, że on *coś* może, bo ma szwagra, który... Audiencje to potencjał nadziei, do każdej szlifuję argumenty — stalowe, nieodparte, błyszczące słuszością. No i czekam w kancelariach, sekretariatach, przedpokojach, na krzesłach, ławkach, fotelach, czytam stare numery „Przyjaźni” i „Kraju Rad”. Antyszambрую. Antyszambrowanie ma w komunizmie taką samą filozofię jak gdzie indziej, jest szkołą uczuć i instrumentem upodleń, źródłem upadków i wiedzy o sobie. Już nauczyłem się współzycia z białym, milczącym murem i z niecznością myślą, że *to*, co stanowi dla innych 6 tygodni czekania, dla mnie jest nieosiągalnym marzeniem i urodą życia. Powoli upośledzenie przeradzało się w kalektwo: utykałem z braku paszportu. Stałem się postacią śmieszną, którą pędzą od siebie znajomi i sekretarki; na dźwięk mego nazwiska jęczały z pogardą: — Znów ten Tyrmand! Skaranie boskie... — Każdy nowopoznany, każde nazwisko w rozmowie odbija się od jedynej komórki światłoczułej mej świadomości: czy może pomóc? Czy zna kogoś, kto może? Wszystkich wokoło badam wzrokiem więźnia rozglądającego się za pilnikiem. Raz doznałem ataku histerycznej radości: przyszła odpowiedź odmowna na jedno z mych niezliczonych podań. Pospolity, szarawy druczek Milicji Obywatelskiej, informujący, że odpowiednie władze postanowiły nie wydać, uzasadniając decyzję paragrafem 4 ustawy o paszportach. Zaś § 4 wyjaśniał, że odpowiednie władze mają prawo do niewydania, o ile uznają to za wskazane.

Jerzy Putrament uchodzi w kraju i zagranicą za egzekutora dyrektyw partii wobec literatury i pisarzy. Wygląda jak zagnany w nieswoją epokę ziemianin i wojskowy i tak się też zachowuje, takie ma cechy jego pisarstwo i działalność polityczno-społeczna. Subtelne zamyślenia nad dobrem i złem to nie z nim. W tym co mówi i pisze mnóstwo jest grubych uproszczeń, jest sangwiniem, nie ma cierpliwości do ideowych przekomarzań. Ale chodzi po Warszawie wielu ludzi całkiem przeciwnego, niż on, autamentu, którzy powtarzają: — Załatwił mi to Putrament. Putrament pomógł... — Zaś Putrament nie ma żadnego interesu w pomaganiu bitym i kopanym: są to przeważnie ludzie myślący krańcowo różnie, niż on i szczerze nim gardzący, o czym on wie. Jego pozycja w partii bynajmniej nie jest nienaruszalna, lecz w całokształcie polskiego komunizmu na tyle ustabilizowana, że

nie potrzebuje podlizywać się nikomu. Po którymś tam z rzędu molestowaniu Putrament gdzieś tam zadzwonił, coś się nade mną kotłowało, po czym przyjął mnie „na rozmowę” wysoki urzędnik Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Nie wiem, czy był to człowiek mi życzliwy, ani nie wiem, czy chciał się posłużyć moją osobą dla własnych celów, lub zużytkować moją sprawę w wewnętrznych rozgrywkach resortu. Wyglądał klasycznie, jak towarzysz z bezpieczeństwa z socrealistycznych filmów, był szorstki i niegłupi. Ponadto był naprawdę waśniak, z samego jądra dyspozycji, nie żaden z tych, co niby coś „mogą”, a naprawdę są w zaopatrzeniu. I powiedział mi, że:

po pierwsze: cudzoziemcy,

po drugie: Piasecki,

a po trzecie: — Wie pan, co to jest komisja? Nigdy w życiu pan nie dostanie, póki decyzja będzie kolegalna. Żeby pan był sama niewinność, to nikt o tym nie powie pierwszy. Nikt się nie wychyli i nie powie: „A tam, dać mu...”.

Miał cholerną rację. Nie tu miejsce na rozważania nad mistyką komisji w komunizmie, prawdopodobnie kluczowym zagadnieniem upadku całego systemu. Równie istotne były dwa pierwsze punkty. Bolesław Piasecki, mimo że minęły czasy kiedy UB kołysało go i pieściło na łonie tow. Brystygierowej, ma poważne wpływy w tej instytucji. Mówi się, że Moczar go nie lubi, ale są w MSW jeszcze weterani wielkiej epoki, z którymi Piasecki ma się blisko i czule. Zaś Bolesław Piasecki skazał mnie na karę śmierci. Tak, po prostu. Za artykuł, który o nim napisałem w Październiku. Piasecki i jego ludzie uprawiają sądy kapturowe, sporządzają listy proskrypcyjne swych przeciwników i jak mnie informował w przypływie alkoholowego miłosierdzia jeden z jego najbliższych przyjaciół, ja figuruję tam na całkiem poczesnym miejscu. Wystarczyło, aby ktoś z ludzi Piaseckiego w MSW siedział w odnośnej komisji, o której mówił ów wysoki funkcjonariusz; wzgardliwe: „Ja tam bym nie dawał...” to dosyć, by reszta komisji skwapliwie przytaknęła za każdym razem i aby proskrybowany pozostał pod ręką.

Zaś cudzoziemcy stanowili problem delikatny i moralny. Wbrew pozorom, bo niby chodziło o cocktaile, lunche i dinnery u różnych ambasadorów i sekretarzy. Przez stalinizm życie dyplomatów zachodnich w Warszawie było ograniczone do własnego getta i urzędowych kontaktów. W 1955 ambasady otworzyły podwoje i zaczęły zapraszać. W Październiku pojawili się dziennikarze: nie pamiętam kto z nich zaczął, dość, że podawali mój numer telefonu jeden drugiemu i w ciągu dwóch-trzech lat jadałem z kwiatem światowego dziennikarstwa obiady w Bristolu. Później przyszły przyjaźnie: wśród dyplomatów wielu było ludzi

interesujących, przyzwoitych, inteligentnych, trudno było odtrącać ich osobistą sympatię ze względu na instynkt samozachowawczy poddanego w totalizmie. Bywanie i błyszczenie przeradzało się w postawę moralną. Znam ludzi, którzy nawet w Październiku odpowiadali odmownie na zaproszenia z okazji święta 14-ego lipca. Dla mnie były to sprawy godności: jeśli hotentocko-stalinowski system wyjaśniania świata widzi diabłów w zwykłych ludziach, byłoby upokarzającą małodusznością gdybym się na to zgodził. Wiedziałem, że telefon jest na podsłuchu, ale jakże mogłem odpowiedzieć „nie”, pozwolić, aby zapraszający pomyślał, że sam się boję i zgadzam się na jego trędowatość: uwłaczało to w równym stopniu mnie jak jemu, czyniło z nas obu bezwolne kukły w czyichś brudnych rękach. Nie sądzę, ażebym kiedykolwiek przekazał jakiemuś cudzoziemcowi jakąś informację: opinie i dowcipy słyszane ode mnie mógł usłyszeć w każdym tramwaju, kładli mu je w uszy brylujący na każdym przyjęciu Schaffowie i Rakowscy. Zresztą w tym czasie bywał już w ambasadach cały warszawski *establishment*, nie byłem wyjątkiem, życie normalizowało się i komunistyczna demonologia przechodziła w sferę żartów. Mimo to ja płaciłem, na zasadzie absurdałnej, ubiackiej buchalterii.

Poza wskazaniem śladów rozmowa z ważnym funkcjonariuszem nie przyniosła niczego. Przewalały się lata czekania. Popadałem w dziwne stany, rządziły mną surrealistyczne skojarzenia. Roilem sobie, na przykład, że ocalam życie Ochabowi, rozszałałe konie poniosły, coś w tym stylu. Ochab, jeden z tzw. przyzwoitszych, pyta mnie o jedyne życzenie, aby je mógł spełnić: mam na to przygotowaną odpowiedź, choć wiem, że jest to życzenie niebotyczne jak ręka królowny. Ale Ochab zaczyna działać, woła Moczara, żąda mojej teczki, a potem, gniewnie, wyjaśnień skąd te prześladowania? I jeszcze gniewniej: żeby mi tu natychmiast była sprawiedliwość! Ja uśmiecham się z melancholią: wyobrażam sobie jak cała Rakowiecka rzuca się do preparowania nowych przeciwko mnie dowodów, jak fabrykuje gorączkowo nowe *dossiers* z nieistniejących faktów; ostatecznie, chłopcy muszą się jakoś bronić przed zarzutem nadużyć praworządności, a czyż jest lepsza obrona, niż precyzyjniejsze jej nadużycie? Pracują bezbłędnie, tak, że w końcu nawet życzliwy mi feudał Ochab waha się i nie wie, czy ja czasem nie ocalałem mu chytrze życia, żeby wszystkich oszukać i zdeprawować, a samemu działać pod maską na szkodę. Ja sam już nie wiem jakie są moje intencje, co jest dobre, co złe, co przeciw komu i gdzie ja w tym wszystkim? Znam wypadek kiedy facet nie dostawał długo paszportu, ale w końcu ktoś ważny się za nim ujął. Więc telefonik do faceta i głos: — Czy pan Kowalski? — Facet: — Tak, tu Kowalski. —

I głos: — Panie Zdziśiu kochany, nie wiem, czy mnie pan sobie przypomina, pamięta pan, razem żeśmy wozili te aparaty fotograficzne do Bułgarii... Mam teraz o to przykrości... — trzask wyłączanego magnetofonu, słuchawka odłożona i UB ma dowód w rękę: pan Kowalski prowadził rozmowę o swoich przemytniczych machlojach w dniu takim a takim z niezidentyfikowanym współnikiem. Moje paszportowe nieszczęścia zaczynają budzić podejrzenia: są to już czasy dużych luzów, Polacy interesują się coraz mniej cierpieniami i prześladowaniami, już nie protestują, boją się strawić resztę życia na jałowym protestowaniu, rezygnują i cieszą się minimalnym — westernami, big-beatem, Dziedzicówną, Kydryńskim. Ktoś prześladowany zbyt długo alarmuje nieufność. — Nigdy nic nie wiadomo — mówi się — może coś ukradł? Może kogoś zabił? — Jego skargi i żale wydają się fikcją, mającą na celu wzbudzenie zaufania i współczucia dla celów prowokacyjnych, uważa się, że jest on podesłany i usiłuje się wkraść. Jest to genialne w komunizmie, że ofiara nie może się bronić własną krzywdą: krzywdę należy zainkasować w milczeniu i chwalić ustrój, tylko wtedy istnieje szansa jej naprawienia. Odmęty tysiącletnich, orientalnych upodleń, prawosławnego całowania nóg kopiącego i innych stopni rozwoju ludzkości złożyły się na marksistowski triumf tej zasady.

W międzyczasie pisywałem listy do ministra Spraw Wewnętrznych, pana Wichy. Napisałem ich coś około 10-ciu. Minister Wicha nigdy nie odpowiedział na żaden, mimo że chyba wzbożeniłem nimi jego wiedzę o świecie i literaturze. Wszystko, czego nauczyłem się u Kafki, Becketta, Celine'a, Brechta (*à rebours*) syntetyzowałem twórczo na użytek p. Wichy: człowiek *versus* zmaszynizowana biurokracja, otchłanie możliwych przeinaczeń, *up-to-date* schizofrenia wyalienowanej jednostki, paranoiczny strach przed nieprzenikalnym — modne motywy powtarzały się w nich nieustająco. Wydaje się, że wywarło to jakiś wpływ: odmówiono mi wkładki do Jugosławii, gdzie właśnie wydawano ZŁEGO; jak dotąd zezwalano mi na podróże w obrębie socjalizmu.

Niezależnie od listów telefonowałem do kancelarii min. Wichy kilka razy w tygodniu: błagałem o audiencję, o możliwość uzalenia się aż do łez. I o dziwo! W lutym 1964 powiedziano mi, że minister przyjmie mnie w takim to a takim dniu.

Mnóstwo jest w tej historii nurtów niewyekspluatowanych, sprzężonych z niezliczoną ilością osób, wpływających na jej bieg pośrednio. Na przykład: Romuś Bratny. Ja Bratnego zawsze lubiłem, mimo że zawsze powinienem był go nie lubić: były Ako-wiec, który przyszlusował, pisuje kłamliwie, nic go nie trapi z tego, co mnie trapi. Romuś mówi dużo i niefrasobliwie, za to

niegdy nie słucha co się do niego mówi: z mety odpowiada na jeszcze nie postawione pytania. Ale — co tu ukrywać — Romuś jest sympatyczny, gra nieźle w tenisa, ma poważne zainteresowania seksualne i właściwie nigdy nikomu żadnego świństwa nie zrobił, a przynajmniej ja o czymś takim nie słyszałem. Upierał się zawsze w słowie i piśmie przy swoich koślawych poglądach, walczył o to i owo, nawet czasami odważnie i honorowo — na przykład zaraz po wypadkach w Poznaniu z Cyrankiewiczem, który chciał kneblować pisarzy i publicystów przybyłych na autopsję. Otóż Romuś został w 1963 główną siłą napędową warszawskiej „Kultury”, a już był szum wokół całej afery, że partyzanci, że Moczar, że „Kultura” ma być ich ekspozyturą. Romuś zadzwonił do mnie któregoś dnia i spotkaliliśmy się na Placu Marszałka Piłsudskiego: chciał się po prostu ode mnie dowiedzieć co o tej imprezie sądzą tacy jak ja, co są na nie. Powiedziałem mu, że jest przeznaczony do odegrania roli historycznej, a mianowicie do zhumanizowania Moczara i jego ludzi; bo — wiadomo — Moczar człowiek wojskowy, półinteligent i antysemita, jeśli chce robić dalszą karierę to lepiej jak zostanie poddany ciśnieniu wyżej rozwiniętych intelektualnie jednostek do których *ad hoc* zaliczyłem Romusia. — Ponadto — powiedziałem — tylko ty, nikt inny, pisarz-myśliwy, oko u ciebie błękitne, włos blond, uśmiech słowiański, spełniasz warunki aryjskie i nie odstraszysz Moczara nadmierną inteligencją. — Romuś na to, czy ja nie wydrukowałbym czegoś w „Kulturze”? „Kultura” była pod bojkotem kół liberalnych, ale na tym bojkocie zaczynali zbijać już gruby interes faceci, których ja w Polsce najbardziej nie lubię i uważam za ostatnie kanalie — różni Starewicze, Żółkiewscy, Rakowscy i ich akolici. Moczar formułował program prymitywny i brutalny, głosił hasła obskuranckie, lecz w łonie partii zwalczał tych właśnie, których długoletnie służalstwo, nikczemne sofizmaty, parszywość moralna i kłamstwa sprawdzone były i nie do wymazania. Ja zaś akurat kończyłem pisać dla Państwowego Instytutu Wydawniczego powieść pod tytułem „Życie Towarzystwa i Uczuciowe”, co do której miałem wątpliwości czy PIW ją wyda, mimo umowy i zapłaconego w połowie honorarium. Pomyślałem więc: czemu nie? Jest to jedyna okazja, żeby choć kawałek tej książki ukazał się w druku. Co ryzykuję? Że się mnie PIW — cholernie antymoczarowy — wyrzeknie. Co mogę zyskać? Jakieś koncesje paszportowe, a to przecież główne, najważniejsze i obsesja. Dla mnie różnica pomiędzy Moczarem a Zambrowskim, Strzeleckim a Starewiczem jest żadna: wszyscy trzymają mnie jednakowo za gardło.

Dałem więc Romusiowi fragment i „Kultura” dumnie go wydrukowała. Konsekwencje: jak to było do przewidzenia. PIW

opublikował rozżarty list, z którego wynikało, że mnie prawie nie zna. Koła jakoby-liberalne uznały, że zdradziłem, że na moim anty-komunistycznym sumieniu rozlała się smrodliwa plama, zapominając sprawnie, że kiedy ci „nieugięci” pisywali ody na cześć Planu Sześćioletniego ja piłem herbatę na obiad, bo właśnie czegoś takiego nie chciałem pisywać. Nawet Janusz Minkiewicz był moim sędzią moralnym w Spatifie i uznał, że zostałem „kupiony”, z wiekiem nie pamiętając o prostytutce jaką uprawiał za Bieruta. Zaś Romuś pojechał na polowanie z Moczarem i podobno spytał go, czy kogoś zaraz przy nim, o mój paszport. Odpowiedziano mu podobno, że ja mam długi język i bratam się z cudzoziemcami, co Romuś przekazał mi lojalnie, dodając: — Po cholere ty tam w ogóle latasz, do tych ambasad? — Trudno było jednak z nim rozmawiać bo wcale nie był ciekawy mych wyjaśnień, jak to Romuś. Ale po kilku tygodniach zadzwonił do mnie znów, spotkaliśmy się i zaczął mnie ochrzaniać: — Słuchaj — powiedział — już było załatwione, *ktos* odpowiedzialny przyrzekł mi, że dostaniesz, tymczasem tyś był przedwcześniej na jakimś przyjęciu i coś napytlowałeś, po czym *ten ktos* wściekł się i powiedział, że cię do końca życia nie puści... — Zamyśliłem się i rzekłem: — A jeśli ci powiem, Roman, że przedwcześniej nie byłem na żadnym przyjęciu... — To dwa, trzy, cztery dni temu — sapnął Bratny. — A jeśli ci dodam, że od wielu tygodni nigdzie nie chodzę, jeśli zaś chodzę, to mówię „dzień dobry” i „ładnie pani dziś wygląda” i „to bardzo interesujące”, bo wiem gdzie ściana ma uszy, to uwierzysz mi? Czy ty, Romek, nie kapujesz że paru ubiaków żyje z pisania raportów o mnie, że dezinformacja, że to właśnie trzeba odkręcić, że nawet jak się rozpląnę to co tydzień ktoś, kto chodzi na Saską Kępę do Francuzów, będzie o mnie donosił wyssane z palca brednie... — Ale Romuś już przestał się mną interesować i w parę miesięcy potem, gdyśmy siedzieli w jego Volkswagencie przed kościołem św. Anny i jeszcze raz usiłowałem go przekonać, rozsierzony Romuś parsknął coś takiego, że aż wstyd powtarzać, bo lubię go nadal i z serca mu odpuszczam nieczułość i naiwność.

Na spotkanie z ministrem Wichą szykowałem się jak na ślub. Punktualnie, co do minuty, dzwoniłem z dołu, z biura przepustek. Wicha był figurantem, zwykłym pajacem w rękach Moczara, ale jeśli bym go wzruszył, to kto wie, czy raz nie uparłby się ze skutkiem. W telefonie sekretarka oświadczyła twardo: — Pana ministra nie ma. — Ja: — Jestem umówiony. — Ona: — Wiem. Ale pan minister wyjechał. Nic nie poradzę. Przyjmie pana dyrektor gabinetu. — Rozpacz ścisnęła mi żołądek: dyrektor gabinetu to nie to samo, ma do dyspozycji miliony wybiegów, których nie ma minister. Ale co robić? Dzwonię. Sekretarka:

— Pana dyrektora nie ma. Zostawił polecenie, żeby pana przyjął naczelnik Biura Skarg i Zażaleń. Numer wewnętrzny... — To był cios, uderzenie, dno upadku i poniżenia. Ześlizgnięcie się ze szczebla ministra do Biura Skarg pogrążyło mnie w karykaturę. Z równym skutkiem mogłem konsultować mego mleczarza jak naczelnika od zażaleń. Właściwie powinienem był nie pójść, a nazajutrz twardo kołatać od nowa. Ale byłem już złamany i wessany w tryby. Poszedłem do naczelnika.

Był to typowy reprezentant Karczewia, czy Pelcowizny w polskim życiu administracyjnym. Późną gomulłowszczyznę charakteryzuje gangsteryzm i mafijność średnich szczebli aparatu. Za Stalina terror, ignorancja i chamstwo były ideowe, mali kozackowie z Marymontu, czy Burakowa nie brali się za kariery, bo bali się groźnych konsekwencji władzy: ubiackie środki specjalne były to rzeczy ponure i wymagające ryzyka. Zasługi przeszłości, tępa wierność i oddanie — to był cement ludowych karier wtedy, kto chciał wbijać drzazgi pod paznokcie musiał być gotów do ewentualnego płacenia. Za Gomulki nie wbija się drzazg, władza potaniała, do biur napłynęli złodziejscy kombinatorzy z bazarów, trzeba sprowadzić szwagra, jest posada dla brata Haliny, on czytał „Woprosy leninizma” i wyrzucili go z ZMP: małe rzeczy małe następstwa, jak się nie zafartuje najwyżej wykopią człowieka, gra się o małe stawki, łapóweczka, mieszkanko, wakacje w Rumunii. — Panie Tyrmand kochany — powiedział ten naczelnik — co się panu stało? Czytałem te pana kawałki, całkiem-całkiem... — Miał oczywiście ZŁEGO na myśli, nie podania. Raz jeszcze, wobec tego krety, dźwignąłem krzyż relacji. Kiedy skończyłem: — Właściwie o co chodzi? — rzekł. — Wie pan jak jest, nie? Chlapnął pan gdzieś niemądrym słowem, no i zacięło się. Każdemu się trafia. Ale minie. Jeszcze rok, jeszcze dwa i zobaczy pan, dostanie pan paszport. Nie ma o co robić szumu...

Chyba wtedy, po raz pierwszy, powiedziałem sobie, że jak dostanę to wyjadę i nie wrócę. Właściwie o co chodzi? O te głupie 7 lat? Bo się chlapnęło? I się zacięło? A co się chlapnęło? Jakie słowo kosztuje 7 lat udręk? A może się nic nie chlapnęło, tylko ktoś uważa, że się chlapnęło i nie ma siły na to, żeby wyjaśnić, wytłumaczyć, sprostować? Jeszcze rok, jeszcze dwa — cóż mają te biegnące lata za znaczenie w tej zachlapanej, pogiętej armaturze, zwanej w tym kraju życiem? Ten tu facet, z karbowanym puklem nad cwaniackim czółkiem, on wie jak jest i wyjaśnia prawidłowo. Musi być według jego ewangelii. Ze wszystkim.

Jakby wstąpiła we mnie nowa energia, zacząłem ryc na prawo i lewo. Po paru tygodniach przyjął mnie dyrektor gabinetu

ministra. Pułkownik Janic. Partyzant, prawa ręka Moczara, więcej może, niż trzech Wichów do kupy. Szedłem na to spotkanie jak na ścieżkę: Janic miał opinię czarnosecińca, ideologa partyzanckiej kadrówki, teoretyka antysemityzmu i totalizmu; opublikował niedawno książkę, którą „neo-liberałowie” spod Starewicza określali jako „Mein Kampf”. Usiadłem naprzeciwko starszego pana o zdrowej cerze zażywnego właściciela owocarni w śródmieściu: mówił przytomnie i ujmująco, od pierwszej chwili wiedziałem, że coś się zmieniło. Coś gdzieś, niezależnie od praw ludzkiego umysłu, czy pragmatyki służbowej. Wyższość Janica nad owym wysokim funkcjonariuszem UB sprzed paru lat polegała na tym, że Janic był ponad komisją: dostawał dyrektywy od kogoś, kogo już nie interesują komisje. Mówiliśmy ogólnikami, że dobrze byłoby wyjaśnić, wyklarować, wzajemnie zrozumieć. Miał on chyba na myśli mnie jako nie-komunistycznego pisarza, bowiem wszystko to było bez związku z najważniejszym. Po prostu nie uświadamiał sobie, że dla mnie wszystko zaczyna się i kończy na granatowej książeczce, że za późno już było na platformy, uzgodnienia, gry i przetargi, kto z kim i przeciw komu. Kilka dni temu zadzwoniła do mnie pewna brytyjska dziennikarka, znajoma sprzed lat. Chciała się spotkać, wykręcałem się, bo miałem już manię prześladowczą i setkę pochodnych fobii, ale powiedziała, że to ważne, więc nie wypadało. Usiedliśmy w Europejskiej: chodziło jej o rozwód wspólnych przyjaciół, kto kogo zdradził i kto jest świnią. Potem dodała z uciechą: — Wie pan, zdaje mi się, że tym razem jestem śledzona. Może chcę stwierdzić z kim się spotykam... — Myślałem, że się uduszę: tyle lat, tyle znoju, tyle pogrzebanych nadziei, bo ta stara bładź chciała wiedzieć kto z kim w Warszawie! Każdy facet przy każdym stole wydał mi się naraz szpiclem i oprawcą, którego zarżnąłbym bez chwili wahania. Z jednej strony ruina najważniejszego, a z drugiej — jak tu nie okazać solidarności z śledzonym? Chciałem uciekać, jak w filmach braci Marx, ale ucieczka byłaby policzkiem dla niej, dla mnie, dla ojczyzny i paru innych walorów. Nie można żyć na rozpalonym ruszcie, przestępując z nogi na nogę, ale jak to wytłumaczyć pułkownikowi Janicowi, który jest totalista i oficer bezpieczeństwa, zaś dla mnie jest miły, ludzki i pierwszy w tym mamucim gmachu na Rakowieckiej, który rozmawia ze mną jak równy z równym, a nie jak filantrop z żebrakiem, czy biolog z bakterią. Tu zaczyna się rozpad moralnych kryteriów: początkowo człowiek nie chce kłamać, a potem już kłamanie; przed tym nie chce, żeby się o nim źle myślało, potem jest mu już wsio równo jak sobie pomyśla; z razu nie chce narażać czy oszukać przyjaciela, potem już oszukuje i naraża; jeszcze usiłuje odseparować bliskie osoby od swojej krzywdy, a potem

jest mu już wszystko jedno co po nim. Bezprawie na codzień buduje związki i sytuacje i powoduje reakcje, o których nie zamarzyłby Dostojewski. Idiotyczna sprawa paszportu zagranicznego uczyniła mnie nagim, aż wstyd.

Paszport dostałem i wyjechałem. Przed wyjazdem posłałem pułkownikowi Janicowi moją książkę „U Brzegów Jazzu”. Nie wiem po co staremu partyzantowi książka o jazzie, ale powiedział mi, że chciałby to przeczytać. Do Polski nie wracam. Byłoby jednak grubym uproszczeniem winić o to tylko policjantów.

II

To są moje porachunki osobiste z komunizmem i z ludźmi w komunizmie. Kogo nie interesuje ich prywatność, lub razi wąskość ich perspektyw, niech dalej nie czyta. Dalej mowa będzie o gnojeniu i z tego tylko wynikają moje uogólnienia i manie. Może byłem pomyłką w historii, może się spóźniłem i wygłupiałem, zgoda, ale próba postępowania zgodnie z własnym sumieniem jest zawsze probierzem uczciwości. Zresztą nie byłem jeden: każdy toczy tam taką osobistą i prywatną walkę z aparatem nacisku na świadomość, z wszechobejmującym kłamstwem, z super-pozorem. Tylko, że większość zgadza się na własną klęskę, nieliczni — na tzw. honorową przegraną, jeszcze mniej — na remis. Ja nie chciałem się poddać i ustąpić; może to głupie, ale przecież o to samo wojowaliśmy z Hitlerem — obowiązywała wszak wtedy zasada, że jest w końcu coś z czego nie można ustąpić. Oburzy się ktoś: — Polski komunizm nie morduje ludzi! Jak można go przyrównywać do hitleryzmu! — To prawda, na ogół nie morduje. Ale niszczy im życie. Człowiek produkował systemy społeczne, w których wszystko bywało przeciw człowiekowi, prócz życia, obojętnego w rozgrywce człowieka z systemami, ani za ani przeciw. Dopiero komunizm uczynił życie swoim nieobojętnym narzędziem ucisku, *produktem* swojego systemu. Hitleryzm mordował za kształt nosa i to stwarzało przymus walki aż do końca, bez możliwości porozumienia się; komunizm stwarza tylko *pozory* możliwych porozumień i niszczy człowieka za to co w nim dobre, za niezależność myśli, za poczucie godności, za sprzeciw kłamstwu. Pomoc bliźniemu w komunizmie to taki sam wybór moralny jak za Hitlera: ewentualność kary wisi za odruch międzyludzkiej solidarności. Ale nikt o tym nie myśli, ludzie chcą jakoś przeżyć życie. Nieliczni tylko nie potrafią się zgodzić na bezsens, smutek i niegodziwość, zaś z tym nie zgadzam się, to też nie takie proste. Są różne rodzaje nie zgadzania się, z niektórych nawet można świetnie żyć. Ale wśród nie zga-

dzających się wie o tym tylko mała grupka i to już jest wyższa szkoła jazdy. Pisanie o niej nazywane jest dziś w Polsce donosem.

Potocznie i na codzień używa się dziś w moim kraju terminu „donos” na określenie tego co psuje dochodowe przecherstwa ideowo-intelektualne i każda uwaga, że może tak postępować nie należy kwitowana jest tym słowem. Rzutowanie spraw prywatnych na publiczne jest napędem kariery w Ameryce, ale kamieniem obrazy w Polsce. Może w Ameryce przesadza się, ale wiele polskich nieszczęść pochodzi z faktu, że Gomułkę nienawidzi się dziś bardziej jako symbolu, niż jako człowieka. Wprowadzając ton osobisty do polityki ludzie uodporniają się na nienawiść; jestem przekonany, że co trzeci Polak zlikwidowałby własnoręcznie i bez oporów Bieruta, Gomułkę i Kliszkę, ale zawahałby się co do Cyrankiewicza: wszyscy wiedzą, że odjada się teraz, bo głodował w Oświęcimiu, że kocha Mercedesy i lubi dziewczyny, przeważnie dentystki. To co dziś w Polsce nazywa się opluwaniem stworzyło w XVII i XVIII stuleciu tradycję literacką Francji i Anglii, gdzie dość wcześnie zorientowano się w korzyściach z wyciągania prawdy za uszy na światło dzienne, bez względu na to, czy się to komu podoba, czy nie, z pisania i publikowania bezkompromisowych sądów o ludziach, którzy wydają się innym ludziom niezbyt pachnący. Nikt i nic nie usprawiedliwia ukrywania dostępnych prawd. Ułomność i cherlawość polskiej tradycji polemicznej jest skutkiem dwuznaczności i obłudy, a nie delikatności uczuć: w kawiarniach Warszawy i Krakowa mówi się o bliźnich zabójczo i okrutnie — ale chyłkiem, półgębkiem, na ucho. Mówić tak, pisać „nie wypada” — oto kazuistyka tchórzostwa. A już prawdziwą hańbą jest pisać o *swoim* poglądzie na jakiegoś skurwysyna, o *swoim* zdaniu o czyichś matactwach. Jakby zbiorowość sądu miała jakikolwiek patent na obiektywizm.

Montaż intelektualnego *establishment*'u w dzisiejszej Polsce opiera się ciągle na trzech klasycznych zasadach moralnych z wczesnego okresu angażowania się różnych artystów w stalinizm. Są to:

- on musi
- nikt nie jest lepszy
- każdy tak robi.

Już podówczas były to kłamstwa, bogate w zasób interpretacji i przeinaczeń na użytek i dla wygody każdej kanalii — od zwykłych denuncjantów po scholastyków wszelkiej przemocy. Albowiem:

— nikt nie musiał i miliony ludzi świadczyły o tym codziennie, zgadzając się na ruinę zamierzeń i nijakość, aby tylko nie brudzić rąk i sumień,

- było mnóstwo lepszych w każdej dziedzinie życia,
- nie każdy tak robił, na przykład ja tego nie robiłem.

Dziś, po wielu latach, zasady te działają wstecznie, ustanawiając jedną z najpotężniejszych reguł życia w komunizmie, ba — nawet dalej, poza nim. Wprowadziły nieludzką normę wartościowania: ci, którzy się nie mylili, nie mogą mieć racji, prawdziwą wartością było służyć złu, a potem przestać i głosić swoje nadużyte, wykołowane anielstwo. Nie ma w tym, po prawdzie, nic nowego, łamano się już z tym zagadnieniem u św. Łukasza i św. Jana, ale też i Nowy Testament otworzył propozycjami o grzechu i odkupieniu win bramę do daleko idących świństw. W dobie egzystencjalizmu i *rock'n'roll*'u niezbędne są jednak poprawki i zachodzi pytanie: co zrobić z tymi, którzy od początku nie chcieli być źli i głupi i mieli w końcu rację, potwierdzoną całkowitym jej przejściem przez skurwionych archaniołów? Oczywiście, tłumaczy się tym upartym, że trudna prawda, że immanentna niedoskonałość, że przewaga ruchu nad bezruchem: XX-wieczna psychologia pozbawiła świat winy, współczesny relatywizm nie wywodzi się już z filozofii, lecz ze sztuk zręcznościowych, jest rezultatem całozyciowych ćwiczeń w „szanże raz, szanże dwa, a w rękach nic...” Ale w końcu przekonano się już dwukrotnie w tym stuleciu, że hitleryzm był obiektywnym złem nawet dla Niemców, zaś komunizm obiektywnym złem nawet dla komunistów. Mimo tych ulepszeń feniks łajdactw okazał się tak samo żaroodporny jak zawsze i dziś *byli stalinowcy* stanowią najpotężniejszą mafię świata, lepiej zorganizowaną i funkcjonującą, niż Cosa Nostra, międzynarodowy homoseksualizm, wędkarze i filateliści. Ich święta wspólnota polega na wzajemnym zmywaniu z siebie win, na genialnie skomponowanych żalach na swój zły los zgwałconej i wyeksploatowanej niewinności. Wynik olśniewający: w 10 lat po mowie Chruszczowa, polskim Październiku i powstaniu na Węgrzech nikt nie jest w stanie dokonać niczego w bloku, w zachodniej Europie i w intelektualistycznej Ameryce kto uprzednio nie lizał butów Stalina, nie pomagał mu w ustanawianiu moralnych, intelektualnych i politycznych porządków, a potem nie wycofał się z tego w przepisowy sposób, czyli głosząc swą dziecięcą naiwność. Jednym słowem — kto nie posiadał cnoty transfiguracji, cudownego przeistoczenia własnych win i błędów w własną, niepokalaną chwałę.

Arcykapłanem cnót transfiguracyjnych jest w Polsce profesor Jan Kott. Jest to człowiek inteligentny, utalentowany i z wdziękiem. Pochodzi ze środowiska przedwojennej lewicy salonowej. Po wojnie przyszlusował od razu do PPR-u i stał się filarem „Kuźnicy”: obdarzony umysłem wnikliwym i ostrym piórem szybko osiągnął status wysoko notowanego eseisty, publi-

cysty i krytyka. Zaraz po wojnie marksizm był jeszcze zamożnym przeciwnikiem, a nie podejrzanym monopolistą i Kott zasłynął wkrótce jako zręczny polemista w jego obronie, zaś „Kuźnica”, tygodnik arogancki, lecz interesujący, stanowiła poważny wkład w polskie życie kulturalne. Ale przyszedł stalinizm, do unicestwiania twórczości zabrali się Jakub Berman, Włodzimierz Sokorski i Stefan Żółkiewski, którego prawą ręką był profesor Kott, autor książek o różnych realizmach. Jeśli przez 5 lat ludzie jak ja nie mieli prawa przekraczania progu wydawnictw, jednym z głównych inżynierów mechanizmu zakazów i nakazów był właśnie Jan Kott. Z kolei nadszedł Październik i Kott znalazł się na trybunie wiecu w Politechnice, gdzie z zapalem przemawiał do ludzi niezbyt zorientowanych w jego pokrewieństwach ze Żdanowem. Cechą Października było gromkie i publiczne odkrywanie „na nowo” prawd, które wszyscy urodzeni po zdobyciu Bastylli wyssali z mlekiem matki. Kott należał do rekordzistów w tej konkurencji: głosili oni z ogniem, że błąd jest pożywką postępu, że atmosfera oczyszcza się o ile jest wolność słowa, że nowe musi być inne, a nie doskonałe, że nie dobrze jest jak jednostka decyduje o wszystkim. Oczywiście, zapominali z łatwością o swoich adwersarzach z czasów „Kuźnicy”, którzy głosili słówko w słówko to samo w „Tygodniku Warszawskim”, w „Tygodniku Powszechnym”, czy w „Gazecie Ludowej”, zaś Jan Kott i towarzysze odpowiadali im podówczas z równym entuzjazmem, że wolność słowa zanieczyszcza atmosferę, że umysł ludzki jest w stanie wyeliminować wszelki błąd, oraz że genialna jednostka jest i nie ma co się na jej temat sprzeczać. Zaś w zamian za dojście „w męce” do neo-prawdziwych prawd Kott i jemu podobni ustawili się raz jeszcze na pozycjach pierwszeństwa, czyli nowego monopolu, czyli tego co Artur Sandauer nazwał trafnie wyłącznym prawem do naprawiania zegarka dla tych, którzy go zepsuli.

Tu sprawa uogólnia się szeroko. Logicznie rozumując skrachowana ekipa powinna była ustąpić, a na jej miejsce przyjść zespół, który miał rację. Ale jesteśmy w samym środku XX-towiecznego komunizmu i tak proste rozwiązania są wykluczone. Rozróżnienie na ekipy jest nieprecyzyjne i jednostronne: wiemy tylko jak wygląda ekipa przegrywająca, pozbawiona racji. Była scalona przez głoszony program i spektakularne kariery w każdej dziedzinie kultury, zlepiona z ludzi poważnego, mimo omyłek, kalibru z utalentowanymi obłudnikami, cynicznymi ekwilibrystami i arrywistami w jeden, wszędzie widoczny plakat. Po drugiej stronie obraz był mniej jasny. Była tam grupa „Tygodnika Powszechnego”, która szczęśliwie przeniosła ideową prawdość przez najgorsze, byli poszczególni profesorowie różnych uniwersytetów, któ-

rzy nie ustąpili z imponderabiliów mimo brutalnego nacisku, były grupki izolowanych pisarzy, malarzy, muzyków, którzy w łonie swych skonformizowanych związków twórczych opierali się presji masowego oportunizmu. Były wreszcie środowiska młodzieżowe, zogniskowane wokół nurtów zainteresowań, jak teatr amatorski, czy muzyka jazzowa, które odegrały w Październiku rolę ogromną, choć nieskoordynowaną, organizując festiwale, budując teatry studenckie, efemeryczne pisma i kluby, w nich też gomułkowska reakcja uderzyła z największą furią. Wkrótce stało się oczywiste, że pierwsza ekipa, przegrupowana i posegregowana na rozgoryczonych, rozczarowanych i zmądrzałych, odegra nową, główną rolę. Nic nie dzieje się w próżni, tego nauczyliśmy się od marksistów, nawet najbardziej skłonni do pojednań komuniści bali się autentycznych katolików i autentycznych liberałów jak ognia, toteż kiedy na fali Października wypłynęli starzy intelektualni cwaniacy potrząsając hasłami liberałów i niezależnych, rządzący komuniści pozwolili im z ulgą udawać nas. Tym bardziej, że stary aparat do robienia kultury pozostał (nawet pani Zatorska), tylko igła kompasu przeskoczyła na gomułkowską „niepodległość”: należało więc znaleźć i wylansować niepodległych swojego chowu, *naszych własnych* buntowników i *angryman'ów* zrewoltowanych w imię Lukacsa, Brechta, Sartre'a i Majakowskiego. Po to jednak, aby udawać autentycznych, trzeba wyeliminować autentyczniejszych, wymazać ich z obrazu świata. Tak też się stało. Prasa, radio, telewizja stanęły do dyspozycji tych łagodniej zbuntowanych, byłych (i może kiedyś znów) swojaków, pogniwanych, lecz własnych, nabzdyczonych, lecz nigdy na serio nie skrzywdzonych. Po paru latach nawet najbardziej umiarkowany publicysta „Tygodnika Powszechnego” zamknięte miał łamy prasy popularnej, radio i telewizję i skazany był na martwe przemilczenie, natomiast rebelianci jak Kott udzielali wywiadów, stanowili niedławiony przez nikogo autorytet w dziedzinie niezgadzania się, zasiadali w jury konkursów i wygłaszali zjadliwe opinie, którymi nasładowano się zarówno w kołach natolińczyków, jak i puławian i gomułkowców. Określali dozwoloną alternatywę, czyli w istocie swej byli niegroźni. Aż w końcu stali się ideałami, uwielbieniem i beniaminkami towarzyszeki Blatmanowej.

Tow. Blatmanowa jest ową czarnowłosą, inteligentną i wiedzącą wszystko lepiej komunistką sprzed wojny, przeważnie z zażożnego domu, zbierającą na MOPR, przerzucającą transparenty przez druty tramwajowe, omdlewającą z zachwyty nad Gorkim, Szołochowem i młodym Malraux, uważającą Pudowkina i „Świat się śmieje” za szczyty kina, która spędziła wojnę w Rosji, wróciła do Polski ze Związkiem Patriotów, często w butach oficera polityczno-wychowawczego, zaś od 1945 załudniła redakcje, wy-

dawnictwa, KC, Ministerstwa Spraw Zagranicznych i Kultury, kinematografię i radio. Dla towarzyszki Blatmanowej Kott był przez stalinizm wcieleniem intelektualnej kokieterii i wdzięku: pisał o Defoem i Diderocie lekko, prowokacyjnie, ale równiutko z linią partii. W Październiku tow. Blatmanowa, która żyła przez ćwierć wieku z wizerunkiem Ziutka Stalina na białym tle kochanki, doznała oficjalnego wstrząsu i nagłym skurczem pozbyła się potwora z łona: pani Zatorska, zupełny klasyk i super-Blatmanowa, miała się podobno wyrazić o Stalinie: — Ten morderca! Który nas tak oszukał... — Natolin i neo-antysemityzm dokonały swego: część Blatmanowych wyemigrowała do Izraela, ale ogromna większość przeszła na rozgoryczenie i rewizjonizm nie tracąc posad. Gomułka cieszy się ich chłodnym poparciem, zaś Kott i jemu podobni — dziłą miłością: wziął on na siebie reprezentowanie ich honoru i ich frustracji, zapisał się do opozycji, ale nie przestał być ich sumieniem. Mówi się, że w komunizmie nie istnieje opinia publiczna: oczywiście, nie istnieje w sensie demokratycznym, ale w innym to zależy gdzie — w Rosji nie, w Polsce tak. Jest ona zminiaturyzowana do kilku tysięcy osób i w oczach Blatmanowych, które są jej główną komponentą, Kott jest jej post-stalinowskim Gladstonem. W opinii tej opinii Kott spływa krwią męczennika, narażony na straszliwe niebezpieczeństwa: tak właśnie fabrykuje się potrzebnych, podręcznych świętych. Daje to zadziwiające rezultaty: krwiożerczy opozycjonista Kott mieszka w tym samym domu co komunistyczny premier Cyrankiewicz, podpisuje protesty 34-ech, unicestwia Gomułkę i politykę kulturalną, dostaje paszport zagraniczny i drukuje co chce. A jeśli raz odmówi mu się paszportu, czy druku, do walki rusza rodzinno-towarzysko-partyjna rakietą Blatmanowych, kawiarnie warszawskie huczą cierpieniami Kotta, wołają o pomstę do nieba i w dwa tygodnie „opinia publiczna” wywołuje to, co skonfiskowane, zatrzymane, etc. I znów Kott jest *jedynym* bohaterem, bo o tych, którym konfiskuje się nieodwołalnie i nie daje paszportu przez 20 lat „opinia publiczna” nie walczy, przemilcza ich; monopol Kotta i takich jak on leży w interesie Blatmanowych, a pośrednio i Politbiura, można więc go kuć publicznie. Kiedy Kott dostał jakąś nagrodę w Wiedniu, Kliszko, urażony przytykiem, wstrzymał mu paszport. Ale od czego Blatmanowe? Opinia całego kulturalnego świata nie była w stanie wywołać paszportu dla Pasternaka, „polska opinia publiczna” uzyskuje go bez większego trudu dla Kotta; powie ktoś, że jest to różnica pomiędzy Chruszczowem a Gomułką, mnie się jednak wydaje, że jest to różnica pomiędzy obiektywną funkcją Kotta i obiektywną funkcją Pasternaka. Nazwisko Pasternaka odegrało zasadniczą rolę w moim stosunku do Kotta. Na jednym

z zebrań Związku Literatów w okresie sprawy 34-ech Kott opowiedział, jak to w późnych latach 40-tych pojechał jako wysłannik „Kuźnicy” do Moskwy i spotkał Pasternaka, który w rozmowie przekazał mu enigmatyczny wiatyk dla polskich towarzyszy-intelektualistów: „Pamiętajcie, trzeba być ostrożnym, czujnym... To tylko z wierzchu jest piękne...” I Kott dodaje (cytuje z pamięci): — Ale *ja* byłem *młody*. Skąd mogłem wiedzieć? I *nie-doświadczony*... Dopiero po latach pojąłem mądrą przestrogę... — Siedziałem na sali, słuchałem i myślałem sobie, że są przecież granice, których przekraczać nie wolno. Trzydziestoparoletni wtedy redaktor i uczony, polonista i marksista, jeden z tęższych umysłów swego obozu nie rozumiał tego, co rozumiała *już* w Polsce każda praczka, każdy tragarz i każdy uczeń; pomyślałem sobie jeszcze, że istnienie Kottów jest jakąś obrazą dla przyzwoitości, tej najprostszej i najoczywistszej, którą tak ciężko było przechować za Stalina, oraz że klerk nie może zbierać laurów za wszystko, bo przestaje być klerkiem, a staje się hochstaplerem. Dopóki Kottowie nie rozliczą się jasno, dokładnie i uczciwie ze stalinizmu, my będziemy czuli się oszukani i skrzywdzeni i nie zaprzestaniemy myśleć o nich jak o profitantach, którzy wzniesli swe powodzenie na naszych kościach i których w gruncie rzeczy określa zwykła tchórzliwość, bo zaczęli krzyczeć kiedy już wolno było krzyczeć, kiedy za krzyk nikt nie pakował na Mokotów, ani nie wsadzał knebla, jak nam wsadzano, kiedy nieszkodliwym krzykiem i niezgadaniem się można już było w Polsce wybornie zarobkować, lepiej, niż dotychczasowym służalstwem.

Ludzi o takim profilu moralnym i takiej dialektyce postępowania jest w polskim *establishmencie* tak wielu, że stanowią zjawisko społeczne, wąskie z perspektywy narodu, lecz realnie obecne i widoczne. Ich życie miało się odwrotnie proporcjonalnie do mojego: wszystko co dostawali mnie było odmówione. Przede wszystkim — prawo do rozwoju, które zarezerwowane jest w komunizmie wyłącznie dla *swoich*, lub tych, z których komunizm ciągnie jakieś korzyści. Może to być mizerna deklaracja, że pokój zwycięży wojnę, albo że lud ma zawsze rację, ale coś trzeba dać. Inaczej cały aparat partyjno-państwowo-publiczny niszczy z bezduszną zaciekłością mechanizmu. Nie istnieją punkty odniesienia rozumowe, czy moralne: „nie ich” przeznaczony jest na zagładę. Zresztą „ich” można było się stać łatwo, zwłaszcza na początku: raz napisać, czy powiedzieć „jak trzeba” i już było się zanotowanym na tak. Ale jeśli ktoś wzdragał się i upierał — wcierano go obcasami w ziemię. Stanisław Rembek napisał zaraz po wojnie jedną z najlepszych książek o okupacji, wielu twierdzi, że najlepszą. Nazywała się „Wyrok na Franciszka Kłosa”. Kto dziś o niej wie? Nikt. Wie się o Andrzejewskim, Rudnickim, Brandysie, bo

swoi, bo mieszczą się w raz na zawsze ustalonych hierarchiach, mimo wszelkich odchyień, dewiacji i zgrzytów rodzinnych, bo pili razem stalinowskie pomyje dławiąc się i krztusząc, a potem plując i brzydząc się samych siebie. W 1964 pewien reżyser chciał wydobyć Rembeka z niepamięci i sfilmować „Wyrok”: z punktu widzenia aktualnych kryteriów nic nie przemawiało przeciw książce, jest po polsku antyniemiecka i o granatowym policjancie opisanym bez sympatii. Ale gdzie tam! Politrucy od pamiętania pamiętali po 18 latach, że Rembek nie jest „swój”, „ich”, „nasz” — to wystarczy do wytarcia go spośród żyjących, nawet gdyby napisał arcydzieło.

W latach 60-tych okazało się, że najbardziej lukratywne w sensie zysków i prestiżu są targi o własną duszę — żeby się o nią targować trzeba było ją uprzednio zaprzedać Stalinowi. Ci, którzy nie sprzedali, skazani są na brak w obowiązującym układzie. Wśród targujących się i wycyganających roi się od różnicowań i niuansów, stanowią oni w sumie zjawisko zawile, lecz przenikalne, o ile się chce przenikać. Rzecz jasna, najmniej skłonni do przenikliwości są ci z natury rzeczy do tego przeznaczeni, a więc emigracja i Amerykanie. — Czy wie pan — rzekł do mnie w 1965-tym pewien sekretarz ambasady amerykańskiej w Warszawie — jakie świństwo komuniści wyrządzili temu biednemu Kobzdejowi? Wydali album malarstwa polskiego z jego obrazami z czasów socrealizmu... — Zaiste, „... dziwne w tej materii rzeczy pomieszanie...” — to nie Kobzdej ten tego, że *to* malował, tylko *oni* świnie, że *to* opublikowali i przypomnieli. Dochodzi się do jakiegoś kołowrotu ideowej i moralnej paranoi, w której niemożliwe jest funkcjonowanie umysłu i sumienia. Ciśnienie racji stanu byłych stalinowców wywala kategorie zdrowego rozsądku i trudno wręcz dojść co lub kto każe tępemu Amerykaninowi myśleć, że Kobzdej został pokrzywdzony, a nie jakieś zasady i normy postępowania. Casus Kobzdej jest dość klasycznym przyczynkiem do obyczajów epoki: wskazuje na potęgę instynktu w służbie moralnej obojętności, co po latach okazało się najwyżej premiowane. Aleksander Kobzdej jest malarzem utalentowanym, ale w okresie gdy niemniej utalentowani urządzali tajne wystawy w Krakowie Kobzdej angażował się ostrożnie, tzn. unikał portretowania wodzów i sztandarów, zaś malował rodzajowe sceny w stylu „Podaj cegłę”, rysował walczących o wolność Wietnamczyków, bankietował w Moskwie i Pekinie. Pił bruderszafty z rządzącym eszelonem i ryzykował pikantne dyskusyjki z sekretarzami KC o formalizmie, którego przekornie broił pomiędzy wódką jedną a drugą. Taktyka ta prowadziła do cudownych stosunków ze wszystkimi i niezliczonych awantazy ułatwiających życie; nade wszystko zaś do koncesjonowanych kon-

taktów z francusko-włoskim, komunistycznym *jet-set*'em i wpływowymi krytykami zachodniej lewicy, uwielbiającymi artystów z Polski, którzy są choć troszeczkę inni od obowiązującej sztancy, a mimo to dobrze im się powodzi. Gdy zaś było już wolno, Kobzdej objawił się jako integralny abstrakcjonista i szafa zagrała: stosunki z rządzącymi zapewniały ciągłość stosunków z zagranicą, te zapewniały zaszczyty i nagrody, te zaś zapewniały doskonałe stosunki z rządzącymi. Znam natomiast malarzy, którzy niegdyś wzdragaliby się namalować nawet murarza, obawiając się posądzeń o oportunizm. Uniknęli w ten sposób dzisiejszych odznaczeń za niezależność.

Ja obawiałem się zawsze posądzeń o uległość. Zawsze byłem przeciwko silniejszemu, co nie znaczy przeciw silnym. Uważam, że silniejsi są gorsi przez fakt swej przewagi. Zawsze byłem po stronie słabszych, którym trudno się było bronić, nie dlatego, że ich wolę, lecz dlatego, że przez pomoc im człowiek staje się silnym, zaś ja lubię silnych. Kott i jemu podobni znów są po stronie silniejszych, z czego może nie zdają sobie sprawy. Za Stalina najsilniejszy w Polsce był aparat władzy, z policją polityczną jako jej egzekutorem. Za Gomułki najsilniejszy jest w Polsce średni aparat administracyjny, wice-ministrowie i dyrektorzy. Ta grupa chce przemian bez oddawania własnych posad i ma szanse na realizację swych postulatów, bowiem siedząc od 20 lat na różnych stołkach stali się trudnymi do zastąpienia fachowcami w dżungli komunistycznej produkcji i administracji. Gomułka ich już mierzi, zaś Kottowie są sympatyczną alternatywą, z którą łatwo się można pogodzić bez uszczuplania własnego stanu posiadania. Zawsze wydawało mi się, że *przeciw* jest się wtedy, gdy się za to płaci — marnowaniem życiowych planów, nędzą, bezczynnością, rozpaczą traconego czasu: tego nauczyły mnie totalizmy, w których żyłem. Lolo Marx (jak mówią studenci) wystąpił niegdyś w obronie człowieka, po czym w imię Lola zmontowano coś co uczyniło człowieka tak bezbronnym jak nigdy dotąd w dziejach. I to nie tylko wobec przemocy obłędnych, biurokratycznych struktur, lecz także wobec ludzkiej szmatłowości i chytrych, przy których nadużycia kapitalistycznego lesseferyzmu wydają się życzliwą, prostacką sielanką. System wartości i mechanizm przeznaczeń premiuje w komunizmie małość i podłość i wynosi je pod różnymi postaciami powodzenia. Dziwnie to się rzutuje na indywidualną psychikę. Znam wypadek, kiedy współpracownik „Trybuny Ludu” zwrócił się na zachodzie Europy do Kongresu Wolności Kultury z prośbą o zapomogę na przedłużenie pobytu. W tym miejscu polskie życie oportunistyczne przemienia się w zwykły burdel i ciekawe, jak to daleko jeszcze zajdzie. Człowiek czuje się skopany i pobity, po co było to wszystko kie-

dyś, obstawanie przy czymś, walka z samym sobą o to co można, a co nie. Racje gniją, rozkładają się, nie ma się o co zaczepić, nawet o uczciwego wroga. Takich uczuć jak ja na widok prof. Schaffa w uściskach intelektualistów zachodnich musi doznawać stary, zgnojony ubóstwem i nadludzką pracą komunista polski, gdy ogląda Bolesława Piaseckiego w drogim futrze i niemieckiej limuzynie w centrum komunistycznej Warszawy. Życie nauczyło mnie dawno, że nie ma nagród za rzetelność. Ale namnożyło się ostatnio zbyt wiele nagród za *życiowy numer*, aby można było patrzeć na to bez obrzydzenia i protestu.

III

Bismarck miał jakoby powiedzieć, że nie jest się inteligentnym, jeśli w wieku 18 lat nie było się socjalistą. Nie jestem inteligentny, gdyż w tym wieku nie lubiłem ani socjalistów, ani komunistów, ani ich rewolucyjnej romantyki, ani ich uproszczonej moralności. Ale nie zacietrzewiałem się nigdy: leżąc w międzywojennym słońcu na pływalni „Legii” w Warszawie, wśród innych osiemnastolatków, wyśmiewałem rewelacje sanacyjnych brukowców o łagrach na Kołymie i lizaniu jednego śledzia przez kilkudziesięciu więźniów. — To bzdury — powtarzaliśmy podówczas. — Dlaczego używa się tak tanich, anty-bolszewickich chwytów! —

W rok później kilkanaście milionów Polaków mogło się przekonać bez trudu, że warszawskie czerwoniaki pisały prawdę. Ja zaś byłem nadal na tyle prymitywny, aby nie móc zaakceptować rozbastwionego kłamstwa, jakim wypełnił się świat. W tępotcie mojej nie mogłem przystać, ażeby noc nazywać dniem, drzewo lokomotywą, ciemnotę kulturą, brak towarów obfitością towarów, prawdę nieprawdą, a przyzwoitość zbrodnią. I tak już pozostało przez następne 25 lat. Ludzie wokół mnie też nigdy się na to nie chcieli zgodzić, ale później, zmęczeni samotnością zaprzestali walki. Z czasem różne pojęcia pozacierały się i zmętniały, co stanowiło *ich* największy triumf.

Po Lwowie było Wilno, ta organizacja nazywała się „Za Wszą i Naszą Wolność” i ja spałem na jej powielaczu, a rok był 1940. Nie byliśmy z tych co to sobie nie obszywali czwartego guzika od góry na przefarbowanym oficerskim płaszczu i salutowali na ulicy Mickiewicza: nasza konspiracja była lepsza i ja dla kamuflażu pracowałem jako reporter sportowy „Prawdy Komсомolskiej”. Może byśmy i tak dalej sobie konspirowali, ale postanowiliśmy — Leszek, ja i niejaki kolega Kretowicz — udać się do Szwecji. W tym celu skontaktowaliśmy się przez organizację

z pułkownikiem Babiniczem, delegatem do tych spraw, jak nas zapewniono. Przyjął nas u siebie, poczęstował kawą i ciastem, a w dwa dni potem przyszli enkawudziści i wygruzili Leszka, mnie i kol. Kretowicza prosto na Łukiszki. Odczytano mi wyrok: 25 lat więzienia za działalność kontrrewolucyjną, więc usiadłem w przepełnionej celi i zacząłem czekać na Niemców, którzy rzeczywiście przyszli i uwolnili mnie, zaś Leszka Zawiszę, mego najdroższego przyjaciela, zdążyli Ruscy wywieźć na Syberię, skutkiem czego jest dziś szanowanym architektem w Venezueli. Pana Babinicza spotkałem pod tym samym nazwiskiem grubo później w Polsce, w Związku Literatów: jest piewą spraw oświatowych w Kielecczyźnie, pisuje książki i do gazet. Spojrzał na mnie przeciągle, ale mnie nie poznał, a przynajmniej nie dał po sobie poznać, że mnie poznał. Ja też go już nigdy nie poznałem.

Konspirowałem jeszcze tu i ówdzie, a na koniec w Norwegii. Po wojnie ci z Londynu opuszczając Oslo chcieli mnie zabrać ze sobą. — Załatwimy ci studia w Edynburgu — powiedział kapitan Pierścianowski, czy porucznik Sułek, już nie pamiętam. Ale mnie się już nie chciało studiować. Chciałem pisać. W 1945 byłem w Polsce jako delegat norweskiego ministerstwa: nie groziło mi nic, mogłem się rozejrzeć. Rozejrzałem się, było jakoś inaczej. Przemoc i kłamstwo było nadal napędem całego przedsięwzięcia, ale nikt by nie egzekwował moich 25 lat pudła z Łukiszek. Komunizm rosyjski jest rzeczą śmiertelnie poważną, na serio, nie ma tam żartów i zawsze rozchodzi się o duże rzeczy. Polski komunizm był sprawą mało poważną od początku. Owszem, wdeptywano ludzi butami w podłogę na Koszykowej i zbudowano hutę-gigant, ale zawsze był w tym jakiś akcent cynicznego chichotku, jakichś pośmiejek. Wtenczas, na początku, komunizm uszinkowany był na demokrację ludową, niby tylko przebrany za kogoś innego, ale czuło się, że coś jest inaczej. Wydawało się, że można tu przyjechać i robić swoje, czyli być twórczym przeciwnikiem i w tym właśnie tkwił gruby błąd, bo wiem każdy komunizm — polski, czeski, czy kubański — jest w końcu sprawą na tyle rosyjską, aby nie znać pojęcia przeciwnika. Zna tylko wyznawców, służalców, lub wrogów. I ja to przeoczyłem.

Pojechałem do Norwegii, załatwiłem swoje sprawy i wróciłem do Polski. Na razie nie było najgorzej. Borejsza wyrzucił mnie z pracy za zupełnie prawdziwą wiadomość, którą „Rzeczpospolita” (ówczesna urzędówka) wydrukowała przez pomyłkę. Wtenczas zdarzały się jeszcze pomyłki. Później wyrzucono mnie z „Przekroju” za zupełnie prawdziwe sprawozdanie z turnieju pięściarskiego. Przy okazji też wyrzucono mnie ze Stowarzyszenia Dziennikarzy: okazało się, że członkom tej organizacji nie wolno

już było pisać prawdziwych sprawozdań, o czym jeszcze nie wiedziałem. Pracowałem jeszcze w „Expresie Wieczornym” i wydałem książkę, która doczekała się zaszczytnego losu: weszła na indeks, wygrzebywano ją z księgarń i palono. Powodem nie była jej słabiutka treść, lecz okładka z AK-owską kotwicą, umieszczona tam ręką artysty-plastyka. Wreszcie zgłosiłem się do „Tygodnika Powszechnego” i przez 3 lata istnienie moje miało jakiś sens. Były to najszcześniejsze lata: odczuwałem zdrową radość nie brania udziału w jakimś zbrodniczym idiotyzmie, w którym tylu ludzi nurzało się po szyje. Pisywałem recenzje teatralne z Warszawy, cenzura konfiskowała mi dwie na trzy, ale to było piękne. Literaccy właściciele Polski Ludowej i *playboy*e z ZMP nigdy nie mogli mi tego darować. Gałczyński, Borowski, Żukrowski i wielu innych zaczynało po wojnie w „Tygodniku”, po czym wędrowali do komunistów. Ja odbyłem drogę w odwrotnym kierunku, od Borejszy do ks. Piwowarczyka, sam jeden, na oczach wszystkich. Kiedy „Tygodnik” oddano Piaseckiemu, nie mogłem dostać żadnej pracy. Ani jako reporter sportowy, ani jako kelner. Moje podanie w Warszawskich Zakładach Gastronomicznych opiniowało UB odmownie: serwowany przez mnie bryzol z groszkiem zalatywał im polityczną demonstracją. Z obecnej perspektywy stwierdzam z niesmakiem, że najlepiej było mi za stalinizmem: nie opuszczało mnie poczucie racji moralnej i społecznej przydatności. Ja odmawiałem podpisania apelu sztokholmskiego, udziału w fałszowanych wyborach, czy w pochodzie 1-szomajowym. Mnie odmawiał Związek Literatów pomocy w ciężkiej chorobie. Ale obcowanie z ludźmi nacechowane było czystością i otwartością, linie podziału proste i wyraziste, kryteria godności i rzetelności przejrzyste i sprawdzalne. Integralność intencji nazywała się zachowywaniem twarzy. Gustaw Holoubek powiedział kiedyś o mnie, że ja zachowywałem buźkę: było to śmieszne, ale łatwe do wybaczenia. Życie w stalinizmie było piekłem, ale nie dla wszystkich: na przykład nie dla tych, którzy postanowili zawalczyć o własną wartość. Płacili, to prawda, ruiną planów życiowych, ale za to współbrzmieli z ogromną masą ludzi wokoło i to było wspinać.

Potem przyszedł Październik. W komunizmie żyje się nieustająco *mimo*, albo *wbrew*; lata 1955-6-7 polegały na tym, że żyło się *w* i *z*. Jako jednostka i obywatel miałem prawo wstępu do wydawnictw i oferowania moich książek, pisanie nowych, a także artykułów odbijających moje poglądy i przemawiania publicznie zgodnie z zapatrywaniami. Wraz z 30 milionami innych myślałem, że idzie ku lepszemu, że będziemy wyjaśniać i remontować. Nadal byłem przeciwnikiem, lecz uważałem, że komuniści powinni pozostać przy władzy, bo niby jak inaczej? Wydałem

w ciągu tych lat to, co dotąd napisałem i napisałem rzeczy nowe, które wydałem. Po czym nastąpił absolutyzm oświeconego komunizmu i matactwa neo-Dyrektoriatu w kulturze. Ulepszono uchwyt, owinięto nylonem rączkę.

Był to także okres, w którym raz dziennie przychodził list z pytaniem, jak można dostać ZŁEGO. Ostatnie wydanie z 1957 sprzedawane było jeszcze spod lady, ale już pojawiły się oznaki zemsty wokół mnie. Jacys „księgarze ślasy” ogłosili w prasie rezolucję, że nie będą sprzedawać ZŁEGO w swych sklepach: piętnowali go jako literaturę brukową i domagali się nie wznawiania. W pierwszej fazie powodzenia spodziewałem się otrzymać nagrodę miasta Warszawy, tymczasem w 1958 Wydział Kultury Stoł. Rady Narodowej nakazał wycofanie ZŁEGO z bibliotek miejskich, oskarżając mnie o spotwarzanie mego rodzinnego miasta. Wschodnio-niemiecki wydawca zrezygnował z opcji pod naciskiem radcy kulturalnego w Berlinie. Na czele „Czytelnika” stanęła p. Wichowa, zaś rodzina Wichów odcisnęła się ciężko na moim losie i nawet zastanawiałem się, czy nie stanowię ich ulubionego tematu przy posiłkach, na przykład: — Jak ci dziś szło kopanie Tyrmanda, skarbie? — P. Wichowa odmawiała twarde wznowienia ZŁEGO, motywując to brakiem papieru, którego nigdy nie brakowało na wznawianie jej prywatnych i partyjnych pupilów, nawet gdy dziesiątki tysięcy ich dzieł zalegały składy w stanie niesprzedanym. Dostałem kiedyś list od kogoś z Żarowa pod Świdnicą z prośbą o przepisanie na maszynie brakujących kartek, które zniszczyli pożyczający odeń nieustannie, jedyny w Żarowie egzemplarz ZŁEGO. Usiłowałem na próżno wzruszyć p. Wichową tym listem, bo ma ona wygląd dobrze odżywionej nauczycielki, jak gdyby skłonnej do łagodnych uprzejmości, ale jest to wskazówka myląca: w istocie jest zeszwesowana z fałszu i stali. Zaś jeden znajomy z „Czytelnika” powiedział mi pobłaźliwie: — Czy ty dziecko? Nie rozumiesz, że nie chodzi o ZŁEGO, tylko o ciebie? Gdyby ZŁEGO napisał ktoś inny, wychodziłby co roku po 30.000 egzemplarzy. Ale ty? Ocknij się... —

Ocknąłem się, a raczej mnie ocknięto. Skonfiskowano „Siedem Dalekich Rejsów”. W 1959 skończyłem powieść p.n. „Filip”, dla Wydawnictwa Literackiego w Krakowie. Książką zajęła się p. Zatorska, która odegrała w moim życiu rolę więziennego strażnika, przekraczającego kompetencje i lejącego po twarzy więźnia o skutych dłoniach. Jeszcze w Centralnym Urzędzie Wydawniczym kładła się trupem przeciw wydaniu ZŁEGO, ale niebawem uznana została sama za pomiot stalinizmu, zaś w rok później siedziała już znów w siodle jako dyrektor departamentu wydawnictw w Ministerstwie Kultury. I zaczęła krwawą działal-

ność. Spotkałem kiedyś Leca na Krakowskim i mówię: — Dokąd się pan tak śpieszy? — na co Lec: — Umyć się. Rozmawiałem z Zatorską. — Trafił w dziesiątkę, Zatorska — Fela w intymniejszych rozważaniach, zaś mało jest piszących w Polsce, którzy nie wyobrażaliby sobie intymnie jak łamιά p. Zatorskiej ręce i nogi — ma w sobie coś oblepiającego: ogromne, słodkie oczy, wrażliwe wargi, a na nich uśmieszek obłudny i tak okrutny, że co słabsze jednostki marzą o natychmiastowej ucieczce. Fela pochodzi z jakiejś bajecznie bogatej rodziny, nic więc dziwnego, że jej wiara ma charakter ekspiacyjny, upatrujący w maltretowaniu niewiernych najlepszy środek na odkupienie. Kiedy pierwszy raz stanąłem z Felą oko w oko, wiedziałem od razu, że mowy nie ma o remisie i ktoś musi być zniesiony z ringu. Fela oświadczyła, że póki *ona tu* siedzi nie ukaże się nigdy tak pornograficzne świństwo jak „Siedem Dalekich Rejsów”, ani tak wredny i niemoralny kicz jak „Filip”; popełniła jednak typowy błąd rozwścieczonego tygrysa dodając, że bynajmniej nie zapomniała co ja o niej napisałem w Październiku, w kwartalniku „Homo Dei-Ateneum Kapłańskie”. Była to pamiętliwość imponująca i cios w tym momencie kończący: ja zapomniałem jak o śmierci, że w liście do śp. Ojca Pirożyńskiego, redaktora tegoż kwartalnika, wspomniałem jednym, niepochlebnym zdaniem o p. Zatorskiej. Ale taktycznie był to błąd: nie konfiskuje się przecież komuś książek z tak osobistych powodów.

„Filip” był powieścią ideowo zaangażowaną: wołał o świadoma postawę konsumpcyjną, która w pewnych warunkach jest jedynym skutecznym oporem, zaś w ramach oszałałego od hipokryzji gomulkiizmu stanowiła wzorzec postępowania, znienawidzony przez wielkorządców. Nie dawać się, demaskować, wierzyć — oto była przesłanka „Filipa”, zaś hitlerowska metafora stanowiła literacką konieczność chwili. W imię nie dawania się udałem się więc do mego organizacyjnego lidera w Związku Literatów, czyli do prezesa Jarosława Iwaszkiewicza. Nigdy za nim nie przepadałem i gwoili sprawiedliwości rzec muszę, że i on nie znośił mnie, czemu dał wyraz w znanym felietonie o ZŁYM, gdzie zmieszał mnie z błotem subtelnie i skutecznie. Zawsze wyobrażałem sobie, że jak tylko Ruscy przewalili się przez Mazowsze pan Jarosław nałożył swój czerwony fez, usiadł przy oknie i zamyślił się głęboko jakby tu uratować posiadłość w Stawiskach (dar przedwojennych plutokratów w zamian za bliski im ideologicznie estetyzm) w obliczu wywłaszczeń i rewolucyjnych gwałtów. Za to co wymyślił otrzymał w 10 lat później order Odrodzenia Polski i najmiłsze zaszczyty, jakie tylko komuniści mogą pisarzowi ofiarować, i to w sposób tak dystyngowany, że można by się jeszcze poupierać przy tzw. niezależności sumienia, wier-

ności ideałom i Muzom. Pamiętam jak otwierał kongres intelektualistów we Wrocławiu, w 1948: już wtedy wiadome było, że impreza ta śmierdzi, ale Iwaszkiewicz zniósł zapach z post-szlachecką nonszalancją i tak już poleciał. Pod koniec 50-tych działał w Warszawie salon literacki pani Ireny Krzywickiej: zbierali się w nim ludzie, którym najlepiej się w Polsce powodziło, by narzekać na swój zły los, pieszczochy reżymu kapryszące na reżym i na bezsens (!) istnienia, dyplomaci, którzy spędzili piękne życie poza Ludową za jej dziadźki, krytycy literaccy o talentach akrobatów, dziennikarze zmywający wieczornymi wyzwiskami na KC ślady porannych pocałunków ze swych ust, filmowcy zbijający miliony na filmach, na które nikt nie chodzi, satyrycy i graficy, którzy zbudowali swe fortuny na zwyrodnieniu kułaka i marszałka Tito, a teraz poprawiają sobie wzajemnie makijaż „na dziewczęc”. Nie przeczę, przewijali się tam także ludzie zacni i zabawni, ale dla mnie Jarosław Iwaszkiewicz był symbolem tego salonu i ja nigdy nie skorzystałem z zaproszenia.

Przyjęty zostałem w redakcji „Twórczości”, gdzie wyłuszczyłem sprawę: Zatorska nie puszcza książki powołując się na cenzurę, podczas gdy książka w ogóle nie była w cenzurze. Iwaszkiewicz powiedział, że to typowa szykana, że wszyscy wiemy co to Zatorska, że on idzie jutro do Kraśki w sprawach ZLP, więc pogada i o tym. I kazał przyjść pojutrze. Przyszedłem i usłyszałem, że Kraśko słyszeć nie chce o „Filipie”, że krzyczał, że ta książka nigdy się nie ukaże, że nie ma co o nią walczyć, bo nie dość podobno, że nie dobra, ale jeszcze cyniczna i niemoralna. Pochyliłem głowę w pokorze i poszedłem sobie, ale złośliwy traf chciał, że w dwa dni później zgodził się mnie przyjąć. Kraśko, o co żebrałem, błagałem i telefonowałem od miesięcy. Kierownik wydziału kultury KC Kraśko jest melancholijnym brunetem o smutnym spojrzeniu rozdartego przez wątpliwości Wilnianina: w Poznaniu chciał wziąć na siebie winy wszystkich postępowców od Engelsa do Jędrzychowskiego wobec rozjuszonego tłumu, co świadczy o charakterze. Ma opinię takiego, co robiłby dobrze, gdyby mógł, ale nie może, co nie znaczy, że sprawa „Filipa” to dla niego więcej, niż dwa telefony i po krzyku. Zacząłem więc potulnie, że pan prezes Iwaszkiewicz rozmawiał z panem wczoraj, prawda? — Tak — przytaknął Kraśko. Ja: — Więc zna pan sprawę? — On: — Nie wiem, o czym pan mówi? — Ja: — Napisałem książkę... — On: — Pierwszy raz o tym słyszę. — Ja: — To pan prezes nie wspominał? — On: — Nie o pana książce. — Ja, pośpiesznie: — Widocznie zapomniał. To ja sam wyjaśnię... —

Zyją w Warszawie ludzie, którym powtarzałem te dwie roz-

mowy tego samego dnia w kawiarni „Czytelnika”. Mogą zaświadczyć. Jeśli zechcą.

„Filip” wyszedł w końcu, przy zredukowanym przez Fełę nakładzie do połowy zamierzonego. Rozsprzedany został w ciągu 3 dni i dziś nie ma po nim śladu w Polsce, nad czym czuwała Fela: zemsta jej sięgała i dalej, do innych demoludów i mówili mi wydawcy na Węgrzech, że odmówiono im zezwolenia na jego wydanie na skutek interwencji z Warszawy. Natomiast rzucili się na mnie poinstruowani przez p. Zatorską krytycy. Ja zawsze miałem szczęście do krytyków typu były faszysta, oenerowiec, dewot wiary kolejnej, do wszelkich Lichańskich i Hierowskich, fatalnie ubranych, obarczonych dziećmi i drobnomieszczańską egzystencją, nie mogących darować mi, że przez 20 lat byłem ich prostym przeciwstawieniem. Zawsze oskarżali mnie z nienawiścią że „pozwalam sobie” na niezależność dla fanaberii i fasonu, nie dostrzegali, lub nie chcieli dostrzec mojego ryzyka i zainkasowanych uderzeń, których się bali, widzieli jedynie pirotechniczne efekty walki i to ich kurczyło z zazdrości. „Filip”, nawiązujący do takiej postawy, był idealnym celem ataku. Wziął się przeto za mnie p. Andrzej Kijowski, publicysta inteligentny i świetnie piszący, ale jeden z tych odważnych, którzy zaczęli głośno i dzielnie protestować, kiedy już było wolno i nic za odmiennosc nie groziło. Przedtem p. Kijowski był gorącym adwokatem soc-realizmu w krakowskim „Życiu Literackim” i używał swego talentu do obrony dzieł, do których wstyd się dziś przyznać, że je czytał. Coś go widocznie jadło, czy te wspomnienia, czy szare od przyzwoitości życie, dość, że rzucił się na mnie z rzadko obserwowaną furią w „Twórczości” i przyznam, że uczynił na mnie wrażenie, mimo że w konkurencji obelg *ad personam*, drukowanych w komunistycznej prasie, mogę się ubiegać o całkiem wysoką lokatę. W tym podnieceniu i oćmie p. Kijowski kłamał, przekręcał i fałszował wątki powieści, zaprzeczał w jednym zdaniu temu, co napisał w uprzednim, czego zazwyczaj, gdy spokojny, stara się przecież nie robić, nade wszystko zaś wyzywał mnie tzw. słowem publicznym. Ta rozprawa dała mi wiele do myślenia: na ogół redaktorzy naczelni w komunistycznych pismach nie zezwalają na taką gwałtowność inwektyw i tonu, o ile nie ma dyrektywy „kończącej” faceta. Lecz redaktorem naczelnym „Twórczości” jest Jarosław Iwaszkiewicz, zaś ja byłem już zalegalizowanym „liszeńcem”, wyjętym spod prawa, każdy mógł do mnie bezkarnie strzelać. Nie dawano mi paszportu, nie wznawiano książek, nie wydawano nowych. — O tobie nie wydrukują — rzekł mi jeden z moich przyjaciół, który rozważał ewentualność ośmieszenia Kijowskiego. Miał rację. O mnie nie drukowano, a jeśli to tylko napaść, lub wyzwiska. Dziennikarzowi z „Ży-

cia Warszawy", który chciał zamieścić wzmiankę o portugalskim przekładzie ZŁEGO, zwrócono uwagę, że o mnie nie pisze się pozytywnie. Zostałem kiedyś zaproszony przez program telewizyjny „Wszyscy jesteście sędziami” do wieloosobowego jury; na dzień przed audycją zadzwonił do mnie w panice kierownik programu: — Bardzo mi przykro, ale redakcja naczelna TV warszawskiej zażądała skreślenia pana! Nie mogę tego pojąć. Prowadzę ten program od wielu lat, setki ludzi zasiadały w tym jury i nigdy nikogo nie skreślono... — Biedny, nie wiedział, że ja mam zakaz wstępu do radia i telewizji, mimo uroczystych zaprzeczeń prezesa Sokorskiego, który zapewnił mnie, że to nieprawda. To była prawda, mnie powinno *było nie być*, taką niegramatyczną zasadę wyznawano wobec mojej egzystencji. Kto? Tu zaczyna się niby-zagadka, na którą niby nie ma odpowiedzi. Najgorsi siepacze stalinowscy w rodzaju prezesa Sokorskiego, zapeklowani w polityce, kulturze, sądownictwie, w latach 60-tych nie myślą już ani o walce, ani o pryncypiach, tylko o tym jak dyskontować zasługi, jeździć do Włoch, kupować szaliki w Londynie i wyszarpywać przydziały na samochody z Targów Poznańskich. Nie gnoją mnie już za to co reprezentuję, jak za Stalina, ale za to, że jestem i psuję łatwy rachunek. Nie jestem z ich rakiety, zaś kogoś gnoić trzeba, inaczej jest się samemu gnojonym, taka już jest metoda znoszenia ucisku człowieka przez człowieka. Małostkowość tych prześladowań nie ujmowała im siły niszczącej, przesądzała jedynie moją kondycję: śmieszyłem, nudziłem i drażniłem nawet najbliższych, przyzwyczajonych już do moich *non-stop* klęsk. Wyobrażam sobie co działałoby się w kawiarniach, gdyby prof. Kotta skreślono z programu telewizyjnego: Błatmanowe plus balet byłych stalinowców odtńczyłyby „Polonię” Grottgera przed gmachem KC.

Książki wydane w Październiku zapewniły mi parę lat życia bez finansowych kłopotów. Od 1960 stanąłem wobec problemów utrzymania. Jak wszyscy pisarze jeździłem na spotkania autorskie: władze lokalne wpływały jednak hamująco na zapraszające instytucje, prasa nie zamieszczała zawiadomień, zaś krakowski klub studencki Jaszczury otrzymał zwykły zakaz urządzenia mi wieczoru. Źródłem zarobków dla pisarza jest film, który — jak wszystko w Polsce — stanowi własność Politbiura, ale oddany został w pacht paru osobom. Szefem jest min. Zaorski, z wykształcenia ekonomista-księgowy, który przyszedł do kinematografii jako rewident Najwyższej Izby Kontroli i został. Przez lata kierowania smak mu się wyrobił i wyostrzyły kryteria, co jednak nie wystarczy do artystycznego przywództwa i aczkolwiek cieszy się opinią „lepszy on, niż inni”, to obiektywnym osiągnięciem jego panowania jest kompletny upadek polskiej nowej fali z końca lat

50-tych z wyżyn światowych sukcesów do roli Kopciuszka nie zapraszanego na festiwal. Jednak szkodliwszym zjawiskiem jest filmowe *lobby* w KC — jej dwie potęgi to Aleksander Ford i Jerzy Toeplitz. Ford, Jago z Łodzi, nikczemny intrygant, zawdzięcza swe „sukcesy” bezbłędnie koniunkturalnej tematyce swych filmów, zaś swą pozycję — machinacjom, denuncjatorstwu, patologicznemu niszczeniu młodszych i zdolniejszych. Toeplitz to komunistyczny Tartuffe: w Polsce głosi nadal i z powodzeniem żdanowowski katechizm i stalinowskie parytety oceny, blokując drogę poszukiwaniom, w Cannes, Nowym Jorku i Wenecji wygłasza przemówienia, z których wynika, że jest jedynym bojownikiem o wolność filmu za żelazną kurtyną. W 1963 reżyser Rybkowski ośmielił się nakręcić film według mego scenariusza: skutki były fatalne. Ford protestował u Starewicza i żądał zakazu eksploatacji, Starewicz przyrzekł Fordowi, że nigdy więcej żaden mój scenariusz nie wejdzie na plan i ograniczył wyświetlanie filmu do większych miast i 3 tygodni, zdejmując go z ekranów, gdy przed kasami tworzyły się jeszcze ogonki, co było raczej zasługą rozbierającej się z nieporównanym wdziękiem Beaty Tyszkiewicz i patrzącego na nią z łóżka nieporównanie głodnym wzrokiem Andrzeja Łapickiego. Starewicz zwołał odprawę krytyków filmowych i poinstruował ich jak mają pisać: z każdej recenzji wynikało potem równiutko i w dwuszeregu, że ja zmusiłem reżysera, aktorów i operatora pod groźbą pistoletu do nakręcenia najbardziej chałwatego scenariusza od czasów Mieszka i Dąbrowki i to w celu ideologicznego nadużycia. Dwóch odważniejszych, którzy napisali inaczej, miało ogromne przykrości. Erupcji jadu przeciw temu filmowi nie potrafię sobie znów inaczej wytłumaczyć, jak moją osobą: nazywał się „Naprawdę Wczoraj” i poświęcony był sympatycznemu karierowiczostwu. W kraju, w którym roi się od dwuznacznych i zadziwiających wzlotów, gdzie byli falangowcy robią fortunę jako pupile Żydów, byli poznańscy endecy są wice-ministrami, przedwojenni geszefciarze są teoretykami sztuki, zaś niedawni kamienicznicy opracowują komunistyczne Składy Apostolskie — ludzie powinni być wdzięczni na moją łagodną metaforę. Gdyby to napisał Czeszko dostałby medal za taktowne demaskowanie.

W 1964 na zebraniu oddziału warszawskiego Związku Literatów odczytywano listę członków zalegających z płaceniem składek. Gdy odczytano moje nazwisko rozległ się głośny wybuch śmiechu. Miało to oznaczać rozbawienie faktem, że ja, beniaminek publiczności, autor lukratywnych romansów rozrywkowych, posiadacz samochodu (kamień obrazy!) zalegam ze składkami chyba tylko dla pustej kokieterii. Uśmiechnąłem się i ja, ale też i sobie pomyślałem, że to koniec. Nie ma co tu dłużej sie-

dzieć, ani na tej sali, ani w tym mieście, ani wśród tych „kolegów”. Byłem na finansowym dnie, nie miałem na komorne, na wakacje, samochód konserwowałem za grosze, kupowałem benzynę za pieniądze zaoszczędzone na posiłkach, po co więc tkwić w bezsensownym kłamstwie, w przekreślonym do góry nogami obrazie życia. W przeciwieństwie do 95% tej roześmianej sali nigdy niczego od Związku Literatów nie dostałem: nie brałem żadnych, bezzwrotnych zapomóg, ani nie pisywałem za te „pożyczki” wierszy o urodzie i słodyczy Stalina. Byłem członkiem ZLP od 1948, ale nawet w okresach najgorszej nędzy jedyną pomocą było prawo zakupu dobroczynnych obiadów klubowych, którymi Związek podtrzymywał mnie na duchu. Raz to nawet mógł pomóc, a nie pomógł. Było to wtedy, gdy Ruscy wydali ZŁEGO w 180.000-cznym nakładzie i nie zapłacili ani grosza. Na wyrwanie forsy od Ruskich istnieje z dawna opracowana metoda: jedzie się na delegację lub stypendium ZLP do Moskwy, tamtejszy Związek Pisarzy zmusza uprzejmie wydawnictwo do odpalenia należności i w ten sposób każdy, komu coś tam wydali frachtuje telewizory i lodówki z GUM’u do warszawskich komisów. Szkopuł w tym, że takim jak ja nie daje się żadnych stypendiów, a pomysł, żeby mnie wysłać w delegacji wydawał się luminarzom ZLP wytworem chorego mózgu. Z drugiej strony delegacje jeżdżą co pół roku i byli już na nich wszyscy, z wyjątkiem tych chyba co nie mieli siły dowlec się do pociągu. W 1964 ubłagałem Putramenta, żeby wpisał mnie na listę takiej delegacji; już, już miałem pojechać, kiedy wezwany zostałem przez sekretarza Związku, p. Gisgesa, który oświadczył mi, że jest mu „niewymownie przykro”, ale KC skreśliło mnie z listy delegacji. Zamiast mnie pojechał p. Gisges.

Tym śmiejącym się nie przychodziło do głowy, że ja *naprawdę* tonę w gnoju nieprzecieżalnego i tego niesposób było tolerować. Zanurzałem się coraz głębiej w beczce z absurdem: uchodzić za gorszego, niż się jest, i nic z tego nie mieć przeczy podstawowym założeniom rozsądku. Żyć w nieustającym odwrocie, w kurczącym się nieustannie stanie możliwości i nie mieć z tego nawet najlichszych zadośćuczynień to stawało się nie do zniesienia. Można żyć bez zwycięstw, długo można ponosić same klęski, ale tracić przy tym najprostsze tytuły do odszkodowań — to były karykaturalne. Miesiące i lata przesiedziane beczynnie, w oczekiwaniu na paszport, na zwolnienie książki z cenzury, na zatwierdzenie innej książki, na wznowienie trzeciej, co do której nie ma obiekcji, a jednak się jej nie wznowia — to była rzeczywistość. Powie ktoś: tak dzieje się w komunizmie ze wszystkimi i wszystkim, nie jesteś żadnym wyjątkiem. Jest to prawda nieprecyzyjna, nadal obowiązuje tam orwellowskie stwier-

dzenie o równych i równiejszych. Swoich nieposłusznym, rozczarowanym i rozgoryczonym karcę się, lecz uważnie, kopie się, lecz ostrożnie, a jak się przewrócą to się ich troskliwie podnosi, otrzępuje, myje i suszy. Natomiast są w Polsce tacy, których się wykańcza i ja do nich należałem. Powie ktoś inny: deklarujesz się jako antykomunista, dlaczego więc mieliby cię nie wykańczać? Nikt cię nie zmuszał do przyjazdu w 46-tym, wybrałeś dobrowolnie życie w totalizmie, a teraz po 20 latach skarżysz się płaczliwie, że totalizm zły? Na to powiem pokornie: w porządku. Toteż za Stalina nie miałem żalu do nikogo, ale w międzyczasie mnóstwo się zmieniło. W międzyczasie prześladowania ideowe zmieniły się w mechaniczne gnojenie, zaś ja pokochałem ten kraj taki jakim jest. W międzyczasie zrodziła moja nowa kondycja Polaka z Polski tej a nie innej, człowieka z Warszawy udręk i radości, niepoznawalnych dla nikogo spoza tego miasta. Miliony takich jak ja żyło, pluło, budowało, bluzgało nienawiścią i dalej twardo żyło w tej rzeczywistości, której jesteśmy pierwiastkowym elementem wszelkich osiągnięć i zmian. Gdyby nas nie było, nie byłoby Października, Gomułki i rewizjonistów, socjalizm nie wymagałby korekty, Berman i Radkiewicz mieliby rację: to my jesteśmy prapoczątkiem przeobrażeń, a nie partyjni talmudyści. Stałem się Polakiem zaglomerowanym, na którego złożyły się most Poniatowskiego i brak masła, Praga II i sowieckie zbrodnie, spółdzielnia „Gromada” i Antoni Słonimski, kardynał Wyszyński i „Czerwono-Czarni”, pomnik Powstańców i lekkoatleci, Spatif i bar „Gopło”. Polacy, czyli naród na stacjach PKS-ów w mglisto-błotniste ranki, z papierowymi walizkami i z dziećmi w za ciepłych rajtuzach, są równie moi, jak Moczara. Wraz z tym narodem posiadam wiedzę o nieogolonych cwaniakach w niechlujnych biurach, a także o tym jak korzystać ze wspólnej łazienki na kilkanaście osób i jak wchodzić do pociągu przez okno. Przez 20 lat stałem wraz z nim w kolejce po cytryny, przez co stała się ona *moją* kolejką w większym stopniu, niż Szyrów, Leszów i Jaszczuków, którzy ją wyprodukowali, ale z niej nie korzystali, bo przedtem sklepy za żółtymi firankami, a potem służące. 30 milionów ludzi, a z nimi ja, posiadliśmy prawo miłości i nienawiści do komunistycznej Polski, która jest *naszą* i *moją* Polską, mimo żeśmy jej wcale taką nie chcieli, ale takie rzeczy zdarzają się w najlepszej rodzinie, w związku z czym nikomu nie wolno gnoić mnie w imię parszywości totalizmu. Opowiadano mi kiedyś o Kliszce, piorącym samotrzcę koszulę *non-iron* w umywalni luksusowej łazienki hotelu Claridge, czy George V, przed spotkaniem z de Gaulle’em. Tam, za godzinę, luksusy Pałacu Elizejskiego, a tu teraz koszulka z komisu na Nowym Świecie (wiedeńska). Istnieje wiele przyczyn, dla których Polak z

Polski, nawet będąc Kliszką, pierze solo koszulę na wyjeździe do kapitalizmu, zaś pierwsza i główna to ta, że uważamy za grzech śmiertelny wydatkowanie twardej waluty na coś, co można mieć w złotych polskich, albo zrobić samemu. Kliszko jest jednym z mych naczelných oprawców, jego zarządzenia kneblują takich jak ja, ale gdybyśmy sobie tak stanęli w tej łazience we trójkę: Kliszko, Anders i ja, albo Kliszko, ja i Johnson — to zasadnicza wspólnota byłaby między mną a Zenkiem, między katem a ofiarą. Jest to niepoznawalna dla trzecich, tych z zewnątrz, więc wspólnej świadomości, tego co *my* wiemy, wspólny mianownik odruchu warunkowego nakazującego zabrać się za pranie koszuli jak nikt nie widzi i tak ją zrećźnie powiesić w szafie (podłożwszy gazetę do ściekania), żeby służba nie zauważyła i źle sobie o nas nie pomyślała. Na stacjach benzynowych w Warszawie zdarzało się, że facet ze szlauchem w wlewie powie mi: — Panie Tyrmand kochany, ja to bym sobie pana trochę poczytał. — Na to ja: — Kiedy nie dają. — On: — Kto? — Ja: — Cenzura. — On: — Co za cenzura? — Ja: — Oni. — On już wie, kto to „oni”, więc mówi: — Kładź pan na nich lachę. Nie może pan tak napisać, żeby dawali? I żeby ja mógł sobie poczytać? — Mój Boże, Polacy, naród heroiczny i oporny, który nawet nie wie co to cenzura! Mógłbym temu ze szlauchem przytoczyć opinię innego Polaka, który powiedział mi o mojej ostatniej książce, tej której PIW nie chce wydać i już nie wyda: — I znów popełniasz ten sam błąd: wytykasz ludziom prawdziwe winy. W komunizmie wolno wytykać tylko winy ogólnikowe, lub nieprawdziwe, zezwala na to cenzura i ludzie nie czują się zbyt dotknięci. Ty zaś chcesz pisać o konkretnych świństwach, o takich, których nie można zasmarować pozorami, względnością historycznych przemian, czy tzw. znawstwem życia. I dziwisz się, że nie wydają... — Boję się, że nie mogliby się porozumieć, mimo, że obydwaj Polacy, tego samego chcą i tego samego nie lubią. A przecież wszystko, co w życiu mam, dostałem od Polaków. To od nich dostałem jedyną w życiu pisarza chwilę, kiedy, przed laty, na MDM-ie, stał długi ogonek do sklepu, a przechodził obok mnie facet w berecie i spytał ostatniego: — Co tu dają? Szynkę? — zaś ostatni odparł: — ZŁEGO sprzedają. Po sztuce na twarz. — I ten w berecie stanął.



Cyganki w Polsce nie zaczynają dziś od tego: — Bogaty będziesz na loterii wygrasz... — tylko od: — Zagranicę wyjeździesz... —

Wyjechałem. Nie będę efektownym uchodźcą w stylu lat

pięćdziesiątych, nie ratuję gołego życia ze szponów UB, nie udzielałam wywiadów o tym jak zmuszano mnie do katowania innych. Komunizm w Polsce nie ma już wiele wspólnego z terrorem fizycznym. Przypomina dziś raczej zepsutą instalację wodociągową: odkręca się kran i woda nie spływa rurą w dół, lecz rozlewa się na podłogę. Nie ma tak genialnego hydraulika, który potrafiłby to naprawić, a jednocześnie z pewnych przyczyn nie można tej instalacji usunąć. Można się tylko od niej oddalić, czy jak chcą puryści: uciec. Więc oddalają się wszyscy, którzy chcą jeszcze w życiu odkręcać normalny kran: architekci, plastycy, muzycy. Trzecia, czwarta, czy któraś tam emigracja. Nazwałbym ją komunistyczną, bo dużo w niej członków partii i konsularnych paszportów. Tak samo ciężka i smutna, jak inne emigracje. Jej nastrój scharakteryzowała jedna dziewczyna w Paryżu, która powiedziała mi w zeszłym roku o innej dziewczynie:

— Znalazłam jej genialną posadę przy chorym na raka. 20 franków i żarcie. Tylko, że krótkotrwała... —

Leopold TYRMAND

PACZKI BEZ CŁA - PRZEKAZY PIENIĘŻNE DO POLSKI



Tel.: FRE. 7338

§ = 72 zł.

£ = 201 zł.

PRZEDSTAWICIELSTWO
BANKU P.K.O.

HASKOBA LTD

81 CROMWELL Rd., LONDON S.W. 7

BIURO PODRÓŻY: ANGLOPOL TRAVEL Ltd.
38 Thurloe Place, LONDON S.W. 7 Tel. KEN 3223

« Kosę zapleść »

Kornel Krzczunowicz, były dowódca 8-go Pułku Ułanów i tegoż pułku historiograf, przysłał mi wydaną nakładem własnym książkę o przyjacielu¹. Tym przyjacielem był Leon Sapieha, lotnik, kawalerzysta (oficer 8 pułku), podróżnik, AKowiec, który zmarł w 1944 r. raniony odłamkiem granatu.

Wielką zaletą tej książki jest jej rzetelność w każdym szczególe, bez śladu tak modnych dziś w Polsce *vie romancée* — książka-świadekstwo.

Świadczy ona nie tylko o wydarzeniach (najplastyczniej wyszedł rozdział VI — rok 1920, walki kawalerii osłaniającej odwrót wojsk polskich z Ukrainy), ale o *mentalności* najlepszych z warstwy, którą śp. Leon Sapieha i Kornel Krzczunowicz reprezentują.

Autor zaczyna od genealogii rodu Sapiehów, wylicza tych którzy padli w walce o Polskę od Konfederacji Barskiej poprzez wojny napoleońskie, powstania, aż po rok 20-ty i wojnę ostatnią.

Opowiedziana jest młodość Leona, służba w lotnictwie i kawalerii austriackiej, potem polskiej (Sapieha był ranny w 1920 roku w walkach 8 pułku ułanów), jego prace społeczne, mandat poselski, podróże do Afryki, więzienie Gestapo, AK i śmierć od ran podczas ofensywy armii czerwonej. Trudno o książkę w stylu bardziej żołnierską i „sienkiewiczowską” zarazem.

Gdy we wstępie autor zaznacza wpływ powstańczej tradycji która od dzieciństwa zaciążyła na nim m.in. poprzez Dmytro Bojańskiego, stangreta, który z sapieżyńskiego Krasiczyna do jego rodziny przyszedł („kiedy my paniczu tak pójdziem na powstanie?”) i zrobił z autora tej książki „entuzjastycznego żołnierza i patriotę”, Krzczunowicz dodaje: „czytałem właśnie *Ogniem i Mieczem*, marzyły mi się wspaniałe sceny bitewne, ale nie prze-

1. Kornel Krzczunowicz, *Leon Sapieha*, str. 127. Nakładem Autora, Londyn 1967.

widywałem, że dane mi będzie *przeżywać tę powieść na jawie w 1920 r.*”.

Wojenko! Wojenko!

Gdy kończąc książkę pisze o śmierci Joanny z Sapiehów Bielskiej, siostrzenicy Leona, i jej męża — zamordowanych w 1965 r. w prowincji Kiwu w Kongo, w plantacji założonej przez Leona — dodaje: „padli na posterunku na nowych, jakże dalekich *Dzi- kich Polach* — to jest jeszcze jedno, spośród ilu, spojrzenie na teraźniejszość, oczami Sienkiewicza.



Wiele sprzecznych myśli obudziła we mnie ta książka pisana uczuciem, wiele wspomnień zagłuszonych wypadkami późniejszego. Czy potrafię je tutaj choć częściowo skreślić?

Czytając, że dla Leona Sapiehy, człowieka o wielkiej patriotycznej tradycji, a zarazem oficera austriackiego o rozległych stosunkach, upadek monarchii austro-węgierskiej był „zupełną niespodzianką”, mój pierwszy odruch — zgorszenie. Czy Sapieha żył w innym wieku, w innej rzeczywistości, że nie widział co się dzieje i co się szykuje? Ale sam, gdy w 1917 r., w Petersburgu trafiłem w *uskorennij kurs praporszczikow* w Korpusie Paziów, i gdy po miesiącu zaledwie pierwsza rewolucja rozwaliła w parę dni rządy carskie, a w kilka miesięcy potem bolszewicy doszli do władzy — czy przeczuwałem te wypadki? Wczesną wiosną 1920 roku Leon Sapieha wraca z zagranicy — autor pisze że „sytuacja polityczna Polski wydawała mu się świetna. W tym czasie właśnie ruszyła ofensywa polska na Ukrainę, Kijów został po niewielu dniach zdobyty, zdawało się, że najśmielsze marzenia o Polsce od morza do morza zdają się urzeczywistniać”. Dopiero sytuacja na froncie w czerwcu 1920 r. (sowieckie przeciwuderzenie) „nasuwała pewne wątpliwości” (moje podkreślenia). Oczy przecieram: czerwiec 1920! Jak naiwnie bezpiecznie myśleliśmy o ówczesnych wydarzeniach, kto wówczas poza Piłsudskim i jego najbliższym otoczeniem zdawał sobie sprawę z grozy sytuacji. Niesamowite wrażenie robi czytanie jednocześnie tej książki, tak polskiej w swoim optymizmie patriotycznym, z „Wojną i pokojem” Miedzińskiego², jednego z najbliższych Piłsudskiemu w tym okresie ludzi, który w dodatku był wówczas jego okiem na Rosję. Praca Miedzińskiego naświetla 1920 rok od góry, w perspektywie sytuacji międzynarodowej, zamiarów Lenina i Trockiego, ocen i pomyłek ówczesnych mężów stanu, raportów o sytuacji w Polsce dyplomatów i attachés wojskowych Zachodu, grę Anglii, Polsce tak niechętną, wypowiedź Trockiego na VIII Zjeździe partii, jeszcze w 1919 roku, o rychłym zgnieceniu Polski burżuazyjnej — w obecności Lenina, wcale nie protestującego.

Ale czybyśmy mogli wojnę tę wygrać, gdyby nie zastępy Polaków jak Sapieha, jak Krzeczunowicz, właśnie Sienkiewiczem

2. „Kultura” Nry 5/223, 6/224, 9/227, 11/229, 12/230 (1966 r.).

naczytanych, zawsze i wbrew wszystkiemu optymistów, dla których ta wojna była dalszym ciągiem „Ogniem i Mieczem”. W książeczce Krzeczunowicza nie ma nawet wzmianki o rewolucji w Rosji. Autor coraz to wspomina jedynie o „dżicz”, dżicz ze Wschodu. Nie nowina dla Polaków, cóż robili innego Skrzescy, Wiśniowieccy, Wołodyjowscy jak to, że bili dżicz ze Wschodu. Legioniści, młodzież ślepo wierząca Piłsudskiemu, młodzież radykalna, rewolucyjna, była w wojsku ilościowo mniejszością, a sam Piłsudski był wówczas dla bardzo wielu świetnych wojskowo Polaków niebezpiecznym socjałem, prawie że tajnym sojusznikiem Lenina.

A przecież ta dżicz ze Wschodu była manewrowana i na Polskę rzucona przez ludzi w tej epoce najwybitniejszych, którzy nie tylko się bili o rewolucję, ale tworzyli nową koncepcję walki rewolucyjnej, nową technikę opanowania świata, gdzie Polska była jedynie mniej ważną zaporą, którą należało złamać przy pomocy chłopów i robotników polskich, by świat opanować. (Tu się przeliczyli stratedzy rewolucji).

KARCZMA W BIAŁEJ

Sam w 1920 roku znalazłem się w 1 pułku ułanów — tuż przy autorze tych wspomnień — drogami jakże innymi niż jego bohater. Miałem za sobą nauki w Petersburgu, przeżyłem na miejscu dwie rewolucje, potem krótki pobyt w 1 pułku ułanów Krechowickich, który opuściłem, dwukrotne powroty do Petersburga głodu i terroru, już po rewolucji bolszewickiej.

Sienkiewicza czytał nam Ojciec w dzieciństwie, ale młodość moja nie Sienkiewiczem się karmiła, a Tołstojem, jego chrześcijańskim pacyfizmem i gwałtownym, pryncypialnym antymilitaryzmem.

Polski patriotyzm, polska miłość szabelki, wszystko to wydawało mi się oleodrukowe, czasami wzruszające, ale prowincjonalne, nie mieszczące się na tym szczeblu ogólnoludzkim zawrotnych marzeń o nowym świecie, o światowym braterstwie, równości nie tylko Tołstoją, ale całej znanej mi rosyjskiej literatury i rewolucyjnych prądów, hasła obu rewolucji „wsiem, wsiem, wsiem”. Odezwę rewolucyjną pierwszego przewodniczącego Rady Robotników i Żołnierzy po I-ej Rewolucji, Ceretellego, który wzywał do braterstwa ludzi na wszystkich frontach „poprzez zwąły trupów”, długo nosiłem przy sobie.

Wracałem z Rosji po raz ostatni, już wyzwolony z obsesji teorii tołstojowskich, zawdzięczałem to jeszcze Rosjanom — Mereżkowskiemu przede wszystkim, którego odwiedziłem w Piotrogradzie w jego lodowatym mieszkaniu na Siergiejowskiej. On to skierował mnie na Dostojewskiego, Nietzschego, Rozanowa i dał mi poczucie sensu historii.

Nowe odkrycie Polski, które wówczas przeżyłem po powrocie do kraju, nie ogarnęłoby mnie tak całkowicie, gdyby nie jed-

noczesne prawie zetknięcie się z pismami Brzozowskiego. Trzeba było tego olśnienia w 1919 roku, żeby odkryć inny zupełnie nurt polski, w którym nie tylko odnalazłem to wszystko co mnie przez literaturę rosyjską fascynowało, ale więcej, co zdało mi się nie-uświadomionym dotychczas, moim własnym kształtem myśli, nie po sienkiewiczowsku połanieckiej i nie po sienkiewiczowsku wpatrzonej w przeszłość świetną, ale myśli surowej, aż okrutnej, korzeniami wrosniętej w dzień dzisiejszy, polski, w dzisiejsze światowe problemy i w jutro. „Sam wśród ludzi”, „Legenda młodej Polski” ale również i jednocześnie „Rozdziobią nas kruki i wrony”, „Wyzwolenie”, „Wesele”, a potem dalej i wyżej Mickiewicz i Norwid, to były moje przez Brzozowskiego, jakże spóźnione, odkrycia. I to wszystko było u niego na tle prądów myślowych politycznych i społecznych, które zapładniały myśl Francji, Włoch, Rosji, Anglii, a najmniej Polski. Sorel, Bergson i Newman nie mówiąc o Rosjanach, których przedtem niż Brzozowskiego odkryłem. Polska przestała dla mnie być wyspą z innych czasów, karmiącą się wspomnieniami i legendami.

Jakże przekonywała w perspektywie tych horyzontów myśl Brzozowskiego, tak wroga Polsce „Połanieckich” i „Bez Dogmatu”.

Ale te lektury decydujące poprzedziło drobne przeżycie. Kiedy po raz ostatni wracając z Rosji, na początku 1919 roku przekraczałem granice Polski z powrotem, biegła ta granica wówczas między Białymstokiem, a Białą Podlaską (przedzielał Polskę od Rosji okupowany przez Niemców Ober-Ost, poprzez który już rewolucyjne Niemcy wywoziły swe wojska z Ukrainy). Trafiłem do pierwszej napotkanej w Białej karczmy. W tej karczmie była cała Polska: endecka i żydowska, policyjna i chłopska; wszyscy tam mówili głośno, spierali się, wymyślając na wszystkich i na wszystko, na rząd przede wszystkim, bez śladu strachu. Ta karczma rozgadana i głośna od humoru, od wódki, od sprzeczek, po mojej wędrowce do Petersburga, a potem z fałszywym paszportem do Polski, przez Żłobin i Pińsk z kraju strachu i milczenia, milczenia wszędzie: na ulicach, w stołówkach, w tramwajach, ta karczma była jednym z wielkich krystalizujących wstrząsów, których doznałem.

Więc mogą Polacy żyć razem myśląc inaczej i nie wyrzynać się wzajemnie jak Rosjanie. Może tu jest nasz sens? Może wyidealizowana „złota wolność” Rzeczypospolitej dała nam to historyczne zadanie?

PIŁSUDSKI

Po powrocie do Warszawy niegolony i brudny, w kożuchu i walonkach, z koszem zamiast walizy i dyndającym przy koszu niebieskim czajnikiem, trafiłem ze stacji prosto do Bristolu, z tajnym raportem do Paderewskiego od naszej, częściowo aresztowanej, „Komisji Likwidacyjnej”.

Byłem już wówczas zdecydowany wrócić do wojska. Nie bardzo wiedziałem jak to zrobić, spotkałem w tramwaju Melchiora Wańkowicza, i do śmierci zachowam mu wdzięczność: on mnie skierował wówczas do pociągu pancernego „Śmiały”. Szwagier Melchiora, Stanisław Małagowski, piłsudczyk i legionista, tą pancerką dowodził; on i jego brat nadawali ton tej ochotniczej przeznaczonej formacji, która już miała świetną kartę bojową spod Lwowa.

„Nie znasz Polski, nie znasz młodzieży polskiej, idź do „Śmiałego” — powiedział mi Melchior. Ta młodzież, przeważnie studenci i uczniowie krakowskich uczelni, bujna, wesoła, ze wszystkich warstw pochodząca, przeważnie radykalnych poglądów, na prawdę i „naturalnie” demokratyczna, była dla mnie pierwszym chyba objawieniem Polski nie w obłokach, nie w literaturze, ale w codzienności życia i walki, Polski wokół Piłsudskiego i Legionów się skupiającej. Obaj bracia Małagowscy zginęli w okresie mojej tam służby.

Ta Polska, której chciał Piłsudski, demokratyczna, wielonarodowa, w sojuszu z wolną Ukrainą i wolną Litwą — o nią walczyli Małagowscy i inni moi koledzy ze „Śmiałego” i oni zrobili ze mnie pierwszego wyznawcę Piłsudskiego (Rozpad moralny obsady „Śmiałego” szybko nastąpił po śmierci braci Małagowskich: pijaństwo oficerów, których warta odnajdywała nad ranem urzędników w rowach przy torze, przepaść między oficerem i szeregowym, gorzej, bo do tego krzywda żołnierza).

Zgłosiłem się wówczas do mego pułku z prośbą, aby mnie z powrotem przyjąto.

W 1920 powtórzył mi Strug (bo i do niego chodziłem wówczas, jako do redaktora „Rządu i Wojska”) słowa Piłsudskiego:

„Kiedy widzę na ulicy Polkę w ciężkiej żałobie, to się cieszę — ona płacze nad śmiercią męża czy syna, którzy nie za Niemców czy Moskali padli, *ale za Polskę*”.

W moim domu rodzinnym, gdzie autentyczna, czynna, a nie tylko sentymentalna, tradycja patriotyczna była nikła, wisiał przecie w gabinecie Ojca obrazek olejny, lichej malarsko, Stachewicza: orzący chłop w siermiędze wita powiewając czapką oddział polskiej kawalerii, (czaka, lance, mundury). Ten czarno biały olej, w czarnej drewnianej oprawie spodobał się Piłsudskiemu gdy w 1919 roku, w Mińsku Litewskim, odwiedził mojego Ojca, wówczas marszałka szlachty Ziemi Mińskiej. Piłsudski długo patrzył na ten obrazek, a mój Ojciec, już ujęty przez Piłsudskiego (przedtem mówił, że bandyta, bo przecież napadał na pociągi), ten obrazek mu ofiarował.

Musiał się on Piłsudskiemu spodobać, bo szedł po linii jego marzeń — tej Polski wszystkich stanów i odrodzonego wojska.



Tu chcę się przerzucić o parę lat później, bo to opowiadanie, które wówczas słyszałem, wiąże się ściśle z karczmą w Białej

Podlaskiej. Opowiedział mi je w Krakowie Jacek Puget, kolega i przyjaciel z Akademii Sztuk Pięknych w 1921 czy 1922 najdalej.

Jeden z przedstawicieli wielkiej własności ziemskiej na Kresach³ przyjęty został wówczas przez Piłsudskiego, którego spytał, jak ma rozumieć, że Naczelnik Państwa chce rozmawiać z tzw. „żubrami”, prowadząc jednocześnie rozmowy z „Wyzwoleniem”, a więc z partią lewicową, która w swym programie miała radykalną reformę rolną (znaczyła ona na kresach częścią w przynajmniej likwidację polskiej większej własności ziemskiej⁴).

Na to zapytanie Piłsudski odpowiedział:

„Proszę pana, Polska to jest jeden wielki kottun, trzeba przedtem dobrze grzebieniem ten kottun rozczesać, aby każdy włos był z osobna, a wtedy może da się koś zapleść”.

Było to mi opowiedziane na świeżo, chociaż z drugiej ręki, powtórzone z akcentem Piłsudskiego, który słyszę, jakbym przy tej rozmowie był obecny, gdzie chciałoby się zapisać zamiast rozczesać — „rozczesats”, a zamiast brutalnego zapleść — to delikatne wileńskie coś jakby „zapliest”.

Słowa Piłsudskiego z tych lat, na pewno autentyczne, wraz z iluż innymi czy to ustępami jego przemówień, w których zawsze znajdowałem coś między wierszami, jakby powiedziane do mnie po cichu, czy niezliczonymi powtarzanymi z rozmów z Piłsudskim zdaniami, zawsze potwierdzały we mnie moje ówczesne dla Piłsudskiego uwielbienie, potwierdzały moje własne myśli i przekonania, które w karczmie w Białej Podlaskiej wzięły swój początek.

WOJSKO

W czerwcu 1920 roku przyjęty zostałem z powrotem do Pułku Ułanów Krechowieckich i trafiłem tam na szczytowe miesiące ofensywy armii Budiennego. Któż wiedział czy Polska nie będzie znów zalana u progu zdobytej niepodległości?

„Nous avons allumé la révolution dans toute l'Europe — c'est tout ce qu'il nous faut” — powiedział wówczas, w ferworze entuzjazmu rewolucyjnego, komisarz Spraw Zagranicznych Cziczerin swemu kuzynowi Alexandrowi Meyendorffowi.

A Tuchaczewski pisał w rozkazie dziennym z 4 lipca 1920 r.: „Na Zachodzie rozstrzygają się losy powszechnej rewolucji, po trupie Polski wiedzie droga do światowego pożaru. Na Wilno, Mińsk, Warszawę marsz!”

To zagrożenie śmiertelne czuliśmy wszyscy wprost fizycznie, od Naczelnika Państwa do prostego żołnierza.

3. Był nim bodaj Franciszek Potocki.

4. W tych samych latach Roman Skirmuntt, również ziemianin kresowy, przyjęty przez Piłsudskiego powiedział mu: „W okresie najgorszego ucisku carskiego ziemie we władaniu polskim nie skurczyły się tak, jak za pańskich rządów”.

Gdy wojska sowieckie zbliżały się do stolicy, któregoś wieczoru Piłsudski zaprosił podchorążych z warty do swego stołu; jeden z nich zapytał:

„Komendancie, a co pan zrobi jeżeli Warszawa przecież padnie?”

Na to Piłsudski:

— Ja, to pewno pojadę do Włoch”.

— ?

— Bo tam są pono dobrzy lekarze... Serce leczyć. No a potem, potem wrócę znowu do Warszawy... na konspirację!



Byliśmy w kawaleryjskiej osłonie cofających się spod Kijowa wojsk. Czytając książkę Krzeczunowicza, te fragmenty właśnie, gdzie te tygodnie walk opisuje, w momentach kiedy akcja 8-go pułku graniczyła czy wiązała się z naszą, stwierdzam co chwila zbieżność naszych wspomnień, wierność świadectwa. Obudziła ona we mnie dawno uśpione wspomnienia w ich ówczesnej temperaturze; napływają one bez porządku i bez hierarchii ważności.

Czerwiec, lipiec. Co rano rozkazy z d-wa Brygady: „Otoczyć i zniszczyć Budiennego”. Ale Budienny nieustannie prze naprzód, płynie jak strumień. Odparty w jednym miejscu, innym korytem nas okrąża.

Brygada nasza idzie na wschód ku Brodom, pomimo że jesteśmy okrążeni i odcięci od Lwowa. Mój brat, Stanisław, ułan 1 pułku, ranny odłamkiem szrapnela w osierdziej, dwaj lekarze zaręczają mi, że rana jest śmiertelna i że z taką raną nocy nie przeżyje. Z rozkazu dowódcy odwożę go do tyłu, pono tam jest ośrodek sanitarny. Leży na poduszkach na chłopskim wozie, piaszczysty trakt, poprzez kurz wzniesiony przez kopyta setek koni czerwone zachodzące słońce. Jeszcze żar. „Daj pić! daj pić!”. W studniach nie ma wody, a jeżeli jest, to trochę na dzień, żółta jak herbata. Wszystko wypity oddziały kawalerii. „Powiedz mi czy ja umrę?”. Byłem wówczas patetyczny, mówię coś o spełnionym obowiązku. „Nie gadaj głupstw starszuku”.

Żadnej sanitarki, ale młody lekarz z pułku hallerowskiego bierze go do swojej chaty. Myślę sobie, „nocy nie przeżyje, niech choć w łóżku umrze”. Pułk o świcie wieś ma opuścić i wioska ma być zajęta przez budiennowców. Noc. Wbrew opinii lekarzy mój brat nie umiera. Pułk od świtu wyrusza również na Wschód. Znow ładuję brata na wóz, cierpi bardzo. Jedziemy tuż za naszym pułkiem i w chwili kiedy pułk zajmuje Brody garstka młodych wariatów i kolejarzy przerywa się ze Lwowa torem kolejowym na paru lorach, jest już ciemno. Druga noc. Staś w gorączce bredzi. Chłopcy ze Lwowa ładują błyskawicznie rannych na lory i wywożą nas do Krasnego, do pociągu sanitarnego szpitala Ujazdowskiego. Wagon chirurgiczny. Staś ma wysoką gorączkę, okolice rany ogromnie spuchnięte, przy naciskaniu trzeszczą — flegmona gazowa. Naczelnym chirurg, Kołodziejski,

wykrawa mu natychmiast szeroki i głęboki płat ciała, wyciąga strzępy brudnej koszuli, nie rusza jednak odłamka, wymaga to innej operacji. „Gdyby to była ręka czy noga — amputowałbym. Jeśli tę noc brat pana przeżyje, to wyżyje” — powiada Kołodziej-ski. Tuż przy Stasiu leży młody żołnierz, także ranny i także operowany, ale ma ranę brzucha. Nagle twarz gaśnie, zastyga. Jak z wosku. Śmierć.

Mój brat tę noc przeżył. Ułan od 1917 do 1920, podczas ostatniej wojny 2 lata w oddziałach leśnych AK w Puszczy Kampinowskiej i pod Częstochową, umiera po latach w Argentynie, żarty tęsknotą do kraju. „Wolałbym być parobkiem w Przyłukach jak prezydentem Francji!”.

Kołodziejskiego, który memu bratu uratował życie, po latach spotykam w Starobielsku, skąd już nie wróci, zamordowany w którymś z Katyniów.

Wracam na front. Krzczunowicz wspomina bitwę pod Chołojowem — „dalszy etap powolnego odwrotu ku linii Bugu”. Ten Chołojów dobrze pamiętam. Nagle prawe skrzydło pułku odsłonięte, gwałtowny obstrzał. Cofać się musimy natychmiast, grozi panika. Naokoło, wszędzie, bzykanie kul, to krótkie, to gwizd — prawie śpiew.

Dla mnie Chołojów to przede wszystkim porucznik Litewski. Zwołuje spieszonych ułanów naszego szwadronu z takim spokojem, jakby był nie to na mustrze, ale we własnym gabinecie. „Wszyscy do mnie! Kto będzie przy mnie żadna kula go nie trafi”. Cofamy się.

Kilka minut potem widzę jak galopem trzech ułanów na siwych koniach wynosi z pola bitwy konającego rotmistrza Zakrzewskiego, dowódcę pułku. Ten wielki, ciężki człowiek leży w poprzek jak ogromna kłoda, wstrząsany galopem trzech koni. Znałem go jeszcze z Bobrujska, jego rozwagę i serce samotnika.

Krzczunowicz pisze dalej o Żółtańcach — to właśnie mój pułk zajmuje tę wioskę. Jest w kotlinie. Czujemy się dziwnie bezpiecznie. Naraz zza wzgórza gwałtowny obstrzał wsi. Pułk nasz wycofuje się na zachód i tu Krzczunowicz, który obserwuje to wszystko ze wzgórza, widzi „jeden z najwspanialszych widoków jaki może sobie wyobrazić żołnierz i kawalerzysta... Huraganowy ogień artylerii ostrzeliwuje Żółtańce. Jednocześnie stokiem wzgórza szarża całej dywizji kawalerii sowieckiej w trzech rzutach brygadowych, wspaniale uszykowane rozwinięte linie w przepi-sowych odstępach 400 metrów, jedna za drugą, galopem w dół na Żółtańce. Z początku stanęliśmy oniemieli wspaniałością tego widoku... Przeszli jak sen, przejechali się po nielicznych obrońcach Żółtaniec, bo wojsko zdążyło się rozejść po chatkach na kwaśne mleko. Przegalopowali przez wieś i znikli za północnym horyzontem”.

Z Żółtaniec wyglądało to inaczej. W chwili gdy się zaczął obstrzał zasiadałem i ja do „kwaśnego mleka”. Ale kiedy ruszyły

brygady kon-armii, wojska naszego już w Żółtańcach nie było, opuściło wieś w kierunku na Zachód.

Pozostawiono mnie z paru ułanami u wylotu wsi dla obserwacji. U wylotu drugiej ulicy Adam Sołtan ze swoimi cekaemami. Widzę jak przez ulicę wsi idzie szwadron kłusem, przechodząc zwolna w galop, dowodzi oficer w czarnej „gimnastiorce”, wszyscy szable mają wydobyte i kierują się wprost na nas. Dzieli nas 50 kroków. W tej chwili taczanka z karabinem maszynowym z plutonu Adama Sołtana wypada galopem ku nam. Zatrzymana, wypuszcza serię z cekaemu trafiając w pierwsze rzędy jeźdźców. Pada oficer, kilka koni rannych? Kozaków? W szwadronie zupełne zamieszanie, pościg wstrzymany. Jeszcze pamiętam nazwisko strzelającego — plutonowy Patrzykał.

Trzy brygady Budiennego omijają *wówczas* Żółtańce. Wtedy i ja widzę, ale na *północ* od Żółtańiec, tę samą szarżę kawaleryjską, na którą patrzył Krzczunowicz. Z mojego miejsca: chmary koni w pełnym galopie, jeźdźców i blask szabel na rozległej płaszczyźnie łąki.

Czy seria z karabinu maszynowego (zresztą natychmiast się zaciął) która zatrzymała natarcie czołowego szwadronu, spowodowała, że nie zostaliśmy wówczas zmiażdżeni przez dywizję Budiennego, która skierowała się bardziej na północ? Chociaż, jak pisze Krzczunowicz, nie chodziło wcale o nas tej dywizji sowieckiej — śpieszyła na ratunek wojsk pod Warszawą, ale tegośmy wtedy nie wiedzieli.

Ostatnia bitwa, którą opisuje w swojej książce Krzczunowicz — wiążąc ją z losami Leona Sapiehy i jego ranieniem, to atak 3 szwadronu 8 pułku na szosę Mosty-Krystynopol. Ten opis zdaje się notowany ręką któregoś z bohaterów Sienkiewicza. Krzczunowicz klnie, że mianowany dowódcą pułku nie może wziąć udziału w szarży („wspaniałej zabawie”), gdzie szwadron Sapiehy zdobywa kilkadziesiąt wozów amunicyjnych i bierze do niewoli szefa sztabu 72 brygady piechoty; Sapieha przy tym „rąbie i strzela za dziesięciu”.



Zwycięska bitwa pod Komarowem (31. 8. 1920) jest w tej książce zaledwie wspomniana, bo ranny Leon Sapieha już udziału w niej nie bierze.

Była ona według autora tej książki i jego precyzyjnych badań, największą bitwą kawaleryjską od czasów wojen napoleońskich: 6 pułków po stronie polskiej, dwadzieścia po stronie sowieckiej. Czas trwania: 3 godziny przed południem i pół godziny wieczorem.

Tego dnia dopiero poczuliśmy wszyscy że karta się odwróciła ku naszemu zwycięstwu. Tę bitwę, tę szarżę parugodzinną, zmaganie 7 brygady kawaleryjskiej, więc 8, 9 pułków ułanów i 2-go szwoleżerów, gdzie moja brygada, szósta, brała również udział

(według Krzeczunowicza i dowódcy 7 Brygady, Brzozowskiego, udział luźny), pamiętam jak przez sen. Mam w oczach szarżę 8 pułku już pod wieczór, widzę przez sekundę Krzeczunowicza na czele, w porywie galopu. Mój szwadron na lewym skrzydle szarżuje ku lizjerze lasu na wzgórzu. Tu znowu ten bzyk, gwizd, śpiew kul. Pamiętam o wiele wyraźniej mój własny stan w dobie poprzedzającej bitwę, stan daleki od sienkiewiczowskiego heroizmu. Mój strach, chyba najgorszy, jakiego doznałem w życiu, strach *przed* bitwą, rozhuśtanej imaginacji, podsuwającej sto jednoczesnych możliwości, którym nie podołam. Jestem odpowiedzialny za pluton, każde głupstwo z mojej strony może spowodować zbyteczną śmierć ułanów; strach przed tym usuwa inne strachy.

A potem jest bitwa, jest rozkaz: masz przejść z plutonem stąd dotąd, pod obstrzałem, w lesie na wzgórzu jest jeszcze nieprzyjaciel, który strzela, masz wziąć udział w szarży. Wszystko nagle wydaje się tak proste i w porównaniu do wizji, imaginacji — wprost łatwe! I nagle nawet śladu strachu — euforia!

Więc to jest bitwa? Wielka gra, gdzie życie twoje, moje, przestaje znaczyć?

O walkach pod Komorowem mamy opisy dokładne w książce Krzeczunowicza „Ułani Księcia Józefa”, ale nie tutaj, bo ta książka jest przede wszystkim książką o przyjacielu. Czy dziwne że ją czytając wspominam i ja moich przyjaciół?

Jan Litewski, wówczas porucznik, którego w związku z Chołojowem wspominałem. Nie było w pułku dyskusji, że on jest najwybitniejszym oficerem. Ten porucznik był coraz to faktycznym dowódcą pułku. Pierwsze Virtuti przeznaczone dla naszego pułku, on dostał. Dziś jeszcze, gdy jestem zaskoczony, w złej, trudnej sytuacji wymagającej spokoju i natychmiastowej decyzji, myślę o nim. Bez słów, *tylko sobą*, uczył każdego jak należy postępować. Najwybitniejszy kolega o zaletach dowódcy, jakiego dane mi było spotkać. Po wojnie miał otwartą drogę do wielkiej wojskowej kariery. Nie chciał nigdy pułku opuścić — zginął w pierwszych dniach ofensywy niemieckiej w 1939 r. na czele 1 pułku ułanów, wierny do ostatniej chwili swemu pułkowi i sobie.

Pisząc o Żółtańcach wspominam Adama Sołtana — spotykam go po 20 latach w Starobielsku; był wówczas majorem, u niego się zbieramy na jego zakazane wykłady o historii wojen i na czytanie wspólne... Trylogii (w paru egzemplarzach trafiła do Starobielska i została dosłownie przez nas zaczytana). Po jednym takim czytaniu wyznaje mi Sołtan, że jeszcze teraz nie jest w stanie czytać „Trylogii” spokojnie, porywa go ta lektura w marzenia o „jakiejś wścieklej szarży, w której bym zginął”.

Sołtan był w obozie jednym z paru, których ani chwili nie tknęło rozprężenie, desperacja porażki. Potomek dwóch generacji Sybiraków, myślą utkwiony w przyszłość, ale gotów wewnętrznie na wszystko, najlepszy z kolegów — zginął, tak jak

inni jego koledzy ze Starobielska, Kozielska i z Ostaszkowa, nie w szarży kawaleryjskiej, o której marzył.



Przyszedłem do tego wojska z tak odległych światów myśli, tak obcy, a przecie nie przeżyłem już nigdy takiego uczucia jedności, koleżeństwa ludzi najróżniejszych klas, rang, formacji i przekonań, jak wtedy w pułku, kiedy wszystkich połączyło uczucie zagrożenia Polski, a śmierć tuż, wiązała wszystkich w zupełnej równości.

Gdy wspominam te krótkie miesiące mego życia, spędzone na froncie w 1920 roku, zdaje mi się, że tylko wówczas (u szczytu piramidy Piłsudski — Naczelnik Państwa, Wincenty Witos — premier, Eustachy Sapieha — Minister Spraw Zagranicznych) — że tylko wtedy od rotmistrza i księcia Leona Sapiehy po porucznika i komunistę Władysława Broniewskiego, który ku pasji swych partyjnych towarzyszy do śmierci szczylił się głośno swym *Virtuti Militari* z 1920 roku — aż po tego żołnierzyka podsłuchanego „i wszystko za te ojczyne k.... ją mać”, że tylko tam mógł Piłsudski, tak jak tego pragnął, tak pięknie „kosę zapleść”.

Józef CZAPSKI

OSTATNIE WIADOMOSCI

Jedyne pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec
UKAZUJĄCE SIĘ DWA RAZY TYGODNIOWO
RAZ W MIESIĄCU DODATEK LITERACKI

Redakcja, administracja, drukarnia:
6800 Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 309

Dwie czarne prababki

W każdej dziedzinie życia społecznego w obecnych Stanach Zjednoczonych, i nie tylko Stanach Zjednoczonych, ten sam motyw w przeróżnych wariacjach powtarza się niezmiennie: równouprawnienie rasowe, równość rasowa i nie dopowiedziane często, a niemniej ważne: różnice rasowe. Biali i Czarni. *Negro and White*. A gdzieś daleko nieukształtowany jeszcze, mało zbadany termin, nie uświadomiony przez społeczeństwo: mieszańcy, *Mulatto, mixed racial background*. Wzrastająca liczba mieszańców, produkt równouprawnienia, równości rasowej, integracji szkół i *colleges*, usunięcie dyskryminacji w pracy zawodowej, a więc przebywanie ramię w ramię w tym samym biurze, tej samej fabryce, tej samej szkole młodych ludzi, dziewcząt i chłopców. Murzynów i białych. To już nie stosunek plantatora do najemnej siły murzyńskiej, nie konkubinat, nie problem, który istniał od lat, ale ukrywany wstydliwie zarysowywał się tylko w łagodniejszych rysach twarzy 'wybielonych Murzynów', to już narastające zagadnienie społeczne.

Coraz bardziej wzrasta w Stanach Zjednoczonych liczba nieślubnych dzieci mieszanych, of *mixed racial background*. Świadectwo urodzenia podaje tylko dwie rasy: N i W — murzyńską i białą. Do jakiej rasy zaliczyć te dzieci? W którą stronę mają się zwrócić? Czy przejść granicę w kierunku białym czy też czarnym? Kompromis jeszcze nie został ustalony.

Przeszło 3 lata temu do agencji społecznej, której główną funkcją jest adopcja, zgłosiło się małżeństwo mieszane. Ona jasnowłosa, niebieskooka *war bride*, Niemka. On bardzo przystojny, bardzo czarny Murzyn. Pobrali się w Kanadzie, gdyż stan do którego jechali i w którym zamierzali się osiedlić nie uznawał małżeństw mieszanych, i związek pomiędzy białą kobietą i Murzynem,

i odwrotnie, był uważany za *illegal*. Pani S. zamieszkała w dzielnicy murzyńskiej, zaprzyjaźniła się z rodziną i znajomymi męża i wydawała się zupełnie szczęśliwa. Gdy umieściliśmy u nich białego Murzyna, złotowłosego chłopczyka o mocno skrzywionych kędziorach i bardzo typowej murzyńskiej fizjonomii, spytała: czy syn mój będzie uznany za Murzyna czy za białego? Odpowiedziałam, że zarówno naturalny jak i adoptujący ojciec dziecka jest Murzynem, chłopiec więc według prawa amerykańskiego jest *Negro*. Była zawiedziona, chciała, aby dziecko miało prawnie uznaną swoją połowę białej krwi, pewnie słusznie, gdyż naturalna matka chłopca była białą dziewczyną. Słusznie, ale czy rozsądnie, czy i jak takie rozdwojenie wpłynęłoby na rozwój i dalsze życie chłopca?

Niemal wszystkie dyscypliny naukowe mają coś do powiedzenia w sprawach rasowych. Począwszy od antropologii i socjologii, psychologii i psychiatrii, aż do polityki wykorzystującej nieraz konflikt rasowy na swój własny użytek.

Badania specjalistów sprowadzają się często do rozważań teoretycznych. Nauki społeczne stosowane, *Social Work*, muszą się parać z problemem w terenie i *in statu nascendi*. Małżeństwa mieszane należą jeszcze do rzadkości, natomiast związki zwłaszcza białych dziewcząt z wybielonymi chłopcami murzyńskimi już do rzadkości nie należą. Na odcinku mojej pracy, który jest tylko bardzo drobnym odłamkiem całości zagadnienia, odczuwam to coraz bardziej. Co z robić z nieślubnymi dziećmi *of mixed racial background*? Nie łatwo jest znaleźć rodzinę, która zaadoptowałaby takie dziecko. Owszem są usiłowania w tym kierunku, są przeprowadzane *research*, ale wszystko to kropla w morzu. Są rodziny białe adoptujące dzieci murzyńskie i pół-murzyńskie, ale są to zwykle ludzie wyjątkowi, stawiani za przykład innym, często opisywani w fachowych miesięcznikach *Social Work*, i są to przede wszystkim ludzie dość silni, aby przeciwstawić się krytyce i złośliwości swego otoczenia i co więcej dość silni, aby od tej krytyki ochronić dziecko i zabezpieczyć mu normalny rozwój.

Jedna z adoptujących matek powiedziała mi: Tak bardzo chciałabym mieć dziecko, że zaadoptowałabym nawet Murzyna, ale... *if I could only bleach him* (gdybym go tylko mogła wybielić).

Adoptujące rodziny murzyńskie są jeszcze bardziej wrażliwe, zresztą adoptujących małżeństw murzyńskich jest mało. Przede wszystkim chcą się usamodzielnąć, zdobyć swój status społeczny, a później dopiero, jeśli są bezdzietni, myślą o adopcji. Wrażliwość na odcień koloru skóry jest niesłychana. Nie tylko ważny jest biało-czarno-brunatno-czekoladowy odcień, ale ilość różowego lub czerwonego pigmentu, bardziej lub mniej żółtawe zabarwienie i włosy: skrzywione mocno, słabiej, szorstkie, jedwabiste, a już najle-

piej jeśli adoptowane niemowlę jest łyse, bo wtedy, jak pouczyła mnie pewna adoptująca murzyńska para, włosy dziecka będą później proste, a nie *kinky* mocno skręcone i szorstkie.

Po zagęszczeniu pigmentu w zgięciach kolan i w kroczu rozpoznaje się niemowlę o domieszcze krwi murzyńskiej od czysto białego. Nawet gdy historia matki i ojca wskazuje na białe pochodzenie i gdy dziecko świadectwem urodzenia uznane jest za białe, te drobne oznaki decydują już o jego losie. Nie rozpoznawałam początkowo tych drobiazgów, nie dostrzegałam w twarzy dziecka tego 'coś' nad czym moje amerykańskie koleżanki kiwały głowami i to zarówno białe, jak i Murzynki, mówiły: *Negro*, albo *mixed blood*.

Nie jest łatwy los dziecka w którego żyłach krew biała zmieszała się z czarną. Przez jaką granicę powinno przejść, w którym kierunku? Przynależność do określonej grupy jest ważna, daje poczucie bezpieczeństwa. Tylko nieliczne, silne jednostki potrafią przejść przez życie samotnie, zachowując równowagę psychiczną.

Oto historia trzy i pół letniej Lindy, która przeszła granicę. Jest to aktualny, wzięty z życia przypadek, ziarno piasku z problemu rasowego.

Zacznijmy od drzewa genealogicznego Lindy:

Matka jej, dziewczyna, która ukończyła *college* i studiowała dalej zdobywając samodzielny zawód — biała. Biali są jej rodzice i dziadkowie, a więc dziadkowie i pradiadkowie Lindy po stronie matki.

Ojciec, ukończył również *college* i studiował na uniwersytecie, wykształceni są również jego rodzice, skóra ich i chłopca jest biała, uchodzą (*they are passing for all white*) za białych. Dwaj dziadkowie chłopca — biali, ale dwie babki to Murzynki. A więc te dwie prababki, dwie czarne prababki położyły swoje ciemne palce na czole i przyszłości Lindy.

Na świadectwie urodzenia Linda uznana została za białą — ojciec i matka biali. Przyjrzyjmy się Lindzie. Jest to urocza, fili-granowa dziewczynka, jej skóra koloru kawy ze śmietanką jest jaśniejsza w zimie i nieco ciemniejsza w lecie. Porusza się z gracją małej baletnicy. Jej oczy są ogromne, brunatne i pełne niezrozumiałego dla niej samej dramatu. Ma maleńkie, drobne usta i prosty, nieduży nosek. Jej kasztanowe włosy układają się w miękkie, jedwabiste pierścienie wokół kształtnej główki. Może w Europie Linda uchodziłaby tylko za przepiękne dziecko. W Stanach również mówi się o niej *beautiful*, ale... ten kolor skóry, to ciemnienie skóry w lecie, to nieuchwytnie 'coś' w wyrazie oczu i budowie twarzy. *Negroid child*. Te dwie czarne prababki.

Piątego dnia po urodzeniu, Lindę zawiozła jej *social worker*,

Mrs. F., która odtąd miała się nią opiekować z ramienia agencji społecznej, do *foster home*, tymczasowego domu w którym Linda miała przebywać aż do chwili znalezienia dla niej adoptujących rodziców. Tymczasowi opiekunowie Lindy, państwo B., ludzie w średnim wieku, z pochodzenia drobni południowi farmerzy, mający już własne dzieci i wnuki, mieszkali na odosobnionej, zapuszczonej farmie i przyjęli to delikatne, słabowite dziecko przyjaźnie, a wkrótce bardzo się do niej przywiązali. Tłumaczyli sobie nieco ciemniejszy kolor skóry dziecka domieszką krwi hiszpańskiej, a ponieważ pani B. była brunetką o oliwkowej karnacji początkowo uważała nawet, że maleństwo jest do niej podobne. Najbardziej jednak przywiązał się do dziecka Mr. B., potężny mężczyzna o niewyczerpanej żywotności, który nie tylko zajmował się gospodarstwem, ale co dzień dojeżdżał do miasta, gdzie pracował w porcie przy wyładowywaniu okrętów, zarabiając doskonale. Z miasta nie wracał nigdy z pustymi rękoma, miał zawsze drobne prezenciki dla Lindy, a ona odpowiadała mu bezgraniczną miłością i uważała swego silnego, opiekuńczego *daddy* za najwspanialszą istotę na świecie. To jej przywiązanie do opiekuna zaważyło później bardzo na jej życiu.

Słabowitość Lindy, jej niedomagania w pierwszym roku życia, a więc i potrzeba zależności wytworzyła niezmiernie silny uczuciowy stosunek pomiędzy dzieckiem, a panem B. Świat dziewczynki, aż do czwartego roku jej życia, w którym została adoptowana, to była farma, zwierzęta domowe: koty, psy, kury, konie, rodzina państwa B., a przede wszystkim co wieczorne oczekiwania na przyjazd pana B. z miasta.

— *My father* — mówiła o nim z dumą i imitowała go we wszystkim, chodziła za nim, jak cień odsuwając zazdrośnie dzieci i wnuki swego opiekuna.

Oprócz farmy, na której czuła się doskonale, były jeszcze wyjazdy do lekarza z Mrs. F., jej *social worker*, periodyczne przyjazdy do biura agencji na badania psychologiczne, ale tego nie lubiła, lubiła tylko jeździć na *shopping* i oglądać zabawki. Cała rodzina B. ich liczne dzieci i wnuki, które coraz to zjeżdżały na wakacje i święta, polubiła dziewczynkę i niemal-że włączyła ją do swej grupy rodzinnej. Niemal... gdyż była jedna rzecz na którą wszyscy, nie wyłączając czulego opiekuna, woleli zamykać oczy: kolor skóry dziecka i jej coraz bardziej zarysowujące się cechy fizyczne małej mulatki. O Murzynach, z którymi dziecko nie miało styczności, mówiono pogardliwie *Nigger*. Na zapytania nielicznych sąsiadów odpowiadano, że Linda jest *Spanish*. Odosobnienie farmy, do której prowadziła tylko wąska, bardzo błotnista na wiosnę i jesienią dróżka, sprzyjało podświadomemu ukrywaniu prawdy. Państwo B. zresztą nigdy, aż do chwili decydują-

cej przed adopcją Lindy, nie wiedzieli oficjalnie od agencji o domieszcze krwi murzyńskiej, nigdy też o to nie pytali, może obawiali się usłyszeć prawdę.

Pod koniec pierwszego roku życia Lindy, gdy wszystkie jej niedomagania fizyczne uspokoiły się i wyjaśniły i gdy nadmierna jej wrażliwość okazała się jedynie coraz to bardziej przejawiającą się inteligencją, którą potwierdzały systematyczne badania psychologiczne, agencja społeczna, jej prawny opiekun, zdecydowała się na szukanie adoptujących rodziców dla dziecka.

Zastanawiając się nad możliwością adopcji Lindy przez państwo B. musiałam wziąć pod uwagę raczej ciasne horyzonty myślowe jej opiekunów, brak wykształcenia, a również ich stosunek do Murzynów. Wiedziałam, że świadomość rasowa, już wkrótce, gdy Linda pójdzie do szkoły, czy przedszkola, zostanie w niej obudzona. Państwo B. nie mając ani dość inteligencji, ani odwagi, przestaną być tą niezachwianą podporą moralną za jakich dziecko przywykło ich uważać, a niepewność może spowodować u i tak już wrażliwej Lindy komplikacje psychiczne. Potencjał intelektualny dziecka, jej zdolności artystyczne, których pączkowanie można w niej już było zauważyć, nie zostaną wykorzystane, co również wpłynie ujemnie na jej stan emocjonalny.

Pozostając pod opieką B., Linda mogłaby w najlepszym razie ukończyć wiejską szkołkę, a w najgorszym, czego się właściwie obawiałam, zostać małą *country maid*, pomocnicą na farmie, odludkiem, którym już się powoli stawała, obciążonym kompleksem niepewności i niższości rasowej. Linda więc stałaby się jeszcze jednym problemem społecznym. Państwo B. zresztą nie proponowali, że zaadoptują Lindę. Owszem, nie chcieli jej stracić, była ich najmłodszym 'dzieckiem', najinteligentniejszym i najbardziej im oddanym. Powtarzali jednak, jakby zdając sobie sprawę z nieuniknionego rozstania, że będzie ono dla nich bardzo bolesne. Starali się odwlec termin opuszczenia ich przez Lindę, na przyszłość jednak woleli zamykać oczy. Gdyby tylko została taką, jak jest teraz, malutką, przymilną rozpieszczoną dziewczynką. Gdy w rozmowie z panią B. spytałam co robi, jeśli Linda, która tak kocha ich wnuka zechce w przyszłości wyjść za niego zamąż — przestraszyła się.

— Nie myśleliśmy o tym — przyznała się.

Dziecko stawało się coraz bardziej przywiązane do swoich opiekunów i coraz bardziej dzikie, zamknięte w sobie i nieufne w stosunku do obcych. Czuła się tylko dobrze w obecności domowników i swojej *social worker*, Mrs. F., którą znała i lubiła. Zdecydowałam się, że Lindę należy przenieść, i to jak najszybciej, w inne warunki i zaczęłam dla niej szukać adoptujących rodziców.

Staralam się znaleźć rodziców białych, względnie małżeństwo mieszczańskie, odpowiadające poziomowi intelektualnemu dziewczynki. Wśród żadnych z dostępnych nam (w naszym stanie) kandydatów na adopcję dziecka, nie znalazłem chętnych do zaadoptowania mulatki. Konferowałam z wieloma innymi agencjami społecznymi, pisałam do niemal wszystkich agencji w Stanach Zjednoczonych nie wyłączając sławnego *Welcome House* literatki Pearl Buck, która chlubi się tym, że potrafi umieścić w adoptującym domu każde niemal dziecko bez względu na jego rasę. Posyłałam fotografie Lindy i jej bardzo wysoko ją kwalifikujące wyniki badań psychologicznych, wszędzie ta sama odpowiedź: *Sorry, we do not have a home for this very charming little girl.*

Po długich, bezowocnych poszukiwaniach zorientowałam się pewnego dnia, że to ja sama ulegam *prejudice*, że staram się znaleźć dla Lindy rodzinę rasy białej, że podświadomie ulegam wpływowi dyskryminacji rasowej, staram się 'uratować' Lindę dla białej rasy. Postanowiłam zupełnie zmienić kierunek postępowania i poszukać rodziny murzyńskiej. A więc te dwie czarne prababki wreszcie i mnie dosięgły, a przecież to ja sama tak bardzo nieraz podkreślałam znaczenie pochodzenia i w moim wypadku, odkrywanie cech i sympatii polskich u trzeciego czy czwartego pokolenia polskich emigrantów. Zadanie było niezmiernie trudne. Nie tylko przeflancowanie 3 letniego dziecka do nowych warunków, ale i do innego świata, do innej kultury rasowej, do ludzi o odmiennym zabarwieniu skóry, których Linda nigdy nie widziała. Zadanie było tym trudniejsze, że rodzin murzyńskich chętnych do adoptowania dzieci jest niewiele. Z 121 tysięcy dzieci zaadoptowanych w Stanach Zjednoczonych w roku 1962 tylko około 11 procent było *non-white*, a w tym samym roku urodziło się ze związków nieślubnych 147.500 dzieci nie-białych, a tylko 93 tysiące dzieci białych.

Poszukując rodziny murzyńskiej ustaliłam kryteria od których, wiedziałam, nie wolno mi odstępować. Powinna to być rodzina należąca co najmniej do *middle-class*, ludzie liberalni, wykształceni i bardzo cierpliwi, gdyż adopcja, zdawałam sobie sprawę, będzie bardzo trudna. Dlaczego *middle class* i ludzie z wyższym wykształceniem i liberalni? Zbyt dobrze pamiętałam drobne zdarzenie, które miało miejsce kilka lat temu, gdy pracowałam jeszcze w publicznej agencji i to z wieloma dziećmi murzyńskimi. Dziesięcioletnia Murzynka przyszła raz na spotkanie ze mną gorzko płacząc. Długo nie mówiła mi o co chodzi, miała jednak, gdyż widywałyśmy się przez czas dłuższy, dość zaufania, aby mi się zwierzyć. Powiedziała:

— Matkę moją znów wytykają palcami, znów każdy w naszej dzielnicy się z niej wyśmiewa.

A gdy nie mogłam zrozumieć dlaczego, mała wyjaśniła mi:

— Bo oni myślą, że ona jest biała, ale to nieprawda, moja matka ma tylko taką jasną skórę.

Miałam szczęście. Nie, to nie ja, szczęście miała Linda, a właściwie jej dwie czarne prababki, bo rodzina znalazła się w sąsiednim stanie poprzez kooperującą z nami agencję. Odpowiadali wszystkim ustalonym przeze mnie warunkom, aż nie mogłam uwierzyć. A oto państwo N. przyszli rodzice Lindy:

Pan N. jest koloru jasno-brązowego, szczupły, delikatny, ukończył *college*, jest na dobrej posadzie państwowej, jego dochód roczny wynosi przeszło 9 tysięcy dolarów. Jest około czterdziestki.

Pani N. jest w wieku swego męża, kolor skóry brązowy (ciemniejsza niż mąż) dystygowana, bardzo wrażliwa, posiada *degree* z języka angielskiego i muzyki.

Mieszkają w pięknej podmiejskiej dzielnicy, gdzie wartość domu wynosi około 25 tysięcy dolarów, ich dom to nowoczesny *ranch house*, ślicznie umeblowany, w salonie stoi nowe Grand Piano. Państwo N. udzielają się w życiu społecznym swojej *community*, należą do klubów towarzyskich i ponieważ pani N. jest pianistką i śpiewa, a jej mąż również interesuje się muzyką, chodzą często na koncerty, przyjmują dużo i wielu gości zagranicznych. Zostali nawet zaproszeni (ofiarowano im *membership*) do kościoła (protestanckiego) czysto białego, ale odrzucili, aby niepotrzebnie nie wywoływać konfliktów rasowych.

Ponieważ pani N. jest nauczycielką, jej dochód roczny (w dodatku do dochodu męża) wynosi około 5 tysięcy dolarów, a nie chcąc ze swej zawodowej pracy rezygnować, wołałaby zaadoptować dziewczynkę w wieku około 4 lat. Z niemowlęciem musiałaby przez dłuższy czas zostać w domu, starsze zaś dziecko po pewnym okresie przystosowania się do nowych warunków, będzie mogło być w przedszkolu w godzinach pracy matki. Oboje N. nie mogą mieć dzieci, bardzo by pragnęli mieć córeczkę o jasnej (kawa ze śmietanką) skórze, i taką, którą mogliby posłać w przyszłości do *college*.

Informacje te zostały mi początkowo przekazane telefonicznie przez *social worker* państwa N. — Miss M.

Ledwie skończyła, zawołałam: — zwołujemy jutro konferencję!

Byłam tak ucieszona odkryciem państwa N., że przez chwilę zapomniałam o trudnościach jakie nastęrczy nam samo przeprowadzenie adopcji. Linda jest dzika, krzyczy i płacze skoro tylko ktoś obcy zbliży się do niej, i nigdy w swoim życiu nie zetknęła się z Murzynami. Musiałam przedstawić cały plan postępowania i kierować nim ostrożnie, aby nie zrazić dziecka i przyszłych rodziców. Byłam jednak tak głęboko przekonana o słuszności mojej

decyzji, że wierzyłam iż starczy mi pomysłowości i energii, aby przeprowadzić plan do końca. Mimo to, trudno mi zaprzeczyć, że musiałam opanować uczucie lęku, a jednocześnie nie okazać go nikomu, a zwłaszcza Miss F. na której będę musiała polegać i która będzie przygotowywała Lindę do bardzo trudnej zmiany w jej 3 i pół letnim życiu.

Przede wszystkim zawałałam Miss F., której powiedziałam o możliwości adopcji i o tym że rodzicami Lindy, jej ukochanej Lindy, będzie małżeństwo murzyńskie.

— Murzyni... — powiedziała Miss F., a przecież Linda... — Ale zaraz rozpromieniła się i słuchała coraz bardziej uśmiechnięta informacji o państwu N.

Poleciłam Miss F., aby kupiła dwie lalki-bliźniaczki: tylko jedna ma być czarna, druga biała. Wróciła tylko z jedną lalką-Murzynką mówiąc, że lalki są drogie i czy rzeczywiście chce wydać tyle pieniędzy kupując jeszcze jedną lalkę. Wy tłumaczyłam jej dlaczego niezbędne są dwie lalki (o czym później) i w jaki sposób będzie się nimi posługiwała.

Następnego dnia na konferencji z przedstawicielami kooperującej z nami agencji ustaliliśmy następujący plan:

1. Zapoznanie Lindy z innym kolorem skóry (murzyńskim);
2. Przyprowadzenie Lindy do naszego biura gdzie Miss M. (*social worker* adoptujących rodziców) nota bene bardzo ciemna Murzynka, będzie ją mogła zaobserwować i później dokładnie opisać wygląd dziecka adoptującej rodziny;
3. Jeśli rodzina adoptująca na podstawie informacji: pochodzenie, badania psychologiczne, warunki zewnętrzne KOLOR skóry — zainteresuje się dzieckiem — rozpocząć przygotowywanie Lindy do zmiany;
4. Obserwacja Lindy przez adoptujących rodziców. Miejsce: sklep z zabawkami;
5. Jeśli po obserwacji dziecka, państwo N. będą przekonani, że chcą ją adoptować — zacząć przygotowywać Lindę do adopcji, wprowadzić terminy: *new mammy and new daddy*;
6. Spotkanie w biurze naszej agencji: Linda i jej adoptujący rodzice i wyjazd z nimi Lindy na krótki spacer;
7. Umieszczenie dziecka w domu adoptujących rodziców.

Notuję poniższe z zapisków Miss F., *social worker*, która przygotowywała Lindę do przejścia dwóch granic: biało-czarnej i z domu swego wczesnego dzieciństwa, do domu rodziców.

Każdy krok był dyskutowany ze mną i wszystkie reakcje i wypowiedzi dziecka brane skrupulatnie pod uwagę i notowane:

Środa

Przyjechałam wcześniej do domu państwa B. (*foster home*), Linda była już gotowa, czekała na mnie. Powiedziałam jej, aby nie płakała, bo, tak jak obiecałam, pojedziemy do Zoo. Poszliśmy spacerem do głównej drogi gdzie miałam zaparkowany mój samochód. Powiedziałam Lindzie, że mam dla niej niespodziankę i dałam jej dwie lalki: czarną i białą. Linda, która do tej chwili bardzo była zainteresowana wycieczką do Zoo, znieruchomiała i umilkła. Przyglądała się lalkom. Po piętnastu minutach spytałam ją czy widzi jakąś różnicę pomiędzy dwiema lalkami. Odpowiedziała, że jedna ma niebieską, a druga czerwoną wstążeczkę we włosach. Wtedy spytałam czy zauważyła coś więcej. Odpowiedziała:

— Ta (wskazując na czarną lalkę) wygląda, jak ja w lecie, a ta (wskazując na białą) jak ja w zimie.

— A jak ty wyglądasz teraz, Lindo?

— Tak, jak ta — wskazała czarną lalkę (rozmowa odbywa się w okresie zimowym).

— Która lalka podoba ci się więcej?

— Ta (wskazuje na białą). Nie, nie, nie wiem. Nie wiem.

Linda przytula do siebie obie lalki, jest zadowolona, podśpiewuje. Przeraża się tylko, gdy mówię, że wstąpi na chwilę w miejsce do biura agencji. Uspakaja się jednak, gdy zapewniam ją, że zajedziemy tam na krótko i tylko, aby pokazać wszystkim jej nowe lalki. W biurze Linda jest spokojna, chociaż, jak zwykle, gdy wśród obcych, nie uśmiecha się, chwali się lalkami, pyta która się komu więcej podoba.

W drodze do Zoo wstępujemy na lunch. Linda zjada prawie całego *Hamburger'a*, *French fries* i wypija *milkshake*. Koncentruje się na jedzeniu, trwa to prawie godzinę. Wchodzimy do Zoo. Linda zauważa zebrego. Mówi:

— To wygląda, jak mój konik, ale jest tego koloru co moje buty.

Buty Lindy są biało-czarne.

Ciągnie mnie do klatki z małpami. Troje murzyńskich dzieci przyłącza się do nas, Linda rozmawia z nimi.

Wracamy do domu państwa B., na farmę. Linda woła do pani B.:

— Mamo, zobacz co ja dostałam: *white doll and nigger doll*.

Pani B. poprawia: Nie *nigger* tylko *Negro*.

— Mamo, która lalka podoba ci się więcej?

— Pani B. wskazuje na lalkę czarną: Ta mi się więcej podoba? A tobie, Lindo?

— Możesz sobie wziąć białą lalkę, a ja wezmę sobie tę.

Linda nie dotyka już nawet białej lalki, zainteresowana jest lalką czarną. Zwraca się znów do pani B.:

— Kiedy byłam w Zoo zaprzyjaźniłam się (*I made friends*) z dziećmi i one były tego samego koloru co moja lalka. (Zastanawia się). Te dzieci miały czarne ręce i twarze, tak samo, jak małpki.

Rozstaje się z Lindą i obiecuje, że w czwartek zabiorę ją do sklepu z zabawkami w mieście.

Czwartek

Linda czekała już na mnie, bardzo podniecona, ubrana odświętnie. Ze zdenerwowania zasnęła w samochodzie. Przyjechaliśmy, jak było umówione do sklepu z zabawkami. Państwo N. i towarzysząca im Miss M., *social worker*, trzymali się na uboczu obserwując Lindę. Linda była półprzytomna z podniecenia. Od lalek pociągnęła mnie do koni, stamtąd do mebelków dla lalek, szukała również dziecinnej maszyny do pisania, którą zauważyła w naszym biurze i która bardzo jej się spodobała.

Pani N. po kilku minutach obserwacji Lindy nie mogła się powstrzymać aby, do niej nie podejść. Spytała dziewczynkę, które zabawki podobają się jej najwięcej. Linda odpowiedziała i wdała się w pogawędkę z panią N. Zwróciła się do niej po chwili sama:

— Chodź, zobacz co mi się podoba. To i to i to — wskazywała palcem. (Był to okres przed świętami Bożego Narodzenia i sklep z zabawkami w największym w mieście magazynie był naprawdę krajem zaczarowanym.)

Pani N.: — Ale która zabawka podoba ci się najwięcej?

Linda: — Wszystko najwięcej. Ja chcę wszystko, wszystko. Chodź, pokażę ci konika, taki sam konik, jak mój.

Pani N.: — A jak wygląda twój konik?

Linda (poważnie, traci swój początkowy animusz, staje się ponura): — Nie chcę mówić (*I don't want to talk*).

Zarówno pan jak i pani N. starają się na próżno nawiązać rozmowę z Lindą. Odpowiada niezmiennie: — *I don't want to talk*.

Zauważyła jednak, że państwo N. kupują automatyczną kasę, która Lindzie bardzo się spodobała. (Umówione było uprzednio, że adoptujący rodzice kupią zabawkę, która będzie się dziecku podobała i przyniosą ją z sobą w dniu ich pierwszego spotkania w biurze. Jest to technika używana często przy adopcji dzieci, dziecko identyfikuje zabawkę z ludźmi, którzy ją kupili w jego obecności lub przynieśli w pierwszym dniu spotkania, zabawka

służy jako znak rozpoznawczy i i środek do nawiązania kontaktu).

Linda zauważyła, że N. kupili kasę, zwraca się do Mrs. F., swojej *social worker*:

— Wiesz, ci ludzie co mówili ze mną... ja myślę... oni kupili tę kasę, która mi się podobała.

Mrs. F.: — A chciałybyś taką zabawkę?

Linda: — Tak, ale ja chcę wszystkie zabawki, wszystkie, które im pokazywałam.

W drodze powrotnej spytałam Lindę czy podobali się jej ci państwo, którzy rozmawiali z nią w sklepie. Linda powiedziała, że podobali jej się. *They were very nice*.

Zanim odwiozłam Lindę do domu, musiałyśmy jeszcze wstąpić do doktora, który miał zbadać dziecko. (Każde dziecko powinno być zbadane przez lekarza przed umieszczeniem w domu adoptujących rodziców, badanie powinno się odbyć albo 48 godzin, albo jeden dzień przed adopcją). Linda bała się doktora i jak zwykle zaczęła krzyczeć i płakać. Uspokoiłam ją, że natychmiast po zbadaniu wracamy do domu, na farmę. Skoro tylko znalazła się w znajomym, domowym otoczeniu, Linda zaczęła natychmiast opowiadać o swoich przeżyciach.

— Zgadnij, gdzie byłam dziś? — zawołała do pani B., — W mieście, w sklepie z zabawkami i jeździłam na takim samym koniku, jak moja Debbie (kucyk na farmie).

— Czy dobrze się bawiłaś? — spytała pani B.

Linda: — Tak, tylko musiałam iść potem do doktora i płakałam.

Pani B.: — A dlaczego płakałaś?

Linda: — Bo nie chciałam, żeby doktor mnie dotykał. Znowu niedługo pojadę z Mrs. F. do sklepu z zabawkami.

Mrs. F.: — Powiedz kogo tam spotkałaś, Lindo.

Linda: — Ludzi. Byli bardzo mili, pokazywałam im zabawki. Ale nie chcę teraz więcej mówić. Chcę się bawić.

Mrs. F.: — Do jutra, Lindo.

Linda (żałośnie): — Mrs. F. ja cię kocham, ja cię jeszcze kocham. Nie bierz mnie więcej do doktora.

Wtorek

Linda była ponura, ociągała się, nie chciała iść ze mną, bała się, że znowu zabiorę ją do doktora. Zapewniłam ją, że jedziemy tylko do biura w mieście i że ci państwo, których widziała wczoraj przyniosą jej niespodziankę.

W samochodzie, gdy znalazłyśmy się same, spytałam czy pamięta jeszcze tych miłych państwa, których spotkała w sklepie

z zabawkami. Linda pamiętała. Powiedziałam jej wtedy, że ci państwo telefonowali do mnie, mówili, jak bardzo Linda im się podobała i jak bardzo chcieliby ją pokochać. Linda odpowiedziała natychmiast, że owszem może się z nimi zobaczyć, ale nie wolno im jej pokochać. Zamyśliła się i po chwili powiedziała, że nawet nie chce ich zobaczyć. Przypomniałam jej, że ci mili państwo kupili jej niespodziankę. Zgodziła się więc wreszcie ich zobaczyć.

W czasie jazdy samochodem zaczęłam mówić z Lindą o jej przyszłych rodzicach:

Mrs. F.: — Ci mili ludzie chcieliby cię poznać i pokochać, Lindo. Chcieliby zostać twoimi rodzicami, mamusią i tatusiem.

Linda (po chwili namysłu ze łzami w oczach): — Nie lubię ich, nie chcę ich widzieć, ja mam swoją mamusię i swego tatusia. Nie chcę innych.

Mrs. F.: — Ale oni tak bardzo chcieliby zostać twoją mamusią i tatusiem, kochać cię i zawsze być z tobą. Oni są tacy dobrzy i tak kochają małe dzieci.

Linda zaczęła płakać, dopiero po dłuższym czasie udało mi się ją uspokoić. Nie chciała odpowiadać na moje pytania, powiedziała, że nie chce mówić i że jest śpiąca. Wtuliła się w kąt samochodu i udawała, że śpi. Po dłuższym czasie zaczęłam znów mówić do niej:

— Spójrz-no Lindo, na ten domek, widzisz. Twój nowy dom też będzie taki, tylko różowy. I będziesz miała swój własny pokój, swoje własne łóżeczko.

Linda: — Ja nie chcę mieszkać w tym domu. Jakiego koloru będzie mój pokój? Ja mam swój własny pokój w moim domu na farmie.

— A wiesz co, Lindo, tam będzie piesek, twój piesek i będziesz się mogła z nim bawić.

— Powiedziałam ci już, że mam swego psa. Nie chcę innego.

— Ach Lindo, ale tam jest jeszcze coś innego. Fortepian. Twoja nowa mamusia gra na fortepianie i będzie ci grała wszystkie piosenki, które teraz śpiewasz. A jak będziesz duża to też nauczysz się grać na fortepianie.

Jedynie fortepian zainteresował Lindę, była jednak nieszczęśliwa, płakała i nie chciała słyszeć więcej o nowych rodzicach. Tylko wspomniana przeze mnie niespodzianka ułagodziła ją i zdecydowała się wejść ze mną do biura agencji.

Weszłam z nią do pokoju i zamknęłam drzwi. Próbowałam ją przekonać, aby była uprzejma dla państwa N., ale skoro tylko zapukali do drzwi i Linda ich zobaczyła, przypadła do mnie krzycząc i płacząc.

Na panią N. mało zwracała uwagę, a cały swój gniew skiero-

wała na przyszłego swego ojca. Wyciągnęła rękę i wskazując palcem na zmartwionego pana N. krzyczała:

— Nienawidzę go! Nie chcę, żeby on był moim ojcem! Nie pozwólcie się mu do mnie zbliżyć!

Pani N. starała się przemówić do Lindy:

— Lindo, Lindo, on cię kocha, on chce z tobą porozmawiać.

Linda (ignorując panią N.): — Ja go nie lubię! On NIE jest moim ojcem!

— On jest twoim nowym ojcem.

— Nienawidzę go!

Nieszczęśliwy pan N. wtulił się w kąt pokoju, Linda nie pozwoliła mu się do siebie zbliżyć. Podano jej prezent, który, udawała, wcale jej nie zainteresował. Wreszcie przyjęła kilka penów od pana N. i pozwoliła mu pokazać sobie, jak się obchodzić z zabawką. Zaczęła jednak znów płakać, krzyczeć, wołać, że chce wracać do domu. Musiałam ją wyprowadzić z pokoju i utulić, ale dopiero, gdy dość ostro powiedziałam, jej, że pojedzie na krótko z państwem N. do sklepu z zabawkami i że przyrzekam jej, że odwiezę ją później do domu, przestała krzyczeć. Płacząc pozwoliła się pani N. wyprowadzić za rękę do samochodu. Obserwowałam ją, skoro tylko znalazła w samochodzie państwa N., przestała płakać.

Po niecałej godzinie państwo N. przyprowadzili pochmurną, ale nie płaczącą już Lindę do biura. Chciała natychmiast wracać do domu. Ale chciała również pobawić się swoją kasą, zwróciła się do mnie:

— Mrs. F. daj mi pieniądze do mojej niespodzianki.

Mrs. F.: — Nie mam pieniędzy, Lindo.

Linda zwracając się do pana N., który przedtem dał jej kilka penów:

— Daj mi trochę, tak jak przedtem.

Mr. N.: — Chodź kochanie, pozwól, że ci pomogę.

Linda: — Nie! Nie dotykaj mnie! Ty mi pomóż, Mrs. F.

Mrs. F.: — Twój nowy tatuś pomoże ci.

Linda: — Nie, nie lubię go.

W samochodzie zaczęłam znów mówić z Lindą o jej nowych rodzicach, opowiadałam o nowym domu, fortepianie, piasku. Na wszystko odpowiadała: Nie chcę. A gdy wspomniałam 'nowego ojca', Linda odpowiedziała mi przez łzy, ale bardzo stanowczo:

— Nie, nie chcę go, JESZCZE go nie chcę.

Przy pożegnaniu, powiedziała:

— Mrs. F. ja cię kocham, ja cię bardzo kocham. — I patrzyła na mnie błagalnie.

(Tego dnia Mrs. F. przyszła do mnie i po chwili zaczęła

plakać. Linda powiedziała, że mnie kocha — zwierzyła mi się — i muszę to wszystko robić.

— Ale wie pani dobrze, że robimy to dla dobra tego dziecka — powiedziałam.

— Tak — przyznała mi rację — ale to dla mnie takie bolesne.

— Bolesne jest to — powiedziałam — że będzie się pani jutro musiała pożegnać z Lindą.

Mrs. F. skinęła głową, powiedziała ocierając oczy: Przecież to przeszło trzy lata, tak bardzo przywiązałam się do tego dziecka, ciężko mi będzie z nią się rozstać).

Sroda

(Tego decydującego dnia nie puściłam Mrs. F. samej, pojechała z nią jedna z naszych starszych, doświadczonych sekretarek. Wydawało mi się, że będzie to lepiej zarówno dla Lindy, która może się opierać i walczyć, jak i dla Mrs. F., która była bardzo zmartwiona i mogłaby się zbyt łatwo zidentyfikować z Lindą, a więc i tym samym utrudnić jej i tak ciężkie rozstanie z domem).

Wczesnym ranem przyjechałam na farmę do domu państwa B. Pani B. była bardzo przygnębiona, ale zaaranżowała tak, aby cała reszta rodziny była w tej decydującej godzinie odjazdu Lindy, poza domem. Dowiedzieliśmy się później, że chociaż pan B. nie był obecny, to jednak nie pojechał do pracy, a krążył w pobliżu domu, niewidoczny dla nas i dla Lindy.

Pani B. powiedziała mi, że Linda obudziła się o szóstej rano i od tej chwili nie przestawała płakać. Gdy tylko mnie zobaczyła zaczęła płakać głośno i krzyczeć: że nie chce ICH, nie chce nowej matki i nowego ojca. Pani B. powiedziała mi również, że Linda prosiła ją, aby zapakowała wszystkie jej zabawki, które chce zabrać z sobą, a przede wszystkim jej cowboyskie buty. Buty te okazały się bardzo ważne i niemal symboliczne później, a były one kupione na wzór butów cowboyskich Pana B., którego Linda imitowała we wszystkim. W ręku, przyciskając mocno do siebie, Linda trzymała swój mały, dziecinny kocyk, z którym zawsze kładła się spać.

Pani B. pocałowała i objęła Lindę i przypomniała jej o danej obietnicy: Nie będzie płakać. A potem zamknęła drzwi. Linda ujęła moją rękę i połykając łzy, przyciskając swój mały kocyk, symbol jej dziecinnego bezpieczeństwa, odeszła od domu, w którym przeżyła 3 i pół roku. W samochodzie nie płakała, ale odzywała się bardzo mało, ani na chwilę nie wypuściła ze swoich rąk przetartego już, kolorowego kocyka. Powtórzyła, że nie

chce ani nowej matki, ani nowego ojca, ani psa, ani nowego domu, o B. jednak wyraziła się już: *my other family* — moja inna rodzina. Przed budynkiem agencji zaczęła się oglądać czy nie będzie tam samochodu państwa N. Nie było. Jej nowi rodzice przyjechali również nowym samochodem, innym niż dnia poprzedniego.

Bez słowa, spokojnie weszła do biura. Ale skoro tylko zobaczyła państwa N. zeszytniała, rzuciła się ku mnie, krzyknęła 'Nie, nie chcę!' A potem zaczęła wołać Mamo, mamo! Wtedy pani N. podeszła i ujęła ją stanowczo za rękę:

— Ja jestem twoją matką, Lindo — powiedziała.

Płacząc i przyciskając swój dziecinny kocyk do piersi odeszła do samochodu ze swymi nowymi rodzicami. Uważała tylko, aby wszystkie jej zabawki i buty cowboyskie zostały załadowane. Patrzyliśmy przez okno, jak odjeżdżała. Siedziała cichutko tuląc swój kocyk.

Z drżeniem serca oczekiwałam telefonu od Miss M. Zadzwo niła tego samego dnia po południu i oto co mi powiedziała:

Linda zasnęła w samochodzie, spała całą drogę do domu. Do swego nowego domu weszła sama i sama znalazła swój pokój. Po raz pierwszy uśmiechnęła się do psa. Wyszła też do ogródka i tam spotkała małą dziewczynkę-sąsiadkę, Murzynkę. Zaprosiła ją do siebie. We dwie pojechały z państwem N. do sklepu z zabawkami zobaczyć św Mikołaja. Przed wyjściem, pani N. wiedząc jak cenne dla Lindy są jej cowboyskie buty, chciała jej je włożyć.

— Nie — powiedziała Linda — już ich nie potrzebuję, skończyłam z nimi. Potrzebne mi są teraz większe buty.

Byłam w stałym kontakcie z Miss M. *social worker*, która od tąd z ramienia swojej, kooperującej z nami agencji, będzie czuwała nad Lindą. Opieka ta powinna trwać nie dłużej niż 6-8 miesięcy, po tym czasie zostanie przeprowadzone sądownie legalne adoptowanie Lindy przez państwa N.

Po miesiącu otrzymałam list, którego fragmenty cytuję:

... Kilka dni temu odwiedziłam Lindę w domu jej nowych rodziców. Skoro tylko mnie zobaczyła, podbiegła do swojej matki i zawołała:

— Nie chcę iść nigdzie z tobą. Ja chcę zostać tu, z moją mamusią.

Przez pierwsze kilka dni w domu państwa N. Linda porównywała swoją dawną rodzinę z obecną, wreszcie zwierzyła się adoptującej matce:

— Wiesz, moja tamta mamusia powiedziała mi, że ty mnie będziesz kochać i że będę bardzo szczęśliwa.

Linda nie chce się rozstawać ze swoją nową matką, co chwilę przybiega z ogrodu gdzie bawi się z dziećmi i woła: — Mamo, mamo czy jesteś tu jeszcze?

Ale największą miłością Linda darzy swego nowego ojca. Telefonuje do niego stale do biura, przebywa z nim wieczorami, a Mr. N. jest oczarowany i zakochany w córce. Czasami Linda chce być sama, wtedy idzie do swego pokoiku i bawi się samotnie cichutko. Od czasu przyjazdu ani się nie awanturowała, ani nie płakała, jeśli wspomina swoją dawną rodzinę to łagodnie i jak coś, co już minęło. Swoją miłość do państwa B. przeniosła ufnie na swoich rodziców. Przybyło jej trzy funty, ma apetyt, uśmiecha się coraz częściej. Była już z państwem N. na koncercie i na występie baletu. Jej inteligencja, jej zdolności muzyczne zdumiewają rodziców. Zaczęła już chodzić do przedszkola i do szkoły niedzielnej. O swoim 'dawnym ojcu' wspomniała niedawno i wtedy, gdy pani N. upiekła czekoladowe ciastko:

— Mój 'tamten' tatuś nazywał takie ciastko *Nigger Cake*.

Miss M. nie powiedziała mi czy 'nowy' ojciec poprawił Lindy obraźliwe *nigger*. Wiem tylko, że w najbliższych miesiącach świadectwo urodzenia Lindy zmienione zostanie podając nie tylko na nim nazwisko N., ale i zmieniając rasę z W. na N. Z *White na Negro*. Linda przeszła granicę. Jej dwie czarne prababki zwyciężyły. A jeśli kiedyś na ekranie filmowym czy telewizyjnym pojawi się delikatna, uroczą buzia bardzo jasnej Murzynki, proszę pamiętać, że imię nie jest ważne. Zmieniłam je na 'Linda', aby nie ujawnić tożsamości dziecka.



Decyzja umieszczenia Lindy w domu państwa N. możliwa była w dużym stopniu dzięki równouprawnieniu rasowemu. Kilka lat temu nie byłoby to takie łatwe, a zmiana *birth certificate* z W na N niewątpliwie natrafiłaby na trudności.

Równość rasowa wykształca coraz więcej oświeconej klasy murzyńskiej, której reprezentantami są państwo N. Ich wyższość kulturalna nad rodziną farmerów B., ich tolerancja, pewność siebie, brak kompleksu rasowego zaważyły również mocno na mojej decyzji. Jednym słowem w oparciu o ostatnie prawodawstwo o równouprawnieniu rasowym mogłam poruszać się dużo łatwiej. Linda w domu N. powinna wyrósł na pełnowartościową, twórczą jednostkę, podczas gdy w domu B. mogłaby w przyszłości stać się ciężarem społeczeństwa, albo zahamowaną w rozwoju, pełną kompleksów istotą.

Wracając do mego początkowego założenia, że równouprawnienie rasowe i różnice rasowe przejawiają się w każdej niemal

dziedzinie życia społecznego Stanów Zjednoczonych, chciałabym dodać, że nie tylko przejawiają się, ale wymagają nieustannych odważnych i często trudnych decyzji, których drobnym przykładem jest historia Lindy.

Niewątpliwie nasunie się pytanie: Kto za to wszystko płaci: za utrzymanie dziecka w *foster home* (państwo B. byli płaćeni za opiekę nad Lindą), za usługi specjalistów, za niezliczone godziny pracy fachowców? Odpowiedź jest bardzo prosta: dobrowolne składki społeczeństwa amerykańskiego. Dzięki tym składkom nie tylko Linda, ale prawie setka (100) innych dzieci została umieszczona przez jedną tylko agencję, i w jednym tylko roku 1965, w domach adoptujących rodziców.

Danuta MOSTWIN

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM CXXXVIII

WITOLD GOMBROWICZ

DZIENNIK (1961-1966)

♦
OPERETKA

Str. 256.

Cena F 16,50 (24/6; dol. 3,50)

♦
TOM CXXXIX

ALEKSANDER HERTZ

REFLEKSJE

AMERYKAŃSKIE

Analiza współczesnej rzeczywistości amerykańskiej opracowana przez autora „Amerykańskich stronnictw politycznych”.

Str. 260.

Cena F 16,50 (24/6; dol. 3,50)

Nowe wiersze

OCZYSZCZENIE

Hance i Bumkowi Heydenkornom

*Na moich dłoniach leży ciemny czas
Bramy wczorajsze u nóg mych się pienia
I ludzie wchodzą w moje kruchty.
Czasem widzę na ich ustach skurcz
Wtedy na chwilę stają, patrzą bez litości
Jakby chcieli powiedzieć że przy ich otchłaniach
Nie ma miejsca na moje dno.*

*Kurz zmęczenia pokrywa ich twarze
Zetłone rzęsy leżą jak skorupy
Żrące nic nie widzą przez ślepe zatory.
A oni jak odpadki po złuszczonej czasie
Nie mają w sobie nic z piękności
Stromej ludzkiego ciała.*

*Gdy wchodzą we mnie, sam ruch ich oczyszcza
Napętnia blaskiem i świeci od środka.
Podobni do świętego, różanego drzewa
Długo ukrytym we mnie płomieniem się sycą.*

*Potem wychodzą. Po drugiej już stronie
Stają rzędem i milczą, podobni do latarni
Które się palą nad wzburzonym morzem.
Nikt już ich warg nie zmusi do słowa
Nikt nie odbierze ciszy. Aby ich zobaczyć
Objąć jednym spojrzeniem wszystkie ich wymiary
— Swoją w nich, szczelnie wypełnioną całość —
Muszę oczyścić słowo w kryształach ich ciał.*

TYLKO DROGA DO ŚWIATŁA

*Tylko droga do światła nigdy się nie kończy
I wiara żłobi we mnie swój odwieczny krzyk.
Tylko ciemność za nami kładzie korytarze
I słowo po omacku szuka jakubowych drabin
A potem spada — zranione — ze szczytu
Jak drzewo albo ludzkie ciało.
Wszystko zaś można zgarnąć jednym ruchem dłoni
Opasać szeptem — uszczelnić wargami
Zamknąć na klucz w kroplici ciepłej krwi.
A potem wtłoczyć w ocean natury —
Zamienić w złotousty wiersz.*

ARKADIA

*Budowałem granitowe schrony
Odchodziłem by wracać wieczorem
Żaden księżyc nie był mi bliski
Choć bezustannie szukałem w niebie
I widziałem jak z ukrytych rąk
Unosiły się narodzone ptaki
I spadały na ubity bruk.*

*Nie żał mi życia że uchodzi —
Dwudziesty wiek nie zna miłosierdzia.*

Na zachwaszczonych polach wyśpiewuje czas
I buldozery.
Ziemia odchodzi od zgłodniałych ust
Syci nie potrzebują już dziś podróżować do siebie
Jak między księżycami.
Ostatnio widziałem uschnięte fontanny
Powieszzone za gardło.

Pod moją skórą pieni się jeszcze bunt
Skowyt świata przeszywa mi skronie
Gdy się grzebię w mannie popiołów
Gdzie spalono na oczach Boga pięć milionów Żydów.

Dziś moje ręce zajęte są układaniem trupów
I nic oprócz łagodnych też nie mam dla nich
W szczelinach rzęs.

Syk ziemi zdaje się wołać:
Oto jak owocuje ziarno ludzkie
Wśród czystych dłoni Piłatów?
Jakie żniwo czeka ich, jak nie zasłużona śmierć
Za spaloną Arkadię!

CYFRY

Zastugą naszych czasów jest
że nie mamy Rimbaudów. Nie
przylegają oni do nas
jak rzęsa do czaszki.
Nikt nie kocha ich trupich oczu
ani abisyńskich dalekich podróży —
wyrodzili się, są poza nawiasem
naszego słowa. Nie pasują
do naszych domów. Kapryśni —
pracowali jak z łaski
nie znali nadliczbowych godzin.
Ich stawki były inne; nie podobne
do naszych wyrównanych wypłat.
Nic dziwnego
nie należeli do Zawodowych Związków.

*Jest więc zasługą naszych czasów
że pomiatamy Rimbaudami.
Bo wiersz dziś nie promieniuje
bo wiersz nasz nie pachnie —
bo wiersz jest cyfrą
i grozi kulą.*

ELEGIA

*Istnieją we mnie noce tak bezsenne
Że ciało moje zamieniają w popiół
A potem leżą — zgubiony — jak wymiar.*

*Istnieją we mnie noce jak pająki
Razem z powietrzem wchodzą w moje płuca
I kradną oddech.*

*Istnieją we mnie dni nieprzebudzone.
Czas za progiem o wypaczonym sensie —
I ja — dobijający się o własne istnienie.*

CHÓR

*Chciałbym oddychać
Zapachem mego domu
Kościstym progiem
Połaciami ścian.
I pachnącym naskórkiem
Soczystego pola.*

*Chciałbym hodować w słońcu
Okrągłe słoneczniki
Zaszczepiać ogrody
W pochyłościach ziemi
Odradzać się w sokach
Pulchnych traw...
Chciałbym wchodzić w słowo
Jak promień w powietrze.*

*Chciałbym — przeciwko milczeniu
Chórem dwu rąk jak snem się opasać.*

ŚWIĘTY FRANCISZEK

*Święty Franciszek ma twarz słonecznika
Święty Franciszek stoi w złocie po kolana
Cały od liści, od różowych kwiatów
Od batystowych dni.*

*Święty Franciszek, pobrataniec brzoź
Niesie ludziom ich uśmiech i dobre ramiona
Mrówkom ułatwia wędrowne podróże
I pszczołom pracującym w pocie czoła — miód.
Inaczej nikt by nie poznał że to właśnie święty.*

*Zręczny jest jak kuglarz a gdy obdarza łaską
Robota pali mu się w rękach, żaden złotnik
Nie rzeźbi takim ruchem, z tak szczodłą dobrocią
Jak on strofę pasiecznego dnia.*

*Święty Franciszek czuwa przy nas, gdy zza węgła nocy
Politrak z piekła rodem planuje zasadzki.
Jak partyzant ostrożny jest wtedy —
Granatem świętości zręcznie umie miotać.*

Wacław IWANIUK

Konflikt chińsko-sowiecki

W rok po ukazaniu się polskiego wydania mojej książki pt. „Agonia reżymu w ZSSR” czytelnik ma prawo zapytać autora: „czy się Pan przypadkiem zbyt nie pośpieszył?” Czy podtrzymuje Pan wszystkie za i przeciw swojej oceny?” Byłoby zarozumiałością, a może nawet śmiesznością, gdyby autor utrzymywał, że nie może się pomylić. Jedynie „marksiści-leniniści” uważają, że są nieomylni. Ale, mówiąc zupełnie uczciwie, przypuszczam, że jak dotąd nic takiego nie zaszło co by mogło osłabić podstawy mojej analizy, biorąc pod uwagę, że proces „laicyzacji”, który szerzy się wśród sowieckiej teokracji materialistycznej jest nieodwracalny i że pomimo wszystkich wysiłków „prałatów-funkcjonariuszy” Kremla oraz ich kolegów z innych krajów, tzw. socjalistycznych, ten proces ulega przyspieszeniu. Komunizm zamiera jako „religia” wraz ze wszystkimi skutkami jakie wypływają z tego faktu dla reżymów zbudowanych na pseudo-wierze „leninowsko-marksistowskiej”. Ten fenomen, zupełnie wyraźny w Polsce, jest niemniej dostrzegalny w Związku Sowieckim. To powiedziawszy, muszę jednak dokonać swego rodzaju „samokrytyki”, gdyż w swojej pracy popełniłem błąd interpretacyjny i niezbyt wyraźnie podkreśliłem najważniejszą cechę naszej epoki. Błąd interpretacyjny polega na niedocenieniu rewolucyjnych możliwości komunizmu chińskiego. Najważniejszym faktem, którego jednym ze skutków jest właśnie malejący wpływ rewolucyjnego promieniowania Chin, jest to, że od roku 1963 znajdujemy się już nie w „trzecim” ale w „czwartym konflikcie światowym”. I w ramy tego czwartego konfliktu należy przenieść proces „desakralizacji” pseudo-religii leninowsko-marksistowskiej.

„Religijna zimna wojna” Moskwy z Pekinem

Liczni obserwatorzy, w trosce o uproszczenie sytuacji, zgodni są w sprowadzaniu obecnej sytuacji światowej do trójwalki:

Stany Zjednoczone — Związek Sowiecki — Chiny, ze szczególnym uwzględnianiem Trzeciego Świata jako terenu rozgrywki. Ale co rozumie się przez tę trój-walkę? Cały konflikt jest *a priori* dialektyczny i udział w nim trzech protagonistów sprowadza się nieodwołalnie albo do kombinacji: dwaj przeciwko jednemu, albo do pojedynku z arbitrem, przy czym ten ostatni, z konieczności, faworyzuje jednego lub drugiego z walczących, co znowu sprowadza nas do poprzedniej kombinacji. Innymi słowy — tak jak i poprzednio — nie mamy w obecnym konflikcie trój-walki — zawsze istnieją tylko dwaj główni protagoniści. W przeciwieństwie do piewców moskiewskiej propagandy tymi głównymi przeciwnikami obecnego konfliktu są nie „imperializm” i „socjalizm” — co zresztą samo przez się nic nie znaczy, ale wyłącznie Związek Sowiecki i Chiny, które od 1963 roku wypowiedziały sobie nieodwołalną „religijną zimną wojnę”. Posiadając wszystkie charakterystyczne cechy „zimnej wojny”, prowadzonej między Wschodem i Zachodem w latach od 1947 do 1963, starcie Moskwa-Pekin zawiera ponadto silny akcent uczuciowy, wynikający z religijnej natury dwóch koncepcji komunizmu, który chcą ucieleśnić „aparaczczyki” sowieccy i chińscy. Ten ostatni aspekt jest tak potężny, że nie tylko jakakolwiek zgoda pomiędzy dwiema „Mekkami” komunizmu jest niemożliwa, ale co więcej, każda z nich w tajemnicy gotowa jest sprzymierzyć się z kimkolwiek, aby móc zadać drugiej ostateczny cios. I w ten sposób Stany Zjednoczone są obecnie *de facto* aliantami Związku Sowieckiego przeciwko Chinom, podczas gdy Chiny, starając się za wszelką cenę sprowokować konflikt amerykańsko-sowiecki, szukają drogi aby przemienić Stany Zjednoczone w swojego faktycznego sojusznika. Ta sytuacja pozwala propagandzistom zarówno Moskwy jak i Pekinu krzyczeć wielkim głosem o „tajnym porozumieniu” wrogiej Mekki z „imperialistami” amerykańskimi. Tym samym leninowsko-marksistowski schemat nieubłaganej walki pomiędzy „systemem socjalistycznym” a „systemem kapitalistycznym” jest zaprzeczony faktami. Prawdziwa wojna — nawet jeżeli rozgrywa się na marginesie zimnej wojny — toczy się w łonie osławionego „systemu socjalistycznego” zagrażając samym założeniom komunizmu jako religii. Jest to bezsprzecznie proces samozniszczenia tej pseudo-religii, która już z góry całkowicie przegrała w toczącym się obecnie konflikcie. Aby się upewnić o tej prawdzie wystarczy zanalizować po krótko elementy tego konfliktu w obecnym stadium.

Schyłek rewolucyjnego komunizmu chińskiego

Zaraz po upadku Chruszczowa, to jest w chwili kiedy stawiałem diagnozę dotyczącą „agonii reżymu w Związku Sowieckim” — rewolucyjny komunizm chiński wydawał się w pozycji siły. Jego panowanie w Trzecim Świecie wzmacniało się z dnia na dzień. Wystarczyło jednak, aby Amerykanie — którzy, jak się

zdawało, nie zdradzali w 1964 roku chęci pozostania w Wietnamie — zareagowali gwałtownie w lutym 1965 roku bombardując północny Wietnam, aby brutalnie zahamować ideologiczną ekspansję chińską. Niewątpliwie pomiędzy licznymi przyczynami niepowodzeń, zarejestrowanych przez chiński komunizm w Afryce, Azji i Ameryce Łacińskiej, główną rolę odgrywa utracenie twarzy przez ekipę Mao Tse-tunga w starciu z „papierowym tygrysem amerykańskim”. Klęska „pro-chińskiego” puczu komunistycznego w Indonezji we wrześniu 1965 roku przyspieszyła jeszcze bardziej schyłek promieniowania maoizmu w Trzecim Świecie. Azjaci, Arabowie, Afrykanie i inni przyglądali się pokazowi niemocy chińskiej w obliczu masakry 300.000 komunistów indonezyjskich, masakry, w obliczu której kierownicy sowieccy zaledwie podnieśli głosy sprzeciwu. Wepchnięty w swoje granice, komunizm „maoistowski” stracił od tej chwili charakter uniwersalny. Spowodowało to reakcje w łonie kierownictwa Partii chińskiej. Usiłując zapobiec możliwym herezjom w samych Chinach i aby w jakiś sposób na nowo „uświęcić” swoją „religię” — Mao i jego zausznicy zmuszeni zostali do proklamowania ich „rewolucji kulturalnej”, która sprowadziła się do zmobilizowania, poza samą organizacją Partii, milionów młodych chińskich fanatyków i w sumie do powtórzenia, w jakieś pięćset lat później, eksperymentu, mnicha Savonaroli z Florencji. Podobieństwo pomiędzy „rewolucją kulturalną” a „savonarolizmem” jest uderzające. W obu wypadkach „fanatycy” mobilizują wyrostków nie tylko w celu palenia dzieł sztuki i innych oznak dekadencji, ale przede wszystkim po to, aby sterroryzować samo „duchowieństwo” i nawrócić je na „prawdziwą wiarę”. Tak samo jak Savonarola i jego „święta milicja” która atakowała „złych księży” florentyńskich, tak i Lin Piao i jego „czerwona straż” polowali na „złych aparczyków” w chińskiej Partii. Mamy w związku z tym w Chinach klimat wojny domowej, który usiłuje wykorzystać zarówno propaganda sowiecka jak Czang Kai-szecka. Ten „napad zorganizowanego szaleństwa” podkreśla jeszcze dodatkowo czysto nacjonalistyczny i rasistowski charakter „maoizmu”, proklamujący Lin Piao nowym Hitlerem chińskim, który zamienia kult Wotana na kult Mao. Na tym tle, rozumując logicznie, „rewolucja kulturalna” może zakończyć się dwojako: albo ostatecznym zwycięstwem Lin Piao i przemianą komunizmu chińskiego w proto-faszyzm bardziej jeszcze gwałtowniejszy niż nazizm niemiecki, albo chaosem w Chinach. Te dwa wyjścia — jednakowo niebezpieczne z racji ryzyka podpalenia świata — w każdym wypadku świadczą o końcu „maoizmu” jako „pseudo-religii” o zasięgu światowym. W pierwszym z wymienionych wypadków „narodowo-komunistyczne” Chiny — wobec niemożliwości rozszerzania swojej ideologii — mogłyby sięgnąć po ekspansję przy pomocy siły, poprzez zbrojne starcie z Rosją. W drugim wypadku wojna domowa w Chinach może spowodować rozmaite zagraniczne zbrojne interwencje, przede wszystkim Związku Sowieckiego i Formozy, która korzystałaby z poparcia Stanów Zjed-

noczonych. W każdym razie, jakie by nie było po pewnym czasie zakończenie „rewolucji kulturalnej”, już teraz jest pewne, że przyspieszy ona „desakralizację” materialistycznej teokracji sowieckiej, a zatem „agonię reżymu w ZSSR”.

Proces desakralizacji komunizmu w Rosji

W każdej normalnej wojnie klęska jednego obozu jest *ipso facto* zwycięstwem przeciwnika. Jednakowoż w tak specjalnym konflikcie jakim jest „zimna wojna religijna” Moskwa-Pekin — klęski „maoizmu” wcale nie wychodzą na korzyść „kardynałom-satrapom” Kremla, nawet wtedy jeżeli w jakiejś mierze są korzystne dla Związku Sowieckiego jako państwa. Już same ekscesy „savonarolizmu” chińskiego zmuszają sowieckich kierowników do zachowywania dystansu wobec „stalinizmu”, to jest komunizmu na skalę uniwersalnej religii. Niezdolne do zrozumienia samej natury fenomenu w którym się szamocą, szafę osobistości Kolektywnego Kierownictwa Sowieckiego są już tylko „funkcjonariuszami”, którzy usiłują bez powodzenia odgrywać rolę „kapłanów” martwej religii. Sama dynamika konfliktu, która ich przeciwstawia chińskim fanatykom — nie mówiąc już o innych aspektach, które zanalizowałem w mojej pracy — odrzuca ich w stronę jakiegoś „titoizmu”, w oczekiwaniu na ostateczne załamanie się systemu w którym żyją. Ten sam fenomen dotyczy wszystkie inne partie komunistyczne ich obojczy, które potępiając „maoizm” są coraz mniej skłonne do uznawania moralnego przewodztwa Kremla. Podminowana przez policentryzm „pro-moskiewska” frakcja świata komunistycznego przestała już być monolitycznym blokiem. I dlatego, ostatnie „tajne” zebranie w Związku Sowieckim, w październiku 1966, mogło zakończyć się uchwałą typu „radykałno-socjalistycznego” zmarłej III Republiki Francuskiej. Rzeczywiście nie było warto deranżować tyłu „hierarchów” po to, aby dojść do tak żałosnego rezultatu. Watykan, który nie ma dostatecznej siły aby rzucić ekskomunię na „heretyków”, a zadowala się jedynie „oskarżeniem” i żałuje że doszło do rozłamowej działalności Chińczyków, nie może pretendować do tego, że wciela Prawdę. Ponadto, jedynym argumentem który jeszcze pozwala kierownikom sowieckim na utrzymanie pewnej spójności w ich obozie — jest „niebezpieczeństwo niemieckie” spekulujące na narodowych uczuciach Polaków i Czechów.

Pozbawiony treści religijnej, marksizm-leninizm rosyjski nie może już wzbudzać entuzjazmu ani w nowych pokoleniach sowieckich ani wśród młodzieży jakichkolwiek innych krajów. Jeżeli „maoizm” znajduje się w odwrocie na terenie Trzeciego Świata, to nie można powiedzieć aby „sowiecki sposób życia” pozyskał wskutek tego wpływy.

A tymczasem wewnątrz Związku Sowieckiego wszystkie problemy które narzucały się w chwili „pałacowej rewolucji” z 14 października 1964 roku, nie zostały rozwiązane.

Odstąpienie od przebrzmiałych struktur partyjnych staje się koniecznością życiową. Samo życie wymiata resztki śladów, pozostałych po martwej już religii.

A w oczekiwaniu...

Nie trzeba być prorokiem, aby stwierdzić, że z jednej strony konflikt między Moskwą a Pekinem może się tylko zaognić, zaś z drugiej strony bieg wypadków wewnątrz samych Chin w związku z „rewolucją kulturalną” może w niedalekiej przyszłości skończyć się sytuacją dramatyczną, której obecne Kolektywne Kierownictwo Sowieckie niełatwo będzie mogło sprostać. Ta sytuacja dramatyczna — jaka by nie była — czy to konflikt zbrojny z Chinami czy też rewolucja w Chinach — może jedynie przyspieszyć obecne procesy w ZSSR. Należy przypuszczać, że w bieżącym roku zostanie rozpętana w Związku Sowieckim ogromna kampania propagandowa w związku z 50-tą rocznicą „zwycięskiej rewolucji październikowej”, która prawdopodobnie pozwoli „hierarchom” Kremla na nowe złudzenia. Nie byłoby źle przypomnieć im przepych z jakim w roku 1913 świętowano w Rosji „trzystolecie” domu Romanowych, przepych, który nie zapobiegł w cztery lata później tragicznemu końcowi dynastii. Gdy tylko zgasną światła nastąpi powrót do rzeczywistości, a więc do faktów, które nie mają nic wspólnego z propagandą. Nawet jeżeli złudzenia będą trwały do roku 1968, to już od 1969 zazębiające się doroczne fakty bankructwa narzucą się z nieubłaganą siłą. Jeżeli nawet rozwiązanie przewidziane przeze mnie nie nastąpi w roku 1970, jestem pewien, że poczynając od tego proroczego roku będzie to już kwestia kilku zaledwie lat, jeżeli nie miesięcy.

Michel GARDER

Paryż w grudniu 1966.

(Przełożyła Zofia Hertz)

Kronika angielska

ODEJŚCIE

Odejście Adama Ciołkosza ze stanowiska przewodniczącego Egzekutywy Zjednoczenia Narodowego zamyka pewien rozdział w dziejach emigracji. Ciołkosza należało wybrać członkiem Rady Trzech — choćby tylko dlatego by symbolizował na tym stanowisku PPS odepchniętą od rządów w r. 1939.

„Kultura” nie jest związana ani z Ciołkoszem ani z „legalistycznymi” politycznymi ośrodkami emigracji. Ciołkosz odnosił się zawsze krytycznie do wysuwanych przez nas koncepcji. Niniejsza notatka nie jest więc produktem „kumoterskich” powiązań, tak typowych w świecie emigracyjnym. Niemniej obiektywizm każe stwierdzić, że odejście Ciołkosza odbiera Egzekutywie resztki pozorów koalicji demokratycznej. W skład Rady Trzech wchodzi obecnie dwóch generałów i jeden ambasador. Jest to miniatura rządu wrześnieowego — złożona z samych „swoich” jak przez 28 laty.

Likwidacja Ciołkosza wywołała w kołach emigracyjnych najwyższy niesmak. Odepchnięto steranego w służbie publicznej wybitnego socjalistę i bezkompromisowego Polaka. Wyzbyto się człowieka, który w tym sanacyjno-endeckim zestawie reprezentował nieskalaną przeszłość bojowego demokraty i parlamentarzysty.

Postąpiono obrzydliwie, lecz Ciołkoszowi oddano niezamierzenie wielką usługę. Gdy nas czas minie, Ciołkosz historyk i współ-autor monumentalnego „Zarysu Dziejów Socjalizmu Polskiego” — będzie znaczył niepomiernie więcej niż wszystkie Rady Trzech — z nim czy bez niego.

SYMBOL: GERALD BROOKE

W ostatnim rozdziale mojej książki pt. „Polityczne Neurozy”, która ukaże się w bm. w Bibliotece „Kultury”, starałem się, w oparciu o kilka przykładów, dać ogólną odpowiedź na pytanie: jak należy postępować z Rosją? Lecz w analizie ograniczyłem się wyłącznie do sytuacji wschodnio-europejskiej. Oczywiście powyższy temat można by rozszerzyć i zastanowić się nad kapitalnym pytaniem jak winny postępować z Rosją mocarstwa zachodnie.

Obecnie w sowieckim łagrze odsługuje ciężki wyrok młody rusycysta brytyjski Gerald Brooke. W chwili gdy piszę te słowa przybył do Anglii z oficjalną wizytą premier Kosygin. Nie jest wyłączone, że Kosygin chcąc zjednać sobie opinię brytyjską — obieca rozpatrzyć sprawę Brooke’a i poleci go zwolnić. To byłby numer z klasycznego moskiewskiego repertuaru. Aresztuje się niewinnego człowieka. Przeprowadza się proces przy drzwiach zamkniętych a następnie wysła się skazanego do łagru. Akt drugi można by nazwać prześlągiwaniem. Ambasadorowie, dyplomaci, pisarze — współ-rodacy nieśczęsnego łagiernika w czasie swych wizyt w Moskwie apelują do przywódców na Kremlu, by wspaniałomyślnie ułaskawili więźnia. W prasie ukazują się artykuły, których autorzy powołując się na tradycyjną przyjaźń łączącą oba kraje — sugerują zwolnienie łagiernika co ułatwiłoby zbliżenie i wymianę kulturalną.

Wreszcie kurtyna idzie do góry i następuje akt trzeci. Władze sowieckie wypuszczają więźnia. W prasie pojawiają się artykuły pełne uznania i wdzięczności. Podkreśla się przy każdej okazji, że za czasów Stalina więzień byłby rozstrzelany a obecnie zaledwie po półtora roku łagru powrócił na ojczyznę łono. Stracił wprawdzie 20 kg. wagi lecz to mu wyjdzie tylko na zdrowie.

Przytoczyłem powyższy schemat, bo być może w chwili gdy marcowy numer „Kultury” dotrze do rąk naszych Czytelników będziemy świadkami aktu trzeciego i ostatniego w sowieckim dramacie Geralda Brooke’a. Lecz

nauka, którą należy wyciągnąć z tego widowiska, będzie w pełni nadal aktualna ponieważ Brooke nie jest ani pierwszy ani ostatni z tej serii.

Brooke'a skazano za przemycenie i rozpowszechnianie wśród młodych intelektualistów w Moskwie — literatury, którą Gomułka nazwałby „podniecającą umysły”. Jak to było naprawdę dowiemy się dopiero gdy Brooke wyląduje w Anglii i zechce wypowiedzieć się w tej sprawie. Nie jest wyłączone, że z takich czy innych względów będzie milczał.

Przyjmijmy jednak, że oskarżenia sowieckie są prawdziwe. Wówczas należałoby stwierdzić, że Brooke'a skazano za czyn czy czyny, które na Zachodzie nie są przestępstwem.

Oczywiście cudzoziemiec musi szanować przepisy kraju, który udziela mu gościny. Anglik jadący samochodem we Francji po lewej stronie drogi nie może powoływać się na fakt, że w jego kraju to nie jest przestępstwo. Lecz co innego są przepisy porządkowe — a co innego są podstawowe zasady naszej cywilizacji. Tych zasad jest bardzo niewiele — lecz w tych sprawach kompromisy są niedopuszczalne.

W związku z wizytą Kosygina zorganizowano z wielkim rozmachem i nakładem kosztów wystawę obrazującą wymianę kulturalną brytyjsko-rosyjską na przestrzeni ostatnich 400 lat. W „Victoria and Albert Museum” zgromadzono imponującą ilość obrazów, dokumentów, listów carów i listów królów angielskich, srebra, porcelany, wczesnych wydań przekładów klasyków rosyjskich i tp. i td. Lecz na wystawie brak jest eksponatu najbardziej charakterystycznego dla współczesnych stosunków kulturalnych sowiecko-brytyjskich. Brak jest dużej fotografii Geralda Brooke'a w łagiernym pasiaku.

W prasie angielskiej natknąłem się tylko na jeden artykuł w tej sprawie, pod którym mógłbym podpisać się bez zastrzeżeń. Mam na myśli świetny szkic Roberta Conquest'a w „The Listener” z 15. grudnia ub.r. Artykuł ten wywołał natychmiastową reakcję w postaci listów do redaktora z morałem, że Anglia nie może sobie pozwolić na twardą politykę w stosunku do Rosji ponieważ nie jest już dziś imperium.

Conquest wysunął sugestię, że po uwięzieniu Brooke'a rząd angielski powinien był powiadomić przywódców na Kremlu, że zarzucane mu czyny nie są przestępstwem ani w świetle artykułu 19 Deklaracji ONZ w sprawie praw człowieka i obywatela — ani w świetle praw obowiązujących powszechnie na Zachodzie. Rząd brytyjski powinien był również zaznaczyć, że jeżeli Brooke nie zostanie natychmiast wypuszczony na wolność — układ brytyjsko-sowiecki w sprawie wymiany kulturalnej utraci swą moc obowiązującą.

Gdy Rosjanie zaaresztowali prof. Barghoorna pod zarzutem szpiegostwa — prezydent Kennedy odmówił jakichkolwiek dyskusji na ten temat i tego samego dnia zerwał układ kulturalny z Sowietami. Barghoorn'a wypuszczono natychmiast z więzienia i wszystko wróciło do normy.

Choć każdy z nas życzy Brooke'owi jak najszybszego uwolnienia — względy humanitarne nie stanowią istoty zagadnienia. Istotą zagadnienia jest fakt, że sami odstępujemy od zasad, które równocześnie usiłujemy „sprzedać” innym narodom.

Jaki jest cel wymiany kulturalnej, układów kulturalnych, naukowych i tp.? Jako ludzie Zachodu pragniemy wzmóc wpływy kultury zachodniej w Związku Sowieckim w nadziei, że im owe wpływy będą potężniejsze tym

polityczne wyrównanie stosunków z Rosją stanie się łatwiejsze. To jest logiczne i słuszne rozumowanie i na dalszą metę nie ma innej drogi przed nami.

Kultura jednak to nie tylko Szekspir i klasycy lecz również określony kodeks norm i wartości. Nie można zdradzać tych norm i równocześnie usiłować je propagować.

Co myślą o tym wszystkim pisarze i intelektualiści rosyjscy? Sądzę, że ich tok rozumowania jest następujący. Na Zachodzie protestowano głośno w sprawie Daniela i Siniawskiego. Lecz owe protesty nie zobowiązywały rządów zachodnich do niczego. Daniel i Siniawski są obywatelami sowieckimi i wskutek tego rządy zachodnie nie miałyby żadnego tytułu do interweniowania w ich sprawie. Przypuszczam, że intelektualiści rosyjscy, którzy nie bez poważnego osobistego ryzyka położyli podpisy pod memoriałami w sprawie Daniela i Siniawskiego, z uznaniem odnotowali protesty podejmowane na Zachodzie, choć owe protesty nic nas nie kosztowały i niczym nam nie groziły.

Sprawa Brooke'a, który jest obywatelem brytyjskim — wymagała konkretnej akcji i interwencji. Sądzę, że intelektualiści rosyjscy oczekiwali, że będziemy bronić twardo zasad, które głosimy.

Mieszkam tak długo na Zachodzie, że bez trudu potrafię sobie odtworzyć przebieg rozumowania czynników oficjalnych. Anglia nie jest mocarstwem kalibru Stanów Zjednoczonych — znajduje się, zarówno w sensie politycznym jak i gospodarczym, w trudnej sytuacji i dlatego nie może sobie pozwolić w stosunku do Rosji na akcję odwetową w sprawie jednego obywatela.

Na czym polega błąd w powyższym rozumowaniu? W tej sprawie nie chodzi o los obywatela brytyjskiego tylko o zasadę. Nie chodzi o lektora języka rosyjskiego nazwiskiem Gerald Brooke (któremu każdy z nas życzy jak najlepiej) — tylko chodzi o pogwałcenie podstawowej normy postępowania.

Gdyby jutro dokonano zamachu w Moskwie na członka ambasady brytyjskiej byłoby nonsensem podejmowanie akcji odwetowej. Szaleńcy i zamachowcy trafiają się wszędzie — nie wyłączając Zachodu. Lecz w sprawie Brooke'a nie mamy do czynienia z kwestią: jednostka versus interes państwa. Nikt dziś nie oczekuje, że dla ochrony jednostki państwo podejmie kroki sprzeczne z interesami narodu jako całości. Brooke w łagrze sowieckim reprezentuje jednak coś znacznie więcej niż jednostkowy los bliżej nieznanego lektora języka rosyjskiego. Reprezentuje normę ujętą w cytowanym artykule „Deklaracji OZN”, którą sformuowały i podpisały wszystkie państwa zachodnie.

Cytowany art. 19 Deklaracji głosi, że „każdy człowiek ma prawo do swobody przekonań i wyrażania ich w słowie i w piśmie. Każdy człowiek ma prawo poszukiwać, otrzymywać i przekazywać informacje przy użyciu wszystkich środków komunikacyjnych bez względu na granice”.

Art. 19 Deklaracji ONZ nie został wymyślony w Nowym Yorku tylko formułuje jedną z podstawowych norm demokracji zachodniej. I dlatego w sprawie Brooke'a należało Rosjanom wyjaśnić, że w grę wchodzi zasady, które nie mogą być przedmiotem kompromisu.

Byłoby jednak błędem winę przypisywać rządowi brytyjskiemu. Winnymi w tej sprawie są zachodni Europejczycy, którzy przywykli uważać zdobywcę

swojej demokracji za rzeczy równie oczywiste jak samochody, lodówki i telewizory. Wolność słowa, niezawisłe sądy, parlament — to wszystko stanowi część składową ogólnego komfortu, za który płaci się, ale o który nie ma powodu walczyć. Nie walczy się o rzeczy, które uważa się za „granted”. Sprawy, które są oczywiste i codzienne nie dynamizują opinii. Można w Londynie na Trafalgar Square zorganizować potężną manifestację w sprawie Wietnamu czy rozbrojenia atomowego. To nie są rzeczy uważane za „granted” i dlatego dynamizują opinię społeczną.

Gdyby Gerald Brooke był Murzynem — prawdopodobnie już dawno byłby na wolności. Równouprawnienie rasowe nie jest jeszcze oczywistą częścią składową naszego ogólnego komfortu — tylko jest Sprawą przez wielkie „S”, o którą trzeba walczyć. Gdyby Brooke był Murzynem, brytyjska opinia społeczna w jego skazaniu dopatrywałaby się dyskryminacji rasowej. Nie byłoby końca protestom, manifestom i kampaniom prasowym.

Lecz Gerald Brooke nie jest Murzynem tylko zwyczajnym zachodnim Europejczykiem i dlatego nie symbolizuje Sprawy przez wielkie „S”. To tylko dla nas, wschodnich Europejczyków — wolność, praworządność i demokracja są jeszcze ciągle wartościami o które trzeba walczyć by je osiągnąć.

APOKALIPSA I STRATEGIA

W mało znanym i jeszcze mniej czytanim (na emigracji) amerykańskim piśmie „Foreign Service Journal” z stycznia br. — ukazało się streszczenie przemówienia prof. Z. Brzezińskiego, wygłoszonego na corocznym bankiecie Stowarzyszenia Amerykańskiej Służby Zagranicznej. Należy stwierdzić, że Brzeziński wystąpił z oryginalną diagnozą polityczną, która odbiega od szablону i dlatego warto poświęcić jej chwilę uwagi.

Na ogół panuje pogląd, że sytuacja międzynarodowa po drugiej wojnie światowej — ewoluowała od amerykańskiego monopolu atomowego poprzez okres „podwójnej hegemonii”, aż po erę policentryzmu, która uszczęśliwia nas obecnie.

Brzeziński twierdzi, że powyższy pogląd — choć powszechny — jest całkowicie fałszywy. W jego opinii na początku mieliśmy policentryzm, następnie okres podwójnej hegemonii, który z kolei przekształcił się w epokę amerykańskiej supremacji.

Według tej diagnozy klasyczny okres policentryzmu to lata 1945-1950. Ameryka była wówczas zaangażowana w Europie — lecz nie miała zobowiązań i odpowiedzialności globalnej. Jej potencjał wojskowy opierał się głównie na monopolu atomowym, który miał charakter raczej apokaliptyczny niż strategiczny.

W tym samym okresie Rosja była mocarstwem regionalnym, zainteresowanym w Europie lecz nie w Azji. Anglia i Francja — niegdyś światowe mocarstwa kolonialne — gaśły jako gwiazdy pierwszej wielkości na międzynarodowym horyzoncie. W Azji panował chaos. Żadne z mocarstw nie posiadało dominującej pozycji w skali światowej — co charakteryzuje okresy policentryzmu.

Teżą centralną w rozważaniach Brzezińskiego jest rozróżnienie pomiędzy apokalipsą atomową a apokalipsą przekształconą w siłę strategiczną. Tylko

siła strategiczna może być instrumentem działania politycznego a w dalszej konsekwencji fundamentem polityki globalnej.

Okres policentryzmu dobiegł kresu w roku 1950. Nastąpiła dekada „podwójnej hegemonii” — którą Brzeziński woli określać mianem „fazy dwubiegunowej” (*bi-polarity*). Pod koniec owego okresu, Chruszczow popełnił błąd przyjmując za pewnik, że Rosja osiągnęła status mocarstwa globalnego. Komunizm na Kubie zdawał się przeczyć zasadzie „fatalizmu geopolitycznego”. Do tej pory uważano, że zasięg zbrojnego ramienia Armii Czerwonej — określa zasięg komunizmu. Gdy jednak doszło do otwartego kryzysu, okazało się, że Sowiety, choć posiadają apokaliptyczny potencjał atomowy — strategicznie nie są mocarstwem zdolnym do prowadzenia polityki globalnej.

I tak oto skończyła się faza dwubiegunowa i rozpoczął się okres światowej supremacji amerykańskiej. Stany Zjednoczone zdołały bowiem swój potencjał atomowy przekształcić w siłę strategiczną. Amerykanie rozbudowali również skomplikowaną konwencjonalną maszynę wojenną nadając jej globalny zasięg. W porównaniu z tymi osiągnięciami, Rosja Sowiecka jest nadal mocarstwem regionalnym o apokaliptycznym potencjale atomowym, jednak bez strategicznego potencjału, który umożliwiłaby Moskwie prowadzenie wojen konwencjonalnych czy semi-konwencjonalnych w dowolnym punkcie globu.

Na marginesie należy podkreślić, że McNamara poparł tezę Brzezińskiego o bezwzględnej supremacji Ameryki. W styczniu br. przemawiając przed senacką komisją wojskową McNamara stwierdził, że w chwili obecnej, przewaga rakiетowo-nuklearna Stanów Zjednoczonych nad Sowietami wyraża się proporcją 3 : 1. Jednak zarówno Brzeziński jak i w miesiąc po nim McNamara — podkreślili, że stan obecnej supremacji nie będzie trwał wiecznie. Jeżeli wyłączyć kryzysy, wojny, rewolucje i kontrrewolucję — Rosja Sowiecka stanie się również z czasem super-mocarstwem o strategicznym potencjale globalnym. Rosjanie rozbudowują ośrodki szkolenia piechoty morskiej (*Marines*), flotę podwodną, lotnictwo strategiczne dalekiego zasięgu, i t.p. Za 10 czy 15 lat wrócimy do fazy dwubiegunowej — co oczywiście będzie oznaczało zakończenie okresu bezwzględnej supremacji amerykańskiej.

Najbliższe 10 lat zapewnionej przewagi Stanów Zjednoczonych Brzeziński nazwał „dekadą amerykańską”. Owa dekada winna być w pełni wykorzystana w płaszczyźnie politycznej. Pierwszeństwo, zdaniem Brzezińskiego — należałoby przyznać Europie.

Ogólne wnioski są znakomite — natomiast z diagnozą trudno się zgodzić bez zastrzeżeń. Komentarz ujmuję w dwóch następujących punktach:

I. W Europie nie nam nie wiadomo o awansie ery globalnej supremacji Stanów Zjednoczonych. Przeciwnie, w porównaniu z dekadą ubiegłą — prestiż Ameryki zmalał.

W Europie nie nam również nie wiadomo, że okres podwójnej hegemonii dobiegł kresu. Być może faza dwubiegunowa zakończyła się w innych częściach świata — lecz na pewno nie zakończyła się w Europie. Berlin jest podzielony, Niemcy są podzielone, kontynent jest podzielony a w Warszawie, w Budapeszcie, czy w Pradze o „dekadzie amerykańskiej” nikt nie wie, ponieważ jej nie widać.

Na terenie Europy nie wydarzyło się nic takiego co mogłoby podważyć naszą wiarę w „fatalizm geopolityczny”. Mierzona kryteriami „nagiej polityki siły” — Zatoka Świń stanowiła amerykańską przegraną. Natomiast interwencja sowiecka na Węgrzech stanowiła sukces Moskwy.

Na Kubie nie ma sowieckich pocisków atomowych lecz *demokracji nie ma również*. Dla Amerykanów najistotniejszy jest element zagrożenia — lecz dla Europejczyków istotnym jest fakt, że Kubę wyłączono z wolnego świata. Czy jest do pomyślenia by Ameryka dopomogła małemu państwu wschodnio-europejskiemu, położonemu w odległości 90 mil od granicy sowieckiej, przywrócić i utrzymać ustrój demokratyczny?

II. W moim przekonaniu technologia nie wystarcza do tego by potencjał apokaliptyczny przemienić w globalny potencjał strategiczny. Strategia bowiem, to nie są ani rakiety, ani międzykontynentalne pociski, ani floty lotnicze o dalekim zasięgu. Strategia jest narzędziem polityki. Jeżeli nie ma polityki nie ma i strategii. Bogactwo i różnorodność środków oraz umiejętność posługiwania się owym arsenałem — nie zastąpią planu i politycznej doktryny. Najpotężniejszy samochód w garażu nie robi z nikogo wielkiego podróżnika. Trzeba mieć jeszcze opracowany plan podróży i wiedzieć gdzie się chce jechać.

Jeżeli „dekada amerykańska”, o której mówi Brzeziński — miałyby się urzeczywistnić — w Stanach Zjednoczonych musiałyby zniknąć dysproporcja pomiędzy niedorozwojem politycznej koncepcji, a bogactwem środków materialnych.

POLEMIKI I KOMENTARZE

Zygmunt Nagórski w artykule pt. „Jeszcze o granicach” („Wiadomości” 29 stycznia 1967) pisze co następuje:

„Argumenty logiczne nie mają ani znaczenia ani skutku w sprawach międzynarodowych. Juliusz Mieroszewski jako wytrawny publicysta doskonale wie o tym. Prawidła logiki nie mają w tej dziedzinie zastosowania”.

W tym wypadku nie chodzi o polemikę, która dotyczy stanowiska „Kultury” w sprawie Wilna i Lwowa. Chodzi mi o przytoczoną powyżej opinię ogólną, która stanowi polityczną filozofię nawet tak wybitnych i światłych Polaków jak Zygmunt Nagórski.

„Misją” mojej publicystyki na przestrzeni ostatnich lat 20-tu było zwalczanie powyższej „filozofii politycznej” do upadłego.

Fakt, że racjonalizm i logika nie odgrywały roli w polityce powodował wynaturzenia w postaci faszyzmu i hitleryzmu. Komunizm jest również do utrzymania tylko za cenę wyłączenia logiki i rozumu z życia politycznego. Wszystkie ideologie są w gruncie rzeczy uproszczonym, a często prostackim „katechizmem”, który apeluje do emocji a nie do rozumu.

Tak jak nie możemy akceptować biernie faktu, że rak bywa często chorobą nieuleczalną — podobnie nie możemy godzić się biernie z fatalistyczną przesłanką, że życie międzynarodowe nie ma nic wspólnego z rozumem i logiką.

Olbryzi rozwój wszystkich gałęzi socjologii i nauk politycznych na europejskim zachodzie i w Stanach Zjednoczonych — zmierza w dalekiej perspek-

tywie do unaukowania polityki. W epoce atomowej, już nie tylko postęp, lecz istnienie gatunku ludzkiego zależą od zrationalizowania metod współżycia międzynarodowego.

Zmienia się również nasz stosunek do historii. Nie zadawała już nas interpretacja faktów politycznych czy ekonomicznych. Dąży się dziś do naukowego „odtajemniczenia” człowieka, do klinicznej diagnozy jego charakteru i postępowania. Historia jest w biegu zatrzymaną polityką i dlatego anatomiczne sekcje fenomenów historycznych mają podstawowe znaczenie dla uracjonalnienia polityki.

Posłużmy się przykładem z niedalekiej przeszłości. Ani historycy niemiec-
cy, ani obcy, nie wyjaśnili do tej pory zjawiska hitleryzmu. Obozy zagłady, ludobójstwo — to była zorganizowana makabra, prowadzona i rejestrowana do końca przez armię pedantycznych biurokratów.

Jak można uniknąć choroby — czy żywiołowej katastrofy — jeżeli się nie rozumie ani ich istoty, ani ich genezy?

Tam gdzie zawiedli ortodoksyjni historycy podjęli pracę naukowcy z in-
nej dziedziny. „Centre for Research in Collective Psychopathology” uniwer-
sytetu w Sussex zorganizował na szeroką skalę zakrojone studia fenomenu
hitleryzmu. Ośrodek jest instytucją „międzydiscyplinarną” — to znaczy
gromadzi naukowców z różnych dziedzin i specjalności.

Takich przykładów można by przytoczyć dziesiątki tak na terenie Euro-
py jak i Stanów Zjednoczonych. Ludzie konserwatywnie myślący odczu-
wają jako „świętokradztwo” dążenie nauki do odmitologizowania Człowieka.
Wydaje się jednak, że kariera człowieka, jako „istoty nieznannej”, dobiega
kresu. Historia przestaje być również „zagadką owiniętą w tajemnicę”. Nau-
kowa znajomość człowieka i jego historii stanowią niezbędny warunek
„unaukowania” polityki i oparcia stosunków międzynarodowych na racjonal-
nych przesłankach.

Ludzie starszego pokolenia przywykli widzieć w nacjonalizmie niewysy-
chające źródło emocjonalizmu, który nadaje polityce nieobliczalny wymiar.
Osobiście, skłonny jestem przypuszczać, że w obrębie najbliższego półwiecza
większość państw narodowych zniknie ze sceny. Powstaną federacje i wielkie
zespoły państw; ponieważ „wielko-zespołowość” jest wymogiem rozwoju tech-
nologicznego i gospodarczego. Nawet Europa, gdzie każdy naród chce być
mocarstwem w swoim własnym imieniu — ulegnie z czasem zasadzie „wiel-
ko-zespołowości”. Idzie to wolno i pod włos wiekowemu tradycjom — nie-
mieńcy, ostateczny rezultat tego procesu wydaje się przesądzony.

W wielkich kombinatach państw, nacjonalizm ulegnie stopniowo zasad-
niczej przemianie. Z chwilą gdy państwa narodowe scedują 60% swej su-
werenności na rzecz władz związkowych czy federalnych — nacjonalizm
utraci zęby.

Należy podkreślić jeszcze jeden punkt. Uracjonalnienie polityki między-
narodowej potrzebne jest przede wszystkim małym i średnim narodom —
podobnie jak demokracja potrzebna jest przede wszystkim biednym i wy-
zyskiwanym. Cyrankiewiczowi powodzi się znakomicie i bez demokracji —
a Związkowi Sowieckiemu odpowiada znakomicie zasada *what is might*
is right.

Uracjonalnienie polityki międzynarodowej potrzebne jest w pierwszej li-
nii narodom małym i średnim, tak jak my. I dlatego powinniśmy być
zawsze w pierwszym szeregu tych, którzy walczą o uracjonalnienie stosun-

ków międzynarodowych. Nie stoi bowiem za nami siła — tylko słuszość. Słusznej sprawy bronić można tylko logicznymi argumentami. Rezygnując z rozsądku i logiki, niemal zawsze rezygnuje się i ze słuszości.

„MOJA PRYWATNA AMERYKA”

Widziałem Amerykę na dziesiątkach, może na setkach filmów. Ileż razy patrzyłem na fantastyczny „profil” Nowego Jorku z pokładu samolotu schodzącego do lądowania. W pewnym sensie panorama Nowego Jorku, widziana z lotu ptaka, jest mi bardziej znajoma niż panorama mojego rodzinnego Krakowa. Na szczycie wieży Kościoła Mariackiego byłem tylko raz i to było przed wiekami.

Słowo Ameryka ewokuje w mojej pamięci setki plastycznych, kolorowych obrazów — tak, że czasem trudno mi uwierzyć, że w Ameryce nigdy nie byłem. Lecz owa seria scen, panoram miast i krajobrazu, to nie jest *moja* Ameryka. To jest klisza utrwalona w mózgowicach milionów ludzi, którzy oglądali te same filmy i podobnie jak ja, w Ameryce nigdy nie byli.

Ameryka Wierzyńskiego jest tak nie podobna do stereotypu, że po prostu trudno uwierzyć w jej istnienie.

W książce Wierzyńskiego nie ma cyfr, statystyk, technologii, ekonomii. Nie ma ani jednego reportażu. To jest zbiór urzekających, impresjonistycznych sztychów i akwarel — utrwalających sceny i nastroje prowincjonalnej, starej Ameryki. Morze, mewy, wiatr — góry, drzewa, śniegi, ślady łapek lisich, cisza zimowych nocy i Szopen nad którego biografią Wierzyński wówczas pracował. Takiej Ameryki istotnie nie ma. Taka Ameryka powstała pod piórem-pędzlem Wierzyńskiego, jedyna, nowa i nie nadająca się do powielania.

Reporter jest tylko redaktorem stanu faktycznego. Uporządkowuje dla nas materiał rzeczowy i zaopatruje go w komentarz i tytuły. W reportażu dokumentacyjnym mówi do nas rzeczywistość. W „Mojej Prywatnej Ameryce” mówi do nas Wierzyński. „Prywatna Ameryka” zbudowana jest z niego, oddycha jego poezją i imaginacją, czerpie swą aurę z jego skojarzeń i jest rzeczywistą siłą jego osobowości.

Na „prywatne Ameryki” mogą porywać się tylko pisarze tej miary co Wierzyński. Trzeba samemu być prywatnie wielkim by nie zmaleć i nie zbanalnieć *vis-à-vis* amerykańskiego modelu. I z tej przyczyny literackie „odkrycia Ameryki” w 90 wypadkach na 100 — są zwykle szmirą i kliszą.

OPIEKA I BEZPIEKA

W numerze „Kultury” z grudnia ub.r., w notatce pt. „Wstęp do Dyskusji” poruszyłem m.in. sprawę paszportów konsularnych. Z listów, jakie w tej sprawie otrzymałem, wnioskuję, że konieczne jest pewne dodatkowe wyjaśnienie.

Według „Dziennika Polskiego”, w czasie dyskusji w Związku Pisarzy prof. Pragier miał się wyrazić, że „nie można być częściowo pod opieką

konsularną — tak jak nie można być częściowo w ciąży”. Bardzo to dowcipne, lecz nie trafia w sedno. Nie chodzi bowiem o opiekę, częściową czy całkowitą — tylko o nacisk. Posiadacz paszportu konsularnego jest narażony na naciski ze strony władz PRL. Takie wypadki są nam znane. Posiadacza paszportu konsularnego wzywa się na rozmowę do konsulatu, gdzie wysuwane są różne propozycje. Oczywiście, Polak z paszportem konsularnym jest skrzępowany w swobodzie ruchów. Nie może podpisać żadnego protestu, czy wziąć udziału w manifestacji, nie może napisać „nie-prawomyślnego” artykułu w prasie emigracyjnej, i tp. Władze PRL mogą zawsze odmówić przedłużenia paszportu i to otwiera pole do nacisków, a nawet, w pewnych wypadkach, do szantażu. Paszport konsularny zapewnia nie opiekę tylko Bezpiekę i dlatego nie należy go brać.

Emigrant, który wziął paszport konsularny przestaje być uchodźcą i nie ma prawa ani do *travel document*’u ani do opieki przysługującej emigrantom politycznym. Posiadacz paszportu konsularnego nie jest ani uchodźcą politycznym, ani emigrantem zarobkowym — jest natomiast obywatelem Polski Ludowej, przebywającym czasowo zagranicą.

W tych sprawach nie należy być „zbyt sprytnym” — bo nie ma stanu połowicznego. Można być tylko albo emigrantem politycznym, albo obywatelem państwa osiedlenia, albo obywatelem PRL. Powyższych kategorii nie można łączyć, ani *de facto*, ani *de iure*.

LONDYŃCZYK

JUŻ JEST W SPRZEDAŻY

DRUGIE WYDANIE

GEORGE J. FLEMMINGA

POLSKA MAŁO ZNANA

Charakterystyczny dokument

CZYŻBY „REWOLUCJA KULTURALNA” W ROSJI?

Walerij Skurłatow pracował do niedawna w Wydziale Propagandy Miejskiego Komitetu Komsomołu w Moskwie. W tym charakterze przygotował i opublikował poniższy elaborat, jako oficjalny dokument organizacyjny, z „firmowym” nadrukiem: „Wydział Propagandy M.K. Komsomołu miasta Moskwy”, odbity na powielaczu w ilości 500 egzemplarzy, co wskazuje na to, że miał to być dokument szeroko rozpowszechniany wśród aktywu — zapewne nie tylko w rejonach, tj. dzielnicach, ale w komitetach komsomołu na uczelniach, fabrykach etc. Dokument odzwierciedla w sposób charakterystyczny stan umysłów pewnej grupy działaczy, który to stan opinia szeptana w ZSSR łączy zwykle z postawą Szelepina, uważanego za rzecznika skrajnie reakcyjnych, faszystujących metod (onże był w swoim czasie zwierzchnikiem, tj. I sekretarzem Komsomołu). Dokładne okoliczności afery związanej z dokumentem nie są nam znane; w każdym razie został on wycofany z obiegu, a Skurłatowa karnie przeniesiono do pracy naukowej w jednym z moskiewskich instytutów badawczych, gdzie otrzymuje pensję 20 rubli wyższą niż poprzednio. Można się domyslać, że zwierzchnicy uznali tę publikację za przedwczesną, i odślaniającą zamysły przeznaczone tylko dla wtajemniczonych — lub też, podobnie jak w wypadku znanej afery z broszurą Kiczki „Judaizm biez prikras” — zorientowali się po pierwszych reakcjach, że przeholowali i umyli ręce, czyniąc z autora kozła ofiarnego (prawda, że „ofiara”, uwięzioną podwyżką pensji może się wydawać problematyczną).

Otdiel Propagandy Gorkoma WLKSM goroda Moskwy

Walerij Skurłatow

*W preddwierii wielikich pobied
Ibo nasz nraw praw*

Skurłatow

1. Obyczajowość, względnie zachowanie społeczne, określa się odpowiedzią na takie zasadnicze pytania, jak np.: „Na czym polega sens życia?”, „Na czym polega obowiązek człowieka wo-

bec ludzkości?", „Moje miejsce w przeznaczeniu narodu?". Dopiero po odpowiedzeniu na te podstawowe pytania, które nieuchronnie zadaje sobie każdy człowiek wchodzący w życie, można mówić o wyrobieniu prawdziwego przekonania o słuszności swojej sprawy, swego postępowania. Trzeba rozpocząć wychowanie młodzieży od omówienia tych kwestii, czerpiąc materiał z życia wielkich ludzi, wielkich rewolucjonistów. Jednocześnie należy się zdecydowanie odżegnać od rozsądku, od racjonalnego egoizmu, na pierwszym miejscu stawiając serce, zew krwi. Ofiarną miłość do ojczyzny, towarzyszy, sprawy, czyn żołnierza zasłaniającego własnym ciałem nieprzyjacielską strzelnicę — tego wszystkiego niesposób wytłumaczyć „racjonalnym egoizmem". I na odwrót: każda postawa sceptyczna, nihilistyczna i zdradziecka wypływa z rozsądku, z różnych odmian egoizmu, a świadomość rewolucyjna zawsze wyróżnia się przede wszystkim pasją i sercem. Dlatego też powinno się stale wychowywać młodzież w nastroju rewolucyjnej romantyki, dążenia do rewolucyjnego ideału — w nastroju poświęcenia „ja" dla naszego, ukochanego „my".

2. Społeczno-politycznego ideału nie wolno — jak się to często czyni — przedstawiać w duchu mieszczańskim, wyłącznie jako syty dobrobyt, jako życie bez zasadniczych wstrząsów, bez śmiertelnej walki. Szczęście w życiu polega na śmiertelnej walce. Dopiero w obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa ukazuje się prawdziwe oblicze człowieka i swoista niepowtarzalność jego indywidualności; dopiero wobec śmierci ujawnia się radość i duma pana życia — od trzydziestu lat pijącego świeżą krew, i strach przed śmiercią, wstyd i wyobcowanie niewolnika — od trzystu lat żywiącego się padliną. Przygotować młodzież do nieustannej, śmiertelnej walki nie tylko dziś i jutro, ale i pojutrze! Połączyć tę walkę z kosmiczną misją narodu! Niesposób oddzielić walki o kosmos, od walki o człowieka. Kosmos — to najdroższa sprawa młodzieży, jej marzenie o bohaterstwie. Dlatego przy ścisłym określeniu społeczno-politycznego ideału przeobrażenia świata, na pierwszym miejscu trzeba postawić rewolucyjne przekształcenie i całkowitą solidarność ze swoim narodem, ze swoim kosmosem, i wreszcie przekształcenie całej ludzkości.

3. Organiczną częścią ideału społeczno-politycznego powinien stać się obyczajowy „kategoryczny imperatyw", swojego rodzaju „moralny kodeks" serca. W odróżnieniu od „moralnego kodeksu rozsądku" pierwsze miejsce w prawdziwie moralnym kodeksie powinien zajmować obowiązek wobec własnych przodków i potomków, wobec własnego narodu. Tam, gdzie nie szanuje się umarłych, tam nie szanuje się żywych. Miłość ojczyzny nadaje sens życiu, ratuje przed samotnością i rozpaczą, kieruje całym postępowaniem człowieka. Miłość ojczyzny to konieczna i wystarczająca cecha obywatela. Należy stworzyć kult przodków, albowiem „brak szacunku do przodków, to pierwsza oznaka zdziczenia, amoralności" (A. S. Puszkina). Każda pięćdziesiątka ziem ojczyściej, nasyconej potem i krwią ojców, winna być dla każdego człowieka, od najwcześniejszych lat przedmiotem kultu.

4. W obyczajowym „imperatywie kategorycznym” powinno być ściśle określone — do instynktu włącznie — to, co w dziedzinie moralnej jest dobre a co złe. Konieczne jest zdecydowane społeczne potępienie wszelkich nihilistycznych teorii typu sławetnej teorii „szklanki wody”. Najpierw przeprowadzić długą dyskusję o rodowej, moralnej i fizjologicznej wartości dziewiczej czystości i godności, o zdrożności przedmażeńskich związków. Uciekać się nawet do reklamowania starych chłopskich obyczajów: smarowania bramy dziegiem, pokazywania ludziom prześcieradła po nocy poślubnej, stosowania kar cielesnych wobec oddających się cudzoziemcom, piętnowania ich i sterylizowania.

5. Łyżka dziegciu może zepsuć beczkę miodu. Ale łyżka dziegciu nie zepsuje beczki miodu, jeśli w beczce będą przegródki. Dlatego dla zabezpieczenia obyczajowej czystości narodu powinno się przemyśleć sposoby zachęty do stwarzania wszelkiego typu kast, stratyfikacji (typu oficerskiego kodeksu honorowego, kodeksu lekarza, nauczyciela, studenta, ucznia, regulaminu ziomkostw i tp.).

6. Nie zajmować się tzw. „wychowaniem seksualnym”, nie wzbudzać zainteresowania problemem płci, nie podkreślać go. Płeć to sprawa intymna, tu wszystko powinno się rozstrzygać samo przez się, bez zebrań i zbiorowej kopulacji. Stłumić zainteresowanie problemem płci na rzecz pobudzania zainteresowania romantyką rewolucji, budownictwa, podróży, a szczególnie romantyką nauki i twórczości. Sublimować płęć i twórczość! Najlepsze wychowanie seksualne to wychowanie obywatelskie, rozwinięcie miłości ojczyzny i twórczego stosunku do życia.

7. Od najmłodszych lat nie rozpieszczęć młodzieży! Wprowadzić kary cielesne. Rózga to najlepszy nauczyciel. Kara cielesna to hartowanie ducha. Przemyśleć wszechstronną militaryzację młodzieży, zaczynając od szkoły podstawowej. Regularne ćwiczenia wojskowe, pochody, sztuka wojenna. Więcej romantyki wojennej, kultywowanie poczucia solidarności żołnierskiej i rycerskości. Wierność swemu oddziałowi, swym towarzyszom broni, to gwarancja wierności ojczyźnie.

8. Prawa solidarności i rycerskości, które wolni ludzie ustanawiają instynktownie, uosobione przez Sicz Zaporozką i wojska kozackie, wymagają bezwzględного tępienia zdrajców, przestępców, cudzołózców, mądrali i szaleńców. Przypomnijmy sobie „Tarasa Bulbę” Gogola, z jego mitem rosyjskiego ducha wolności, rosyjskiej rycerskości — kiedy bowiem na granicy, na kresach, oko w oko z nieprzyjacielem, rodzi się bohaterski rycerz Ostap, równocześnie zostaje ukarany cham, a ojciec zabija własnego syna — indywidualistę, egoistę i zdrajcę — Andrzeja. Nie będzie porządku w narodzie, póki każdy występki nie spotka się z ostrą karą. Dwoje oczu za oko, dwa zła za złe, albowiem przestępca winien być ukarany podwójnie — za przestępstwo przeciwko sobie i przeciwko narodowi. Pijaństwo, chuligaństwo, prostytucję i trudną młodzież wypłeni duch solidarności, rycerskości i żoł-

nierskiej dyscypliny. Powszechne wytrzebieenie obcych elementów to gwarancja osiągnięcia szlachetnego celu. Miłość do swego narodu to przede wszystkim nienawiść do samego siebie.

9. Od najmłodszych lat zajmować się sportem i wszystkimi sposobami sport propagować; szczególnie kultywować dyscypliny techniczne. We współzawodnictwie hartuje się człowiek, rozwija się charakter. Wychowanie zdrowej, egoistycznej indywidualności jest pierwszym warunkiem wychowania prawdziwego członka kolektywu, bowiem tylko silne, oryginalne „ja” stwarzają niewyciężone, nieśmiertelne „my”.

10. Nie ma bardziej nikczemnego zajęcia nad profesję „myśliciela”, „inteligenta”, „mądrali”, i nie ma szlachetniejszej misji nad misję żołnierza. Inteligent to niewolnik martwego rozumu, żołnierz to pan życia, narzucający swą wolę biegowi świata. Męstwo to matka mądrości i porządku, albowiem Harmonia to córka Aresa i Afrodyty. Na przykład, bez wojowniczej Sparty nie byłoby mądrych Aten, nie byłoby starożytnych Greków. Siła człowieka, jego rasa, stanowi o jego losie. Kto urodził się niewolnikiem, ten niewolnikiem pozostanie na całe życie. A kto urodził się zwycięzcą, ten i wobec śmierci będzie zwycięzca. Naród, by się nie zdegenerować, by nie zostać zbiorowiskiem niewolników i robotów, winien odrodzić i utrwalić na wieki jedynie właściwą i prowadzącą do prawdziwej nieśmiertelności drogę — kult żołnierza.

3. XI. 1965.

Odp. 500 egz.

Kopija iz egzempliara otpieczatannowo na rotatorie.

Na Ukrainie

Sprawa pisarzy ukraińskich Dziuby i Switłycznego, o której „Kultura” informowała niedawno swoich czytelników, była tylko jedną z wielu.

O licznych procesach przeciw pisarzom, dziennikarzom, artystom i pracownikom różnych instytucji kulturalnych prasa sowiecka nie pisała, ale coraz to przedostawały się wiadomości, które w drugiej połowie września ub.r. uzyskały potwierdzenie. Mianowicie, w składzie delegacji Ukrainy Sowietkiej na zgromadzenie Organizacji Narodów Zjednoczonych w Nowym Yorku przybyło dwóch pisarzy, młody poeta, Iwan Dracz, oraz Dmytro Pawłyczko. Potwierdzili oni w pełni wiadomości o aresztowaniach i procesach.

Emigracyjna prasa ukraińska podała szereg nazwisk osób, które padły ofiarą wznowionego terroru. Wyroki są przeważnie od trzech do sześciu lat. W większości wypadków stosowany jest artykuł 62, mówiący o różnych czynach antypaństwowych, o rozpowszechnianiu oszczerczych informacji, a także o szkalującej władze sowieckie literaturze i jej przechowywaniu.

Jeśli chodzi o geografę, na pierwszych miejscach znajdują się Lwów z siedmioma i Kijów z pięcioma skazanymi, reszta przypada na Odesę, Żytomierz, Łuck i Tarnopol. W wypadku Swiatosława Karawańskiego, filologa, poety i tłumacza, skazano go bez rozprawy sądowej na odbycie reszty niegdyś дарowanej mu kary. Rzeczą w tym, że Karawanskyj otrzymał w roku 1944 dwadzieścia pięć lat obozu i odsiedział wyrok w połowie — w roku 1957 został amnestionowany. Obecnie zesłano go do Mordowskiej Autonomicznej Republiki dla odsiedzenia reszty, czyli dalszych dwunastu lat.

Wracając do Iwana Dracza i Pawłyczki, to Pawłyczko zapytany odpowiedział, że istotnie, 23 osoby poszły do więzienia za „działalność antysowiecką” i że wśród aresztowanych znajduje się Swiatosław Karawanskyj, były agent Gestapo w Odessie.

O wiele wymowniejszy był Iwan Dracz, jeden ze zdolniejszych młodych poetów na Ukrainie. Oto najważniejsze fragmenty z jego oświadczenia: „Pytanie to i odpowiedź sprawiają nam wielką przykrość, zwłaszcza mnie osobiście, ponieważ wśród aresztowanych nie brakuje moich przyjaciół. Wśród moich znajomych znajduje się, po raz drugi aresztowany Bohdan Horyń, krytyk ze Lwowa, artysta Panas Zaliwacha, brat Bohdana Horynia, Mychajło, i wiele innych znanych mi osób. Ludzi tych przedstawia się tutaj jako bojowników o ukraińską kulturę i ukraińską mowę. Sprawa jest trochę bardziej skomplikowana. Rzecz w tym, że do środowiska tych ludzi należeli i tacy, którzy uprzednio związani byli z podziemnymi, nacjonalistycznymi organizacjami na Ukrainie, utrzymującymi kontakty nawet z niemieckim Gestapo. Zaczęła się bezpośrednia propaganda przeciw naszemu ustrojowi, rozpowszechniano po kraju teksty, mówiące o wrogości sowieckiej władzy do narodu ukraińskiego i o czerwonym faszyzmie...”

„Inna rzecz — dodał dość odważnie Dracz — że wydawało mi się, iż władza sowiecka jest na Ukrainie dostatecznie silna, aby, ewentualnie, zamiast aresztować tych ludzi, oddać ich pod jakiś społeczny sąd. Myślę, że właśnie teraz, gdy zbliżamy się do pięćdziesięciolecia władzy sowieckiej, uczynimy wszystko, aby ci, co w takiej akcji brali najmniejszy udział, jak na przykład Bohdan Horyń i Panas Zaliwacha — zostali uwolnieni w najbliższym czasie...”

A więc w dwadzieścia dwa lata po wojnie ciągle jeszcze wykrywa się na Ukrainie osoby, które współpracowały z niemieckim okupantem i nawet z Gestapo. A do tego bardzo wielu z aresztowanych musiałoby, zważywszy datę ich urodzin, współpracować z Gestapo w dzieciństwie, czy zgoda w niemowlęctwie.

Pawłyczko dodał ze swej strony, że żadnej rusyfikacji na Ukrainie nie ma, a jeśli nawet niekiedy daje o sobie znać, to jest dziełem „durniów i biurokratów”.

Dracz jest zdolnym poetą, Pawłyczko natomiast to partyjny grafoman, robiący konsekwentną karierę „socrealistyczną”. Urodził się w roku 1929 we wsi Stopczatowie na Stanisławowszczyźnie.

U Schaffa i Kołakowskiego

Adama Schaffa odwiedziłem w jego mieszkaniu w Warszawie w pewien mroźny poranek zimowy. Właśnie wtedy ukazać się miał w Austrii — niemal jednocześnie z polskim oryginałem — niemiecki przekład jego książki, która wywołała dyskusje i polemiki w całym świecie komunistycznym: „Marksizm a jednostka ludzka”. W krajach demokracji ludowej zdarza się rzadko, aby kogoś obcego zaproszono do prywatnego mieszkania członka Komitetu Centralnego partii. Audiencji takich udziela się w biurach KC albo w urzędzie, gdzie wpływową osobistość wykonuje swe funkcje zawodowe.

Korzystam więc z okazji, aby poznać prywatną atmosferę, w jakiej obraca się ten typowy przedstawiciel polskiej „nowej klasy” i jeden z najbardziej zręcznych i znanych w świecie jej teoretyków. Ideolog gomułkizmu, filozof partyjny, któremu Gomułka powierzył przed dziesięciu laty podwójną misję: ocalenia tego co było jeszcze do ocalenia z ideologii PZPR i przywołania do porządku pisarzy skupionych wokół tygodnika „Po prostu”, mieszka w ogromnym szarym gmachu przy niekończącej się Alei I. Armii Wojska Polskiego 2/4. Do mieszkania na trzecim piętrze prowadzi podwójne drzwi z drzewa orzechowego, ciężkie, ciemne — niemal czarne. Na drzwiach brązowa tabliczka z nazwiskiem i tytułem profesora. Na zachodzie takie tabliczki widuje się dziś chyba tylko w Wiedniu, gdzie strzegą *privacy* burżuazyjnej inteligencji zawodowej.

Poprzedniego dnia byłem u Leszka Kołakowskiego, niespokojnego młodego filozofa, który wychylił się poza marksizm. Kołakowski wobec Schaffa jest mniej więcej tym kim mógłby być Dżilas wobec Lukacsa: heretykiem, wyrzekającym się *de facto*

* Jest to jeden z rozdziałów książki „L'Altra Europa”, VALLECCHI Editore, Firenze, 1966. Tytuł rozdziału w oryginale „L'Eterodosso di stato”. — „Autoryzowany Niedowiarek”.

Lenina jeżeli nie Marksa („demokracja jest ryzykiem, które warto podjąć”). Schaff natomiast to nieortodoksyjny ale akceptowany przez partię myśliciel, który nie odrzuca „doktryny”, lecz ją poprawia, usuwając niektóre anachronizmy („coś naprawdę nowego w ruchu socjalistycznym może powstać tylko i wyłącznie na bazie i wewnątrz ram myśli marksistowskiej”).

Postacią bardziej interesującą intelektualnie, bardziej kruchą biologicznie, bardziej dramatyczną jest Kołakowski. W bałaganie swego pokoju porusza się i mówi nerwowo z chaotycznym wdziękiem. Biurko pokryte kartkami i otwartymi zeszytami, wypełnionymi gęstym ręcznym pismem, dziwne awangardowe obrazy na ścianach, kanapa z fantastycznie rozrzuconymi poduszkami o zbyt jaskrawych kolorach. Coś gorączkowego, neurotycznego emanuje z przedmiotów otaczających tego typowego intelektualistę, który błyskotliwie wyjaśnił mechanizm „stalinowskiego szantażu” i — *enfant terrible* reżymu — napisał w „Po prostu”: „Jest szkodliwym absurdem przeciwstawiać demokrację socjalistyczną — burżuazyjnej, ponieważ nie chodzi nam o likwidację osiągnięć demokracji burżuazyjnej lecz o ich poszerzenie”.

W mieszkaniu Schaffa dominuje atmosfera ładu i dobrobytu; pełno tam pięknych drobiazgów, raczej wykwitnych, niż fantastycznych. Schaff to klerk o zdrowych nerwach, przywódca partyjny o gustach obcych nawykom artystycznej cyganerii. Schaff na polecenie Gomułki — zaalarmowanego wolnościową ofensywą Kołakowskiego — ukrocił na dziesiątym Plenum KC w r. 1957 — fermenty młodej inteligencji polskiej („Idea, że rewizjonizm może być ruchem lewicy jest mitem, który powstał w atmosferze ideologicznego chaosu. Od kiedy opozycja wobec leninizmu uchodzi za wyznanie lewicowości w ruchu robotniczym? Od kiedy byle komu atakującemu marksizm wolno przypinać sobie epolety lewicowości po każdym ciosie wymierzonym w socjalizm z pozycji burżuazyjnych?”).

Zewnętrzny wygląd pogromcy „młodych, stojących na pozycjach burżuazyjnych” jest jak najbardziej burżuazyjny: wypielęgnowane ręce delikatnymi ruchami wydłużają się do antycznej srebrnej cukiernicy między dwiema filiżankami czarnej kawy, skrojona na miarę tweedowa marynarka z Zachodu, ciemne flanelowe spodnie z doskonale zaprasowanymi kantami, solidne buciki o modnych okrągłych noskach angielskich. Kołakowski, ubrany jakby w przypadkowo pozbierane ciuchy, wygląda niczym ozdrowieniec w sanatorium. Także cechy somatyczne obu są całkowicie odmienne: wydłużona, jakby końska czaszka wizjonera u Kołakowskiego, ziemista twarz, oczy szare, ogromne i przejrzyste. U Schaffa — czoło okrągłe, wydatne, błyszczące; chłodne, przenikliwe oczy o metalicznych błyskach; wargi wąskie i zaciśnięte skóre do dysput i potępień.

Obu reprezentantów dzisiejszej postalinowskiej inteligencji warszawskiej — zbliżają ich biblioteki. Zestaw książek zachodnich w różnych językach jest u obu ten sam: Dżilas, Trocki,

Kautsky, Deutscher, Kardelj, Bernstein i inni. U żadnego intelektualisty rosyjskiego nie spotkałem równie bogatego i równie wielojęzycznego zbioru tytułów, znajdujących się na indeksie partyjnym. Biblioteki Schaffa i Kołakowskiego są typowo polskie, ale z tych samych tekstów, z tych samych wyczerpujących informacji, obaj wyciągają odmienne konkluzje. Kołakowski — tak jak Dżilas — wyrwał się z błędnego koła marksizmu, a nie znajdując punktów oparcia ani możliwości działania w wyczerpanym intelektualnie i zrezygnowanym społeczeństwie polskim, wpadł w swoisty mistycyzm historiograficzny i studiuje herezje religijne minionych stuleci. Schaff pozostał w obiegu. Partia pozwala mu na krytykowanie gospodarczego determinizmu i użytkowych uproszczeń marksizmu pod warunkiem, że krytyka ta będzie — mimo wszystko — prowadzona z pozycji partyjnych i że w ostatecznych wnioskach powróci na pozycje ortodoksyjne, chociaż uzupełnione i wzbogacone nowymi odkryciami. (Kościół Katolicki, gdy chciał się odnowić, stosował podobne metody — wystarczy wspomnieć dzieje modernizmu).

Schaff jest „modernistą” marksizmu — marksizmu polskiego w szczególności — a nie żadnym eskapistą, za którego uchodzi na Zachodzie. Ten inteligentny, gruby Żyd nordycki ze Lwowa, łączący mentalność niemiecką z polską dumą narodową, mówi z wzgardliwym dystansem o rewizjonistycznych doświadczeniach innych demokracji ludowych. On nie chce niczego „niszczyć”, pragnie „ratować”, „ocalać”, „poprawiać”. Schaff zdobył w Polsce i w Europie pozycję naukową której broni i o której ciągle pamięta: jest nie tylko „doradcą tyrana” w Warszawie, lecz również profesorem uniwersytetu, dyrektorem sekcji filozofii i socjologii Polskiej Akademii Nauk, przewodniczącym Europejskiego Centrum Studiów Socjologicznych we Wiedniu. To ostatnie stanowisko daje mu pozycję, z którą liczy się nie tylko obóz komunistyczny. Osobisty sukces na pewno wpływa w jakiejś mierze na zahamowania krytyczne i na instynkt samozachowawczy Schaffa, tak jak u każdej wybitnej jednostki na wysokim stanowisku.

„Początkowe myśli w wywodach Schaffa nie budzą zastrzeżeń i przez chwilę wydaje się, że rzeczywiście składa on hołd humanizmowi, ideom tolerancji wzajemnej, wolności i demokracji. Ale zdziwienie pryska rychło i jasne się staje, że całość wykrętnych i obłudnych wywodów Schaffa ma służyć za uzasadnienie dla dyktatury komunistycznej jako rzekomej konieczności historycznej”*. Słowa te napisał polski emigrant polityczny, socjalista Adam Ciołkosz. Nie ulega jednak wątpliwości, że nauka profesora Schaffa w Polsce jest znacznie bardziej subtelna i oryginalna oraz promieniuje silniej niż przerwana lekcja profesora Havemanna w Niemczech Wschodnich. Aby to zrozumieć, należy oddzielić w ostatniej książce polskiego filozofa analityczny me-

* „Robotnik Polski”, Nowy Jork, luty 1962. Adam Ciołkosz: „Humanizm” czy „Monolitność”? (o książce Schaffa „Filozofia człowieka”).

chanizm jego poszukiwań od spekulatywnych wniosków, które z nich wyciąga.

Ostateczne konkluzje zmierzają do usprawiedliwienia całości doktryny marksistowskiej; wnioski pośrednie i poszczególne fragmenty dzieła przeczą temu. Burzy to nie tylko harmonię książki, lecz również wiele mitów, na których opiera się oficjalne wyznanie wiary rządzących partii komunistycznych. Nie ostateczne intencje książki Schaffa mającej odrodzić marksizm, lecz spustoszenie dokonane podczas prac restauracyjnych zaalarmowały będących przy władzy przywódców. Wężły demistyfikacyjne, którym Schaff chciałby nadać jedynie względną wartość logicznych powiązań między poszczególnymi sofizmatami uzyskały — wbrew zamierzaniom autora — byt samodzielny. Dwaj najwyżsi ekspozycjoniści PZPR, Starewicz i Kliszko, oskarżyli Schaffa o degradację roli partii i lekceważenie teorii walki klasowej.

Schaff usiłując ożywić humanizm marksistowski, lekceważy przestarzałe analizy ekonomiczne i socjologiczne Marksa, czym narusza — w ostatecznym rozrachunku — różne tabu partyjne. Podśmiewa się z zawiłości hegeliańskich i z idyllicznych wizji młodego Marksa; bez oburzenia konstatuje, że w społeczeństwach komunistycznych powstała uprzywilejowana elita rządzących, a alienacja jest jedną z głównych bolączek w stosunkach między obywatelem a państwem; wytyka wygrywanie i popieranie głęboko zakorzenionego atysemityzmu polskiego przez wielu wybitnych przedstawicieli reżymu (Schaff nazywa ten antysemityzm „nową formą alienacji nacjonalistycznej, przejawiającą się w krajach socjalistycznych”); wreszcie głosi pesymizm historyczny: zdaniem profesora żaden ustrój polityczny — nie wyłączając marksistowskiego — nie posiada mesjanistycznego posłannictwa, pozwalającego na budowanie — drogą przymusu — szczęścia dla wszystkich (będzie już wielkim osiągnięciem — pisze Schaff — jeżeli dany ustrój potrafi usuwać konkretne nieszczęścia swych obywateli).

Burzycielski mechanizm Schaffa porusza się jednocześnie w dwóch kierunkach: jest zarówno anty-dogmatyczny jak i anty-rewizjonistyczny. Jest anty-dogmatyczny, gdy ukazuje pustkę socjologicznych analiz i prorocत्व marksizmu; jest anty-rewizjonistyczny, gdy w imię konkretnego dynamizmu podważa „szaleńcze wizje młodego Marksa”. Akrobatyczne wysiłki Schaffa nad odrodzeniem marksizmu budzą — przynajmniej na razie — niezadowolone zarówno na prawicy, jak i lewicy ruchu komunistycznego. Sądzę, że z jego dzieła przetrwają jedynie oczywiste stwierdzenia, sformułowane już przez Bernsteina i Kautsky'ego, a w części przez Różę Luksemburg.

Enzo BETTIZA

(Z włoskiego przełożył Wł. Sznarbachowski)

Produkcja przemysłowa Polski 1937-1960

Dr Maurice Ernst opublikował niedawno wyniki swoich badań nad wskaźnikami produkcji przemysłowej w Polsce od okresu przedwojennego do 1960¹.

Praca ta oparta jest na obszerniejszej tezie doktorskiej, przygotowanej na Uniwersytecie Columbia. Cechuje ją drobiazgową dokładnością i naukową bezstronnością oraz jasność w wytłumaczeniu sposobu, w jakim autor doszedł do swoich wyników. Ponieważ opis metodologii jest istotny tylko dla fachowców, sprawozdanie moje ograniczy się jedynie do wyników pracy Ernsta. Wykazuje on, że wskaźniki GUS'u są zawyżone i rozważa szczególnie przyczyny tych zawyżeń. Interesujące jest, że poważniejsi ekonomiści polscy porzucili używanie oficjalnego indeksu GUS'u i zrobili własne, o wiele niższe obliczenia, szczególnie na okres 1949-55. Mimo to, dane GUS'u są ciągle jeszcze używane dla celów propagandy. Wskaźniki obliczone przez Ernsta podane są w załączonej tabeli, gdzie dla celów porównawczych znajduje się także oficjalny indeks GUS'u. (Tabela ta znajduje się na str. 160 monografii Ernsta wydanej przez Columbia University. Indeks dla Niemieckiej Republiki Federalnej, który został tu dodany, jest obliczony na podstawie *Statistisches Jahrbuch für die Bundesrepublik Deutschland 1952*, str. 209, i *ibid.* 1965, str. 246).

Tabela wykazuje, że przedwojenna polska produkcja przemysłu i rzemiosła osiągnięta została w obecnych granicach dopiero pod koniec okresu stalinowskiego, tj. w roku 1953, co stanowi raczej sardoniczny komentarz na produkcyjne wyczyny tego okresu, osiągnięte przecież z olbrzymim nakładem poświęceń całego społeczeństwa. Podczas gdy komunistyczni statystycy starają się sprawić wrażenie, że między okresem przedwojennym a rokiem 1960 produkcja przemysłowa wzrosła ośmiokrotnie, Ernst wykazuje, że w obecnych granicach, i włączając produkcję rzemiosła, produkcja nawet się nie podwoiła! Ludziom wierzącym w statystyczną prawdomówność urzędowych ekonomistów polskich po Październiku tabela przynosi rozczarowanie: między ro-

1. Maurice C. Ernst, *Indexes of Polish Industrial Production, 1937-1960*, opracowane przez Thad P. Alton (New York: Columbia University, 1965), wydane w cyklu Occasional Papers of the Research Project on National Income in East Central Europe; Maurice C. Ernst, „Overstatement of Industrial Growth in Poland”, *The Quarterly Journal of Economics*, listopad 1965.

kiem 1956 a 1960 oficjalny indeks wykazuje wzrost o 46,5%, podczas gdy indeks Ernsta dla przemysłu daje wzrost o 38,1%, a indeks dla przemysłu i rzemiosła wzrost o 38,2%. Trzeba więc stwierdzić, że obiektywizm komunistyczny ciągle jeszcze pozostawia wiele do życzenia. Ciekawe jest, że podczas gdy Polska posiada wielu doskonałych ekonomistów, ich kolektywne osiągnięcia są niezwykle mierne. Wnioskować stąd należy, iż oficjalni ekonomiści polscy nie zdołali jeszcze uniezależnić swoich prac naukowych od dyktatury Partii. Jedynie w swoich niezależnych obliczeniach ekonomiści polscy dają wyniki na okres po 1955 podobne do obliczeń Ernsta².

Do ciekawych stron pracy Ernsta zaliczyć należy jego obliczenie przedwojennej produkcji przemysłowej w obecnych granicach Polski, analizę czynników zawyżających oficjalny indeks produkcji przemysłowej, wykaz czynników, które wprowadzają tendencje zawyżeniowe do własnych obliczeń Ernsta, szczegółowe tablice pokazujące rozwój produkcji w poszczególnych przemysłach i dla osobnych produktów, obliczenie wynagrodzenia za kapitał użyty do produkcji w poszczególnych przemysłach, oraz dokładne omówienie sposobu obliczenia wskaźników statystycznych produkcji.

Praca Ernsta nie nadaje się na lekturę „do poduszki”. Jest techniczna, precyzyjna i kwantytatywna raczej aniżeli opisowa. Stanowi jednak ważny przyczynek do obiektywnej oceny postępów gospodarki polskiej, oceny wolnej od ideologicznych norm i statystycznego socrealizmu. Przyczynek Ernsta jest wymierzalny, nadaje się więc doskonale do porównań międzynarodowych. Dla przykładu można podać, że wskaźniki produkcji przemysłowej w roku 1946 stanowiły w Japonii 24% wskaźników 1937, gdy w Polsce stanowiły one 39% wskaźników przedwojennych w obecnych granicach³.

Przedwojenna produkcja przemysłowa uzyskana została w Japonii, tak jak w Polsce, w 1953 roku. W r. 1960 produkcja ta wynosiła 265% produkcji 1937; podczas gdy w Polsce stanowiła 185% produkcji przedwojennej. Tak więc Japonia wykazuje większy spadek produkcji w wyniku Drugiej Wojny Światowej, nieco szybszy niż Polska wzrost do 1953 (polityka okupacyjna hamowała ten wzrost do 1950 roku), oraz dużo szybszy wzrost od 1953. Ale przecież Japonia jest wolna od ideologicznej doktrynerii, może robić to co przynosi jej korzyść, a nie to co jest ideologicznie poprawne, lub co podnosi *prestige* tego czy innego „obozu”, trudno więc ostatecznie dziwić się jej sukcesowi. Według zdania dwóch antropologów, którzy studiowali japońskie instytucje, „w rozwoju japońskiej gospodarki ogólnie biorąc ideologia

2. Patrz Ernst w *The Quarterly Journal of Economics*, str. 627. Istnieje co prawda oficjalna seria statystyczna dochodów powstających w przemyśle, która po r. 1955 daje wyniki podobne do wyników Ernsta.

3. G. C. Allen, *Japan's Economic Expansion* (Londyn: Oxford University Press, 1965), str. 266.

była traktowana jako *środek* do osiągnięcia poszczególnych celów⁴.

W Polsce ideologia wydaje się nie środkiem, obieranym do osiągnięcia celów społeczeństwa, lecz jest raczej samoistnym celem, dyktującym osiągnięcia. Różnica w nastawieniu jest tu bardzo istotna.

Drugim przykładem, który znajduje się w załączonej tabeli, jest NRF — tak jak i Japonia, kraj zniszczony wojną i terytorialnie przez wojnę zmieniony. I tu zaobserwować można szybsze aniżeli w Polsce tempo rozwoju przemysłu, mimo wyższego początkowego stadium rozwoju, które sprawia, że dalszy postęp jest stosunkowo trudniejszy do osiągnięcia.

Przy sposobności należy wspomnieć o trzecim studium Ernsta, przygotowanym dla Kongresu Stanów Zjednoczonych w Waszyngtonie⁵. Jest ono eklektyczne, opierające się na kilku innych pracach, i dotyczy porównania wzrostu ekonomicznego państw Europy Wschodniej z państwami Europy Zachodniej. Główne wyniki tego studium zreasumowane są przyjrzyście na str. 875-6:

„(1) W całym okresie powojennym wzrost produkcji w Europie Wschodniej był szybki, ale nie bardziej szybki aniżeli w Europie Zachodniej. W ostatnich latach był on wolniejszy w Europie Wschodniej aniżeli w Europie Zachodniej.

(2) Wzrost spożycia na głowę, a prawdopodobnie także ogólnego dobrobytu, był o wiele mniejszy w Europie Wschodniej aniżeli w Europie Zachodniej.

(3) Główne wskaźniki statystyczne wykazują, że wzrost ekonomiczny był do chwili obecnej mniej wydajny we Wschodniej aniżeli w Zachodniej Europie — większe wydatki inwestycyjne były potrzebne do otrzymania podobnych współczynników wzrostu. Niższa wydajność jest główną przyczyną względnie powolnego wzrostu spożycia w Europie Wschodniej”.

Autor stwierdza, że, podczas gdy sowiecka eksploatacja Wschodniej Europy grała dużą rolę w stosunkowo wolnej odbudowie gospodarek Europy Wschodniej po drugiej wojnie światowej, głównym powodem słabych wyników gospodarczych w krajach Europy Wschodniej są ekonomiczne i polityczne instytucje komunistyczne i polityka ekonomiczna prowadzona przez te instytucje. Autor wylicza tu „metodę i zasady szczegółowego planowania przez państwo, metodę ekonomicznej administracji przez olbrzymi aparat biurokracji państwowej, odsunięcie mechanizmu rynkowego do ubocznej roli, oraz kolektywizację rolnictwa” (str. 876).

Wspomniane studium zawiera dużą ilość interesujących danych statystycznych doprowadzonych do 1964 roku, oraz ciekawe

4. John W. Bennett i Iwao Ishino, *Paternalism in the Japanese Economy* (Minneapolis: University of Minnesota Press, 1963), str. 37-38. Podkreślenie moje.

5. Joint Economic Committee, Subcommittee on Foreign Economic Policy, *New Directions in the Soviet Economy*, Part IV, *The World Outside* (Washington: U.S. Government Printing Office, 1966, 55 cents).

rozdziały na temat kosztu wzrostu ekonomicznego, wewnętrznej oraz zewnętrznej polityki, i reform gospodarczych.

Że uprzemysłowienie Polski było potrzebne, w to trudno wątpić. Można jednak wątpić, czy nastąpiło ono dzięki rządowi komunistycznym, co ciągle powtarza propaganda komunistyczna, czy też wbrew nim, mimo ciągłych błędów, niedopatrzeń, planowej bezplanowości i planowego bezsensu. Czy, innymi słowy, cena komunizmu wyrażona w powolnym postępie w porównaniu ze środkami włożonymi w industrializację, nie była zbyt wielka. Pogląd na to zagadnienie oprócz można na krytycznej ocenie danych statystycznych.

Bogdan MIECZKOWSKI
Ithaca College, Ithaca, N.Y.

OFICJALNE I NIEZALEŻNIE OBLICZONE INDEKSY POLSKIEJ PRODUKCJI PRZEMYSŁOWEJ

	Oficjalny indeks	1949 = 100 Nieależnie obliczony indeks		Porównanie z Niemiecką Republiką Federalną
		Cały prze- mysł	Przemysł i rzemiosło	
1936				111
1937 (obszar przedwojenny)	55,4	68,3	96,2	—
1936-38 (obszar obecny)	—	114,7	144,1	—
1946	44,9	51,6	56,4	—
1947	59,9	69,8	74,6	—
1948	82,1	86,2	89,3	70
1949	100,0	100,0	100,0	100
1950	127,7	118,9	114,6	127
1951	156,0	135,4	129,1	148
1952	185,4	145,4	138,1	158
1953	217,8	162,5	153,5	171
1954	242,6	175,9	166,2	191
1955	270,3	192,1	181,1	220
1956	294,6	204,6	192,8	237
1957	323,8	219,9	209,0	249
1958	355,7	236,1	224,3	256
1959	388,4	256,7	243,0	276
1960	431,5	282,5	266,4	307

Nowojorskie millenium

I

GAUDE, MATER POLONIA

Odjazd w pewnej rozterce. Czy będzie to jeszcze jedna z polskich emigracyjnych pseudoimprez, gdzie każdy kimś kiedyś był i na każdym kroku się słyszy: „Moje uszanowanie, panie mecenasie”, „Czołem panie pułkowniku”.

Przeróżne spisy, obok naukowców z prawdziwego zdarzenia, podają np. ludzi, którzy mają zamiar coś zrobić, ale jeszcze nic nie zrobili, lub takich, którzy tylko we własnym mniemaniu zasługują na miano naukowców. Kim więc będą polscy naukowcy w Stanach? Ilu z nich wciąż jeszcze uczy, a ilu to emeryci, cienie dawnej świetności, których najlepiej byłoby umieścić w szklanej gablotce. Można by tam było ich czcić, ale nie musiałoby się udzielać im głosu.

Tyle wątpliwości. Czy warto jechać? W międzyczasie jesteśmy na miejscu. Taksówka, hotel, pokój. Spis „naszych”. Wiele nazwisk nieznanych. W hotelowym *longe'u* ukłony. Wszyscy wyruszają na zebranie inauguracyjne w jednym z gmachów Uniwersytetu Columbia.

Na miejscu taki ścisk, że wprost trudno uwierzyć. Naukowcy wyroili się jak z ula. Wiek przeróżny, choć przeważają roczniki starsze, ale obok siwych włosów i łysin tu i ówdzie widać bujne czupryny. Nastroj ożywienia. Znajomi odzukują się w tłoku. Wymieniają na prędce najświeższe wiadomości — gdzie kto jest i co robi.

W międzyczasie grono pań rozdaje wizytówki, bilety na bankiet — biletów zresztą już zabrakło, ale dla niektórych wciąż jeszcze są. W polskim gronie zawsze tak. Wywieszka „nie ma” nic jeszcze nie oznacza. Po starej znajomości na ogół jest.

Na sali obrad żadnych wolnych miejsc. Pierwsze przemówienia psuje trochę mikrofon. Słowom „obchodzimy uroczyste mil-

lenium" towarzyszy przeciągły gwizd, potem jakieś trzaski i huki. Właściwie słów nie słysząc. Ktoś mówi coś długo i z widocznym patosem o millenium, o nauce i o Matce Boskiej. Mikrofon warczy. Znajomi wciąż jeszcze odszukują się oczyma. Wszyscy studiują programy: co będzie po południu. W tym samym czasie obradują sesje poświęcone poszczególnym przedmiotom. Spis referatów jest dokładny z uwzględnieniem czasu, a więc słuchacze zainteresowani referatami odnoszącymi się do różnych dziedzin będą mogli w trakcie sesji przenosić się z pokoju do pokoju.

Niektórzy z członków konferencji chcieliby przedstawić jakieś własne projekty na przyszłość, dążąc do usprawnienia pracy naukowej i nawiązania ściślejszych kontaktów pomiędzy naukowcami z tych samych dziedzin. Niestety na wolne wnioski nie przewidziano czasu. A szkoda. Zjazd jest wyjątkowym momentem, w którym tylu naukowców zebrano się pod jednym dachem.

Wymiana myśli na temat współpracy naukowej mogłaby dać może więcej, niż słuchanie (nie zawsze dobrych) referatów.

W międzyczasie część formalna dobiega końca. Chór złożony z Murzynów i białych śpiewa teraz „Gaude Mater Polonia!”. Słowa tego hymnu brzmią trochę dziwnie na tej sali, wśród tych ludzi, którzy nie wszyscy mówią po polsku i nie wszyscy uważają się za Polaków. Przed chwilą długie przemówienie wygłoszono po angielsku, a teraz po łacinie „Gaude, Mater Polonia!”

Gdzie jest Mater Polonia?

Czy ten głos aż tam dotrze?

Jak na wszystkich konferencjach referaty są złem koniecznym. Trzeba je odsiedzieć, po to koniec końców tu się przyjechało, ale co się z tego wszystkiego wyniesie? W sekcji polonistycznej uderza dorywczość tematów i brak orientacji na teraz. Najbliżej wybiega w teraźniejszość referat na temat Dąbrowskiej i referat na temat Kadena. Poza tym Mickiewicz, Prus — XIX-ty wiek. Opracowania są na ogół ułamkowe, przeważają tematy bardzo wąskie, specjalistyczne, określane czasami: jako naukowe „przyczynkarstwo”. Brak w ogóle syntez, śmielszych zestawień, prób oceny wartościującej. Brak tematów obejmujących literaturę dzisiejszą, czy to w kraju, czy na emigracji. Czy profesorowie tak mocno ugrzęźli w przeszłości, że trudno im podnieść głowę w przyszłość?

Publiczność słucha zresztą grzecznie i cierpliwie. Jest kilka pań z typu takich, które zawsze uczęszczają na odczyty o „kulturze”, jest kilka młodziutkich studentek, a może uczennic. Poza tym mnóstwo *savoir vivre*, komplement za komplementem i wszyscy są podniesieni na duchu.

Sesja polityczna przebiega bardziej burzliwie. Zebrali się tu przede wszystkim mężczyźni. Dobór dość przypadkowy. W wolnej dyskusji uderza nierówny poziom mówców. Obok akademików są działacze społeczni, ci mówią z mniejszym sensem, ale z ogniem. Specjalista od psychopatologii prosi o optymizm „Przetrwaliśmy jedno millenium, przetrwamy i następne”. Ten wnio-

sek zostaje przyjęty z entuzjazmem. Nikt w tym momencie nie pyta, jak przetrwaliśmy i kto przetrwał. Schemacik historii Polski Sławomira Mrożka, gdzie na jednych obrazkach są domki, a na drugich — zgłiszcza, nie spotkałby się w tej chwili z uznaniem. Bądźmy optymistyczni! Gaude Mater Polonia!

Wieczorem na bankiecie, w Sali Instytutu Naukowego, uderza nastrój ożywienia. Specjaliści od nauk ścisłych są na ogół zadowoleni z przebiegu obrad. Już się potworzyły małe grupki i podgrupki. Poza dawnymi znajomymi są i znajomi nowi, tacy, którzy się nie znali, czasem słyszeli o sobie wzajemnie, czasem — nie, w każdym razie są dla siebie odkryciem.

Po bankiecie ci i tamci urywają się w Nowy Jork, który nęci nocnym życiem. Mnóstwo osób przybyło tu z prowincji. Podnieca ich atmosfera dużego miasta, cieszy obecność tylu Polaków.

Sama rozmowa po polsku jest przyjemnością, dla tych, którzy w swoich ośrodkach są odosobnieni.

Następnego dnia po obradach jest bankiet-kolacja z częścią koncertową. Imponująca naprawdę ilość miejsc, elegancka zastawa, biało-czerwone nakrycia.

Przemawiają przedstawiciele tutejszej Polonii, ludzie niejednokrotnie z trzeciego pokolenia, którzy wciąż zachowali dla Polski sentyment.

Przy dźwiękach koncertu (Szymanowski) snują dalsze refleksje: chyba jednak Zjazd się udał. Wykładnikiem powodzenia jest dobry nastrój obecnych, ożywione rozmowy, uśmiechy. Trudno o bezstronną ocenę tam, gdzie się patrzy z bliska. Zawsze widzi się tylko mały wycinek z własnej wąskiej perspektywy. I nie wiadomo, w jakiej mierze wrażenia poszczególnych osób pokrywają się wzajemnie. W jakiej mierze można je uznać za typowe.

Opuszczamy Nowy Jork z pliką nowych adresów, poleceń i obietnic. Ilu z tych ludzi spotkamy jeszcze raz? Czy mamy sobie powiedzieć do następnego zjazdu, czy do następnego milenium?

Zjazd Naukowców się skończył. Lepsze przemówienia ukażą się drukiem. W tym sensie zostanie po nim jakiś ślad poza zmiętymi obrusami. Gaude Mater Polonia!

Danuta Irena BIEŃKOWSKA

II

ZJAZD NOWOJORSKI

W dniach 25-27 listopada 1966, w ramach obchodów millenijnych, odbył się w Nowym Jorku zjazd polskich i polskiego pochodzenia naukowców, mieszkających stale w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie. Myśl zjazdu rzucił śp. Jan Wszelaki. Przy-

gotowaniem jego zajął się Polski Instytut Naukowy w Ameryce, tj. w praktyce: inż. Damian Wandycz, dyrektor Instytutu, przy wybitnej pomocy małżonki, przewodniczącej specjalnego komitetu pań oraz prof. Wiencysława Wagnera. Przewodniczącym zjazdu był prof. Stanisław Mrozowski, a zespół bezimiennych pracowników, którym każdy zjazd zawdzięcza więcej niż to się na ogół sądzi, był ogromny.

Zjazd odbył się w pomieszczeniach uniwersytetu Columbia, którego prezydent, Dr Grayson Kirk, powitał nas w serdecznych słowach. Następnie przemawiali profesorowie Oskar Halecki, Stanisław Ulam i Teodor Abel. Zakończyła zjazd prelekcja prof. Wacława Lednickiego¹. Posiedzenia naukowe nie były jedynym punktem programu. Należy wymienić jeszcze koncert muzyki polskiej w wykonaniu: Artur Balsam — pianino, Roman Totenberg — skrzypce i Leszek Zawistowski — wiolonczela, oraz wystawę polskich pamiątek historycznych, przygotowaną z własnych zbiorów przez Aleksandra Jantę. Pieśń „Gaude Mater Polonia” odśpiewał w czasie uroczystości otwarcia chór akademicki uniwersytetu kolumbijskiego.

Rozesłano ponad 1100 zaproszeń: 850 do Stanów, 200 do Kanady, 50 osób zgłosiło się bezpośrednio. Liczba ta nie obejmuje wszystkich, gdyż oblicza się, iż w Ameryce Północnej jest przeszło 1500 naukowców Polaków lub polskiego pochodzenia. O zainteresowaniu Zjazdem świadczy fakt, iż nadesłano referaty z Niemiec i Portorico. Niestety, w ostatniej chwili, strajk kanadyjskich linii lotniczych przeszkodził wielu zaproszonym w dotarciu na zjazd. Praktycznie nie było nikogo z Kanady zachodniej czy wschodniej, zdążyli jedynie mieszkający w dwóch centralnych prowincjach tj. w Ontario i Quebec. Zarejestrowało się przeszło 450 uczestników, około 100 osób przychodziło na interesujące je referaty bez formalnego zgłoszenia; karty wstępu na obiad wykupiło 334 osób, razem przewinęło się więc plus minus 550-600 osób.

Uwagi niniejsze są subiektywnym wrażeniem jednego z uczestników sekcji historycznej, przygotowanej przez znanego historyka, Piotra Wandycza. Była to najbardziej uczęszczana sekcja, jedyna, która zebrała się aż cztery razy. Referaty wygłosili na niej historycy amerykańscy, angielscy, czescy, żydowscy i polscy. Poruszono tematy od wieku XIII — dwie prelekcje, aż do drugiej wojny światowej — także dwie prelekcje. Zwracała uwagę dość duża liczba historyków amerykańskich, specjalizujących się w sprawach polskich. Byli oni przeważnie pochodzenia polskiego, a zainteresowania wyniesione z domu oraz znajomość języka polskiego okazały się kapitałem, który ułatwia karierę uniwersytecką. Polonia amerykańska to już dziś nie tylko robotnicy fizyczni. Nasze pokolenie zdobywa katedry uniwersyteckie, a władanie jednym językiem więcej bardzo ułatwia badania naukowe i udostępnia wiedzę jednego z liczniejszych narodów europejskich. Tematem badań tych uczonych są sprawy polskie lub sto-

1. Treść prelekcji znajduje się w specjalnie wydanej księdze Zjazdu.

sunki polsko-amerykańskie ale z amerykańskiego punktu widzenia. Końcowe wyniki i konkluzje są więc tym ciekawsze. Powstanie takiego zespołu jest niemałą zasługą prof. Ludwika Krzyżanowskiego i prowadzonej przez niego „Polish Review”. Poziom wygłaszanych odczytów był często miłym zaskoczeniem. Kto wiedział np., iż mamy w naszym gronie tak doskonałego specjalistę polskiego XIII wieku, jak prof. Daniel Buczek, lub że pojawił się specjalista polskiej polityki wewnętrznej okresu 1918-39 w osobie prof. Józefa Rothschilda? Autora — dodajmy — dopiero co ogłoszonej większej pracy o roku 1926. Nazwiska nieznane nawet Polskiemu Towarzystwu Naukowemu na Obczyźnie. Najbardziej wrzuszającym momentem była wypowiedź prof. Izaaka Lewina, wykładowcy na nowojorskim uniwersytecie Yeshiva. Mówił na temat Statutu Kaliskiego z roku 1264, który stworzył prawne podstawy życia zbiorowego ludności żydowskiej na ziemiach polskich. Autor omawiał zagadnienie po angielsku, gdyż to był język oficjalny zjazdu, na tle podobnych przywilejów, nadawanych Żydom w Niemczech, Wenecji, w Czechach, na Węgrzech. Podkreślił zasadnicze różnice Statutu Kaliskiego w stosunku do innych mu podobnych; był on bardziej liberalny, zapewniał przybyłym lepszą opiekę księcia. Po prelekcji poprosił o prawo mówienia po polsku. Statut Kaliski dał ludności żydowskiej na ziemi polskiej wolność, jaką nie cieszyli się w żadnym państwie. Mieli swój własny sejm, własne instytucje naukowe, mogli swobodnie rozwijać swe badania teologiczne, organizować własne żydowskie życie. Przez 700 lat żyli w zgodzie z ludnością polską, dając swój wkład w polskie życie państwowe. W czasie buntu Chmielnickiego zginęło 1/3 ludności żydowskiej, ale dopiero „sęp niemiecki” zakończył szczęśliwe życie na polskiej ziemi. Niech będzie mu wolno w imieniu społeczeństwa żydowskiego podziękować Polakom za doznaną wolność. Sala przyjęła wypowiedź oklaskami na stojąco. Przewodniczący zebrania, prof. Tadeusz Romer wezwał wszystkich do powstania, by w ten sposób uczcić pamięć wszystkich ofiar drugiej wojny światowej.

Zjazd nowojorski nie był zjazdem Polaków. Był zjazdem polskiej kultury, był świętem tych wszystkich, którzy czują się z nią w jakiś sposób związani: pochodzeniem, badaniami, sympatią, tradycją doznanej wolności. Jedynym życzeniem obecnych było to, aby nie czekać drugiego tysiąclecia na zwołanie następnego spotkania.

Stanisław BÓBR-TYLINGO

III

NOWOJORSKIE MILLENIUM

Moje wrażenia z niedawnego nowojorskiego Millenium są nadal tak żywe, że napisanie choćby mniej więcej obiektywnego

sprawozdania wydaje się niemożliwością. Ale może warto zarejestrować właśnie te pierwsze wrażenia, jeszcze nieprzemysłane ale już jakoś dzielone, z tymi, którzy o Millenium wiedzieli ale nie brali w nim udziału.

List z Polski z 28 listopada: ... „Całe trzy dni słuchaliśmy przez radio przemówień z obchodu Millenium *stamtąd*... na ciebie nie trafiliśmy niestety... zresztą było niewyraźnie, bo z taśmy, i tylko komentarze były wyraźne, bo bez taśmy...” A więc pewno audycja *Free Europe* a może *Voice of America*. Ciekawe jak oni to skomentowali i które referaty nadawano? Bo mój referat na przykład był o pojęciu „czyśca” wśród meksykańskich Indian szczepu Mazahua. Nic w nim nie było o Polsce prócz krótkiego porównania zaduszkowych wierzeń polskich chłopów z tymi indiańskimi wierzeniami. Może więc lepiej, że go nie nadali... W ogóle na sekcji socjologicznej nie było ani jednego referatu na tematy polskie, a przecież był to obchód Tysiąclecia Polski... No i wszystkie referaty, wszystkie dyskusje były po angielsku...

Jak tę anglijszczyznę, ten brak tematów polskich na takiej na przykład sekcji socjologicznej uzasadnić, pisać do Polski? Jak się z tego usprawiedliwić? Jak wytłumaczyć to ciekawe zjawisko?

„Oczywiście, że powinno było być po angielsku” — mówię sobie. „I bez tematyki słoń i sprawa polska!” Ale dlaczego, dlaczego? Czy jedynie ze względów propagandowych? Taka odpowiedź byłaby najłatwiejsza, ale czy prawdziwa?

Na dwa tygodnie przed obchodem Millenium dostałam z nowojorskiego „Polskiego Instytutu Naukowego w Ameryce”, który tę imprezę organizował, dwa papierki: program obchodu i spis sekcji i referatów na poszczególnych sekcjach. Gdy pokazałam program kolegom Amerykanom z mego uniwersytetu, zwrócili uwagę przede wszystkim na to, że w ciągu trzech dni są aż dwie *coctail parties*, obiad i koncert.

— „Wyobrażam sobie jak się będziesz świetnie bawić” — powiedział jeden z moich kolegów, a drugi dodał: „Nikt się nie potrafi tak bawić jak Polacy! Te polskie wesela trwające po trzy dni... te bigosy i babki...” Reakcje moich kolegów oparte były niewątpliwie na tym co słyszeli o „staro-polonijnych” mieszkańcach Ameryki. Zanim pokazałam im spis referatów myśleli o Millenium nowojorskim jako o jednej jeszcze imprezie jednej z wielu amerykańskich grup etnicznych...

Gdy jednak zobaczyli spis referatów i prelegentów zauważyłam ich niewygodne zdziwienie: — „Kto są ci wszyscy profesorowie?” — zapytał jeden z moich kolegów. „Naprawdę Polacy z Polski? O ile to rzeczywiście Polacy to można by przecież wami całkowicie obsadzić niejedną z większych uniwersytetów amerykańskich...”

Słuchałam... Amerykanie w ogóle, a specjalnie ci z tak zwanego „Wschodu”, a jeszcze bardziej tak potwornie dobrze wychowani jak mój kolega Bostończyk, są tak powściągliwi, że trzeba rzeczywiście większej miary zdziwienia aby złapać ich na takich

wykrzykownikach. — „To zdumiewające” — mówił dalej kolega Bostończyk — „nigdy nie słyszałem o żadnej innej grupie narodowościowej, która by się umiała w ten sposób przedstawić w danym kraju... w języku tego kraju... pokazać swój wkład do kultury amerykańskiej, a może raczej światowej...”

Grupa etniczna? Narodowość? Państwo? Grupa kosmopolityczna? Kim jesteśmy? Kim byliśmy na nowojorskim obchodzie Millenium Polski? Kim dla Amerykanów? Nie wiem czy w ogóle można odpowiedzieć na to pytanie, bo zapewne byliśmy „czym innym” dla każdej z wielu klasowo, etnicznie, zawodowo odrębnych grup Amerykanów. Kim byliśmy dla samych siebie? I na to pytanie równie trudno odpowiedzieć.

Okładka skromnego programu Millenium dwujęzyczna, ale gdy się przeczyta dokładnie to, co na angielskiej stronie okładki, mogłoby się wydawać, że to inne grupy społeczne, ludzie o innej identyfikacji grupowej zapraszają na Millenijny Kongres. Na angielskiej okładce czytamy:

In observance of
POLAND'S MILLENNIUM
the
FIRST CONGRESS
of SCHOLARS AND SCIENTISTS
sponsored by
THE POLISH INSTITUTE OF ARTS
AND SCIENCES IN AMERICA
and the
INSTITUTE ON EAST CENTRAL EUROPE
of
COLUMBIA UNIVERSITY
will be held
on November 25, 26 and 27, 1966
Columbia University
New York, N.Y.

Kim są ci *scholars* i *scientists* — zastanawiali się pewno niewtajemniczeni Amerykanie. Amerykańscy naukowcy interesujący się Polską, czy polscy uchodźcy polityczni zamieszkali w Ameryce, czy Amerykanie pochodzenia polskiego, czy Polacy z Polski, czy jedni, drudzy, trzeci i czwarcy?

Na polskiej okładce czytamy:

W ramach obchodu
MILLENNIUM
POLSKI INSTYTUT NAUKOWY
pod protektorem
UNIWERSYTETU COLUMBIA
zwołuje
PIERWSZY ZJAZD NAUKOWCÓW
polskiego pochodzenia w Ameryce

„Naukowców polskiego pochodzenia”? I znowu: kto, jak, i dlaczego tak a nie inaczej zinterpretuje ten termin? I jeszcze jedna refleksja: cokolwiek my — pozytywiści — powiedzieliśmy, i nadal mówimy, o konieczności precyzyjnego definiowania pojęć co stałoby się ze społeczeństwami i jak cierpieliby ludzie żyjący w tych społeczeństwach bez opiekuńczej wieloznaczności terminów, bez tej tajemniczości języka, która, jak pisze George Simmel, „pozwala naszym myślom i uczuciom dojrzewać w samotności”... I naszym identyfikacjom społecznym...

Nic ludzkiego nie jest łatwe. Wieloznaczność jest terrorem ale jest i opieką.

Kimkolwiek był każdy z nas, biorących udział w Millenium, dla samego siebie i dla innych, jak bardzo różnoraki: bolesny, triumfalny, regresyjny czy innowacyjny, był mętlik naszych społecznych identyfikacji, wyczuwało się między nami jakąś silną więź. Nie byliśmy na pewno agregatem. Byliśmy jakąś grupą społeczną i byłoby fascynujące i ważne zrozumieć czym była ta nasza więź społeczna...

A przecież nie było ani polskich potraw, ani polskich tańców ani żadnych innych objawów patriotyzmu etnicznego. Nie było ani orłów polskich ani hymnu narodowego, a hurra-patriotycznokatolickie przemówienie profesora Haleckiego na otwarciu Kongresu wydało się wielu z nas, tym z młodszej od niego generacji, czymś trochę nieprzyzwoitym. Nie byliśmy więc chyba jako całość romantyczną grupą „wygnańców” politycznych, kultywującą ze wzmoczoną siłą tradycyjne symbole narodowe.

Mój kolega Bostonczyk, przeglądając spis referatów, powiedział coś o naszym kosmopolityźmie, ale wątpię czy rzeczywiście byliśmy grupą kosmopolityczną w głębszym tego słowa znaczeniu. Nasza więź społeczna miała jednak coś specyficznie polskiego... Ale co? I w jaki sposób to „coś” wyrażane było podczas Kongresu?

Gdy o tym myślę przyplątują mi się dwa bardzo jeszcze prowizoryczne sformułowania: „Nowy styl patriotyzmu” i „ciągłość intensywności stosunków między-ludzkich”. Zjawisko innowacji i zjawisko persystencji kulturalnej, wyrażane poprzez referaty i w kularach, oficjalnie i nieoficjalnie.

Ten nowy styl patriotyzmu niełatwy jest do zdefiniowania. Powinno się go może nazwać „patriotyzmem kontekstualnym”, polega on bowiem na jakimś umieszczaniu tego co polskie w kontekście spraw ogólniejszych. Mimo to, że wiele referatów nic ze sprawami polskimi nie miało wspólnego, jednakże prelegenci przedstawiając swoje niepolskie tematy, zwykle jednak nawiązywali jakoś do swojej znajomości Polski: to co niepolskie porównywane było w tych referatach z tym co polskie, a to co polskie przedstawiane w perspektywie ogólnoludzkich wydarzeń. Ten nowy styl patriotyzmu uprawiany był chyba przez większość kongresowców, a w każdym razie przez większość tych, którzy nie uprawiali stylu „dawnego”, polegającego na wyodrębnianiu tego co „typowo polskie” bez prób uniwersalistycznych przetłu-

maczeń. Ta „kontekstualność” nowego patriotyzmu, to uniwersalizowanie, robiły właśnie na Amerykanach wrażenie kosmopolityczne.

Mimo to wydaje mi się, że nasza kongresowa więź społeczna była niekosmopolitycznej natury, że dawny i nowy styl patriotyzmu miały ze sobą wspólną tematykę, którą może by należało nazwać „tematyką przypadkowej wierności i wiedzy”. Wierności przypadkowym niewątpliwie (bo nikt z nas nie wybiera swego miejsca urodzenia) wątkom wspólnej polskiej przeszłości. I wiedzy o Polsce, zwykle głębszej niż wiedza nie-Polaków. Taka właśnie uczuciowo-intelektualna postawa, takie zaafirmowanie przypadkowości własnego pochodzenia, ma zwykle co najmniej dwie konsekwencje: poczucie, że się ma obowiązek kultywowania tej lepszej od innych wiedzy o własnym kraju i świadomość obowiązku wpływania na losy tego kraju. Te dwa postulaty formułowane są przez jednych religijno-metafizycznie, przez innych socjologicznie i różnorodne, naturalnie wyciąga się z nich wnioski. Takich zróżnicowanych: grupowych czy indywidualnych postaw społecznych, można było zaobserwować wiele wśród Polaków biorących udział w Kongresie. „Nowy styl patriotyzmu” nadawał jednak ton. Postawy innowacyjne górowały nad persystencyjnymi. Prawdziwych, konsekwentnych kosmopolitów na Kongresie chyba nie było, a jeśli byli to jedynie w roli obserwatorów.

„Ciągłość intensywności w stosunkach międzyludzkich” cecha typowo polska (ale nie tylko polska bo i hiszpańska na przykład i meksykańska...) zwróciła chyba uwagę tych wszystkich, którzy brali udział w wielu kongresach amerykańskich. Styl naszych dyskusji bardzo się różni od stylu amerykańskiego: jest mniej grzeczny, ostrzejszy, bardziej osobisty. Nie ma w nim rzeczowej obojętności, ucieczki od starć intelektualnych, tak charakterystycznej dla naukowego stylu Stanów Zjednoczonych z drugiej połowy dwudziestego wieku. Szacunek dla przeciwnika, ostra walka, serdeczność, otwartość i personalizizm (zwracanie większej uwagi na styl naukowy danego prelegenta, na całość jego pracy raczej niż na poszczególne idee przedstawione w danym referacie) — tak objawiała się ta nasza intensywność w oficjalnych ramach Kongresu. No a w kuluarach i poza kuluarami, gdzie nie mówiło się już naturalnie po angielsku, atmosfera była tak bardzo polska, że amerykańscy uczestnicy Kongresu czuli się — zauważyłam — trochę nieswojo. W Stanach Zjednoczonych, a specjalnie tu, na tak zwanym „Wschodzie” (bo Południe jest np. bardzo inne) ludzie albo po prostu nie bardzo się sobą nawzajem interesują, albo interesują się jedynie tym, co mają sobie nawzajem do powiedzenia, albo, jeśli są sobą zainteresowani, ukrywają to zainteresowanie jak mogą. Jedynie w dziedzinie erotycznej a raczej „heteroseksualnej”, jak to Amerykanie zwykle podkreślają nawet w potocznych rozmowach, aby nikt nie miał przypadkowo wątpliwości co do powściągliwej wąskości i „moralności” tego terminu — tylko w tej dziedzinie ich trudna kultura pozwala na odrobinę spontaniczności. Witający, żegnający,

całujący się, dyskutujący Polacy są naprawdę przerażający dla Amerykanów! Zaalarmowani są tą naszą ekspresywnością i intensywnością. Często biorą nas za histeryczki, awanturników, homoseksualistów; często przysłuchując się naszym rozmowom pytają: „Co się stało?” — Wielowymiarowość zafascynowania człowieka człowiekiem jest im nieznana. Ta wielowymiarowość zafascynowania przetrwała nawet u wielu Polaków, którzy wyjechali z Polski kilkadziesiąt lat temu. I nadal widoczna jest w wielu książkach publikowanych w Polsce. „Zły” Tyrmanda jest na przykład w znacznie większym stopniu książką o tej intensywności stosunków międzyludzkich niż o chuliganach warszawskich. Kto wie, może właśnie takie wielostronne i wielorakie uczuciowe zaangażowania: te najróżniejsze odcienie serdeczności, wrogości ciekawości, przyjaźni, miłości, zaufania, pogardy, szacunku, zwątpienia — może one właśnie definiują od wieków „sens” naszego życia?

Alicja IWAŃSKA

Albany, N.Y., 13 grudnia, 1966 r.

Plastyka w Paryżu

BLASKI I CIENIE PARYSKICH WYSTAW

18 listopada 1966 odbyła się w Grand Palais uroczysta inauguracja największej z cyklu 11 wystaw, poświęconych twórczości Pabla Picassa. Minister kultury — André Malraux — pięknie przemawiał na otwarciu, a potem zachwycił się „oficjalnie” i „historycznie” każdym obrazem po kolei. Była to wyraźna demonstracja pozytywnego stosunku Francji do twórczości jednego z najbardziej upartych buntowników w dziedzinie sztuki, burzyciela utartych tradycją konwencji sztuki klasycznej. Należy podkreślić fakt, że wielki krytyk sztuki i pisarz występował w tym wypadku w charakterze oficjalnym, gdyż swój szczerzy zachwyt nad genialnością mistrza katalońskiego wyraził Malraux dwadzieścia lat wcześniej w swoich pięknych książkach. Była to jednak kropka nad „i”, ostatni sos, którym polano starannie przygotowaną potrawę, składającą się przede wszystkim z wielkiej kampanii prasowej. W tygodniu poprzedzającym inaugurację tego naprawdę niezwykłego zespołu wystaw, wszystkie tygodniki wydały specjalne numery, poświęcone temu doniosłemu wydarzeniu kultu-

ralnemu. Nawet moja sprzedawczyni gazet zauważyła że „czegoś takiego jeszcze nie było”, i że to chyba „sugestia z góry”. Czyżby tak naprawdę było? W takim wypadku z jakiego powodu?

Gdyby uważnie zastanowić się nad kilkoma dużymi wystawami paryskimi ostatniego półrocza, to od razu da się zauważyć pewna tendencja, która na pewno nie jest nieświadomym dziełem organizatorów. Pozostawmy na boku wystawy o charakterze ściśle naukowym, jak na przykład wspaniały cykl poświęcony szesnastowiecznemu malarstwu europejskiemu¹, spójrzmy raczej na wystawy przeznaczone nie tylko dla znawców, lecz raczej dla tak zwanej „szerokiej publiczności, czyli na „Dans la lumière de Vermeer” i na zespół wystaw pod pięknym tytułem „Hommage à Pablo Picasso”. Przed rozpatrzeniem problematyki wystawy vermeerowskiej należy przypomnieć, że większość płócien przyjechała do Paryża z Amsterdamu po majowej wystawie vermeerowskiej, niemniej zestaw ten został we Francji skompletowany odmiennie: składał się on z kilkunastu arcydzieł mistrza z Delft, którym towarzyszyły dzieła malarzy nawiązujących do tradycji vermeerowskiego „światła”; tego nieuchwytnego ciepła, promieniującego z jego spokojnych wnętrz i pejzaży, koloru prawie że metafizycznego, którego tak uparcie poszukiwali na przestrzeni całego XIX wieku europejscy malarze najprzeróżniejszych tendencji stylistycznych. Wystawa ta, ułożona według modnej dzisiaj koncepcji „psychologie de l'art” René Huyghe'a, wychodząc poza historyczne ramy jednej szkoły, lub nawet określonej epoki, nadawała się bardzo łatwo do elastycznych interpretacji ciekawej w swoim założeniu idei literackiej, opartej na elemencie natury czysto estetycznej. Temu ciekawemu zespołowi obrazów poświęcono sporo entuzjastycznych artykułów w prasie codziennej, specjalnie ze względu na dzieła Vermeera, część których po raz pierwszy zawitała do francuskiej stolicy, ale „na boku” dały się słyszeć głosy krytyczne, i nie tylko specjaliści spostrzegli, że wspaniała literacka koncepcja została w pewnym stopniu „naciągnięta” i to w widocznym kierunku francuskim. Zamiast pójść drogą bardziej naukową i dobrać prawdziwych prekursorów i naśladowców Vermeer'a, co mogłoby być rewelacją dla szerokiej publiczności, poprzestano na jednym portrecie XV-wiecznym, który pozostał jakby małym okienkiem, otwartym na fascynujące „światło” wspaniałej tradycji tak zwanych „prymitywów” flamandzkich. Nie brakowało natomiast Cézanne'ów, Bonnard'ów i całej plejady francuskich malarzy XVII i XIX wieku, umieszczenie których, jest co najmniej dyskusyjne. Dodano też kilka płócien niemieckich i włoskich (w tej liczbie słynny widok Dreżna Bellotta), ale i w tej grupie selekcja była dość powierzchowna (czyżby w sposób nieświadomy?). Zapomniano natomiast o włoskiej szkole „macchiaioli” z końca XIX wieku. Wydaje się że organizatorom paryskiej wystawy nie

1. Le Seizième siècle — Peintures et Dessins (oct.-janvier 1966). Petit Palais, Louvre, Mobilier National.

chodziło bynajmniej o ściśle przeprowadzenie początkowej koncepcji, a raczej o położenie nacisku na malarstwo francuskie. W przeciwieństwie do statystyków, wyliczających setki tysięcy widzów odważyłbym się twierdzić że wystawa „Dans la lumière de Vermeer” nie była pomysłem dobrze zrealizowanym i mimo jej wielkiego sukcesu publicznego była imprezą poronioną. Pomijając niezaprzeczalne piękno arcydzieł Vermeera, koncepcja wystawy upadła, a nawet te precudne obrazy szkodziły sobie nawzajem, skąpane ostrym światłem sal „Orangerie”, które w zasadzie pomyślane są dla obrazów dziewiętnastowiecznych impresjonistów, a nie dla dzieł XVII wieku, których soczysta faktura traci w takim oświetleniu walor materii. Przestrzeń, której one potrzebują, jest również zupełnie odmienna od suchych, „pudełkowatych”, dziewiętnastowiecznych sal „Orangerie”. Obrazy XVII-wiecznej szkoły holenderskiej są jakby przedłużeniem zacisznych mieszkań kupców z Delftu i Antwerpii i z trudem znoszą zasady „klinicznej” muzeografii, nawet w tak łagodnym wydaniu salonowym jak to zrobiono w Musée de l'Orangerie. O ile lepsza i przyjemniejsza była wystawa, zorganizowana w 1965 roku przez Instytut holenderski w małych, przytulnych salonikach przy rue de Lille. Dla dużej ilości widzów była ona nieoczekiwanym odkryciem piękna siedemnastowiecznej sztuki holenderskiej. Obrazy Steen'a, Gabriela Metsu lub Emanuela de Witte błyszczały jak prawdziwe klejnoty, zyskując wyższą znacznie komunikatywność niż dzieła Vermeera „wystawione” w Orangerie. A prócz tego czy można wysłuchać jednym ciągiem dziewięciu symfonii Beethovena? Dzisiaj praktyka ta staje się niestety codziennym chlebem i nie należy się temu dziwić, gdyż żyjemy w epoce *chef-d'œuvre'u*. Reklama jest dźwignią handlu — to prozaiczne hasło odbija się i na sztuce, która stała się „produktem konsumpcyjnym”; tysiące ludzi „konsumuje” Vermeera, bo tak nakazuje im snobizm, lub po prostu opinia publiczna, której niewolnikiem stają się również miłośnicy sztuki. Ile jednak osób zatrzymuje się przed tą samą „Dantellière” w salach Louvre'u? Obrazek, komunikatywność, łatwość, reklama, *cliché* — stereotyp wizualny, stereotyp umysłowy (słowo „intelektualny” byłoby w tym wypadku niezasłużonym komplementem dla „konsumentów”, czyli dla odbiorców, nie czyniących żadnego wysiłku w obcowaniu ze sztuką, nie „współtworzących”, jak się tego spodziewa każdy artysta).

Jeszcze nie skończył się szal vermeerowski, gdy już podano publiczności lepszą potrawę — cykl wystaw „Hommage à Pablo Picasso”, reklamowany przez prasę jako „największy hołd jaki otrzymał kiedykolwiek żyjący artysta”. Znowuż uważne spojrzenie na prasę. To chyba już moja *déformation professionnelle* — bardzo lubię robić tak zwaną przez Włochów *Fortuna critica*, ten swojego rodzaju parazytyzm intelektualny (wiadomo Włosi to naród południowy i z tego powodu dość leniwy...) jest bardzo pouczający. Pierwszą serię „oficjalnych” artykułów i sprawozdań fachowych pozostawiamy na boku: genialność Picassa dla

nikogo nie ulega najmniejszej wątpliwości, aż dziw że taki „klastycysta” (można należeć do pewnego kręgu kulturowego na zasadzie afirmacji lub równie dobrze negacji) pobudza wciąż do dyskusji stylowych. Ilość dzieł, ich dobór i prezentacja, są prawdziwym zdarzeniem w historiografii sztuki Picassa. Jak zawsze w takich okazjach, krytycy zachwycali się niecodzienną możliwością oglądania całych serii obrazów z różnych muzeów świata, zestawionych w jednej sali wystawowej, jak słynna seria portretów z lat 1909-1910: Fernande’a z Düsseldorfu, Clovis Sagot’a z Hamburga, Wilhelma Uhde z londyńskiej Pernose Collection, Ambroise Vollard’a z moskiewskiego muzeum Puszkina i Kahenweilera z Art Institut of Chicago. Duże zainteresowanie wzbudziła wystawa rzeźb, ceramiki i rysunków w Petit Palais, których dobór jest na pewno zjawiskiem niepowtarzalnym. Mniejszą uwagę zwrócono natomiast na obrazy z prywatnej kolekcji mistrza, które zostały po raz pierwszy pokazane publiczności. Ujawniają one jeszcze jedno, niespodziewane dotychczas oblicze wielkiego artysty; jest to inny Picasso — bardziej intymny i jakby tworzący te dzieła dla siebie. Na pierwszy rzut oka wydają się one „łatwiejsze”, ale... Tak samo jak malowidła Goyi z jego domu „Casa del Sordo”. Oczywiście te płótna Picassa są w innym rejestrze, bardziej spokojnym i chciałoby się nawet powiedzieć „mieszczańskim”.

Niecały tydzień później ukazały się artykuły mniej entuzjastyczne, w których nie kwestionując wartości tego zespołu (a jeszcze mniej twórczości Picassa), autorzy kierowali dyskusję na inny tor: młoda krytyka postawiła pytanie: „A kto po Picassie”², a Pierre Restany odrzucił prawie-że zupełnie wpływ mistrza kubizmu na obecne pokolenie młodych plastyków, wskazując na Marcel’a Duchamps, jako na prekursora sztuki drugiej połowy XX wieku. Czyżby autorytet mistrza katalońskiego był tak silny, osobowość aż tak dominująca, że wywołuje on odwrotny efekt, reakcje *à rebours*? Święto picassowskie zostało zakłócone zupełnie niespodziewanie wystawą „Dada”, którą otwarto 30 listopada w Musée de l’Art Moderne — bez ministrów i blasku, a nawet nie wszyscy dziennikarze o tym wiedzieli. Byłoby czystą fantazją twierdzić, że wystawę dadaistyczną, zorganizowaną wspólnie przez Kunsthaus w Zürichu, Musée d’Art Moderne i paryskie stowarzyszenie studiów nad dadaizmem, przygotowano specjalnie aby zaszkodzić wspaniałej inicjatywie André Malraux, niemniej rezultat jest taki, że tworzy ona bardzo wymowny *pendant* do wielkiej retrospektywy „Hommage à Pablo Picasso”. Sumiennie dokumentowany katalog i przejrzyste zorganizowana ekspozycja bardzo ciekawych dzieł sztuki, często pochodzących z trudno dostępnych zbiorów prywatnych, pozwalają widzowi stworzyć sobie jasny obraz o historii tego prądu artystycznego. Wyodrębnienie różnych środowisk (Zürich, Hanover, Berlin, Bruxelles, Nowy Jork) pozwala na zasadzie negacji usytuować pozycje Paryża.

2. Artykuł Pierre Cobanne’a w „Arts” z 23 listopada 1966.

Widać doniosłą rolę dadaistów w walce o zerwanie z tradycyjnym systemem dzieła sztuki jako celu samego w sobie. Przechodzi ono do innego rejestru, stając się nosicielem pewnej idei, która z kolei wpływa na kształtowanie się formy. Naruszając jedność tych dwóch zasadniczych elementów, rozbijają dadaści wszelkie konwencje i w tym królestwie anarchii tworzą się nowe możliwości wyrazowe i stylowe. Dzieło sztuki, opuszczając Parnas wiecznego piękna, przechodzi do grupy zjawisk, staje się przede wszystkim „Istnieniem”, a dopiero potem „Pięknem”. Łatwo sobie można uświadomić, że już w latach 1916-20 Paryż wcale nie był pępkiem świata w zakresie nowości plastycznych. Razem z nowymi ideami zaznacza się także policentryzm epoki: nowe myśli rodziły się poza Francją — w Niemczech, w Nowym Jorku, w Szwajcarii, gdzie były dziełem emigrantów z Europy wschodniej i środkowej. Brak w tej panoramie jedynie wzmianki o nowatorskich poczynaniach artystów rosyjskich, którzy poprzedzili cały ten ruch (jeszcze w latach 1909-1911), jak to pokazała dobitnie czerwcową paryską wystawą rosyjskiego malarza Iwana Pougny. W tych latach w Moskwie, nie nazywano tego „dadaizmem”, ale był to swojego rodzaju predadaizm, poprzedzający całą późniejszą burzę europejską.

Chcąc sobie zdać jasno sprawę z francuskiej polityki wystawowej trzeba pamiętać że w ostatnich kilku latach tak zwana „Ecole de Paris” z lat 1940-1955 straciła w dużym stopniu dawny kredyt międzynarodowy. Ostatnie wystawy Bissière’a, Bazaine’a i Manessier’a pokazały że są oni *petits maîtres*, tyle że w dużym formacie. Międzynarodowa krytyka odnotowała tę „dewaluację”, specjalnie po niepowodzeniu Bissière’a na weneckim Biennale w roku 1964, które było jednym więcej przykładem tego niekorzystnego „starzenia” się „Ecole de Paris”. Z drugiej strony dwa lata temu paryskie galerie nowoczesne biły na alarm, denuncjując „antyfrancuską koalicję” Londynu i Nowego Jorku, które to ośrodki jakoby chciały celowo zniszczyć rynek paryski. Nie było lepszego sposobu by temu zaradzić jak przyłączyć do tak zwanej „Ecole de Paris” (ilu ich już było... i co to właściwie znaczy?) na siłę, wybitnego twórcę, który zresztą pominąwszy pierwszy okres kubistyczny, nigdy więcej do niej nie należał. Organizatorzy „międzynarodowych” wystaw w Ameryce Południowej i w prowincjalnych miastach Stanów Zjednoczonych znają bardzo dobrze te metody, ale jasne jest że przy państwowym mecenacie i w luksusowym paryskim wydaniu wypadło to bardziej imponująco. Urządzając „Hommage à Pablo Picasso” nie pominięto żadnej okazji do podniesienia rangi i znaczenia tej manifestacji artystycznej: zainaugurowano przy okazji „najnowocześniejszy na świecie system oświetlenia” w Grand Palais, zainaugurowano też (choć prowizorycznie) tak długo oczekiwane „Muzeum XX wieku”. Po wielkich projektach zbudowania nowoczesnego gmachu w pobliżu Palais de la Defense, z braku kredytów porzeczano na razie na starych salach Grand Palais, w których od lat odbywają się najprzeróżniejsze „salony”. Z nieprzekornego

buntownika chciano przerobić Picassa niemalże na oficjalnego malarza. Na szczęście nie dał się on wciągnąć w tę subtelną grę i nie przyjechał nawet na inaugurację swoich wystaw. Chciałoby się spytać wysokich władz ile oficjalnych zamówień dostał Picasso dotychczas?, czy polecono mu choćby raz dekorację jakiegoś dużego gmachu publicznego? A choćby skromniej — ile obrazów zakupiło od niego Państwo? Tak samo miała się sprawa i z Georges'em Braque, któremu urządzono wspaniały pogrzeb narodowy z cudownym przemówieniem André Malraux, ale za życia dostał on jedno jedyne zamówienie na dekorację sufitu małego salonu Louvre'u. Czy jest to polityka dobra czy zła? Czy należy dalej upierać się przy przestarzałych dziewiętnastowiecznych teoriach, według których dobrobyt „szkodzi inwencji twórczej”?

Poprzestając na stwierdzeniu że jest to jednak pewna polityka, korzystajmy tymczasem z wspaniałej okazji obejrzenia przepięknego zestawu 280 płócien Picassa w Grand Palais i kilkuset innych dzieł w sąsiednim Petit Palais, które z polityką nie mają nic wspólnego, a są czystą i jakże piękną sztuką.

POLSKA PLASTYKA W PARYŻU — ROK 1966

Czy można przeprowadzić bilans wystaw polskich artystów w Paryżu? Jeszcze na wstępie należałoby zadać sobie pytanie czy istnieją dzisiaj szkoły narodowe, czy można na pierwszy rzut oka orzec jakiej narodowości jest autor danego dzieła? Wydaje mi się że jest to sprawa wyjątkowo trudna do rozstrzygnięcia gdyż zwiedzając duże międzynarodowe wystawy, w rodzaju paryskiego lub weneckiego Biennale, nawet wyrobiony widz zmuszony jest co chwila zaglądać do katalogu. Nowinki stylistyczne przekraczają dzisiaj z nieuchwytną szybkością granice jednego środowiska artystycznego i międzynarodowe wystawy, których ilość nieustannie rośnie, są jakby „komiwojażerami” przepisów nowych technik i stylów. Wynalazki techniczne i stylowe, odrębne prądy estetyczne, są własnością pewnego środowiska lub twórcy zaledwie w początkowym stadium eksperymentu, w pierwszej chwili narodzin. Rok później stają się one własnością nieomalże całego świata. W tej sytuacji odrębność jest możliwa tylko dzięki izolacji (nawet przymusowej). Historia ostatniego dwudziestolecia nie szczędziła nam przykładów na tym terenie. W ten sposób ujawniła się polska szkoła abstrakcyjna na paryskim Biennale w roku 1959 (Lebenstein) i w ostatnim roku czeskie malarstwo i sowiecki rzeźbiarz Ernst Nieizwiasty¹. Po dużym sukcesie malarstwa polskiego w roku 1959 nastąpiła jakby regresja: nieudane zestawy dzieł na dużych międzynarodowych wystawach

1. „Kultura” — grudzień 1966.

z jednej strony i powolne jakby „wsiąknięcie” polskich artystów w atmosferę europejską z drugiej. Ten drugi fakt, niepokojący w pierwszej chwili, jest sytuacją raczej pozytywną i mogącą przynieść dobre rezultaty na dłuższą metę. Z grupy ciekawostki niemalże „folklorystycznej”, przechodzą polscy twórcy do normalnej kompetycji światowej. Pociuszający jest fakt, że na tej drodze odnoszą oni zupełnie zasłużone sukcesy, jak to pokazała ostatnia wystawa polskiej plastyki w Sztokholmie. Polskie malarstwo ma już trwałą pozycję na paryskim terenie wystawowym; oprócz częstych wystaw w najprzeróżniejszych galeriach miasta, istnieje kilka „ośrodków polskich” — galerie interesujące się poważnie kilkoma polskimi artystami. Należy do nich Galerie Lambert, która zdobywa sobie pozycję w czołówce awangardowych galerii nad Sekwaną. Oprócz starannego doboru dzieł nowoczesnych polskich twórców, często możemy zobaczyć w małej salce przy rue St-Louis-en-l'Île bardzo ciekawe wystawy artystów innych narodowości (wystawa grupy czeskiej i Nieizwiastnego). W ubiegłym roku wystawiano tam obrazy Paklikowskiej-Winnickiej, Artymowskiego, Stanisława Fijałkowskiego, Elżbiety Orel, rzeźby Wandy Ładniewskiej. Największe zainteresowanie wzbudziła wystawa Tadeusza Brzozowskiego. Ten czołowy malarz krajowy, mieszkający stale w Zakopanem, jest już znany paryskim miłośnikom malarstwa abstrakcyjnego, gdyż jeszcze w grudniu 1960 roku miał swoją wystawę w tejże samej Galerie Lambert. Jego twórczość jest jednym z najbardziej typowych przykładów tego, co zwykło się nazywać „polską szkołą ekspresjonizmu romantycznego” dramatyzm „rozdartej” przestrzeni, głęboka wewnętrzna i jakieś silne skoncentrowanie się nad własną oddechnością. Nie zgodziłbym się z opiniami zachodnio-europejskich krytyków, porównujących dramat Brzozowskiego do szkoły niemieckich ekspresjonistów z końca XV wieku — Konrada Witza, Ursa Grafa lub Manuela Deutcha². Są oni „na zewnątrz”, bardziej demonstracyjni i jakby demonstrujący linearnie swój ból, tymczasem Tadeusz Brzozowski skupia się w sobie, kierunek jego ekspresji jest odwrócony „do wnętrza”, które jest bez końca. W ostatnich, ciemnych płótnach tego artysty daje się zauważyć pewna ewolucja ku rejestrowi bardziej dramatycznemu.

Jan Lebenstein nie miał w zeszłym roku samodzielnej wystawy w Paryżu. Po wspaniałym pokazie fantastycznych stworów pod tytułem „Creatures abominables” w grudniu 1964, nastąpiła cisza, która nie jest jednak zupełnym milczeniem, gdyż wystawił on swoje dzieła w mediolańskiej galerii „Stendhal” w maju 1966. Możliwe że w kwietniu 1967 zobaczymy podobny zestaw gwaszy w Galerie Lacleche, gdzie Lebenstein stale wystawia. Wostan (Stanisław Wojciechowski) miał indywidualną wystawę w swojej galerii³ podczas wiosennego festiwalu dzielnicy St-Germain-des-Près. Dzieła tego ciekawego twórcy stale zdobią ściany

2. Edouard Jager — plakietka do wystawy.

3. Lara Vinci — 47, rue de Seine.

tej galerii. Po dużej retrospektywie w Musée de Grenoble⁴ trudno spodziewać się lepszej wystawy. Wostan idzie pewnie, własną drogą bez nagłych skoków ani nieprzewidzianych sukcesów, gdyż jego twórczość ich nie potrzebuje. Można śmiało twierdzić, że jest on w tej chwili jednym z „najsolidniejszych” i po prostu najlepszych twórców żyjących we Francji. Awangardowa galeria Zunini zaprezentowała w listopadzie 1966 paryskim miłośnikom surrealizmu „*l'érotisme pasteurisé*” Jerzego Kujawskiego (jak to świetnie określił krytyk Jean-Jacques Lévêque w swojej recenzji⁵). Ten 45-letni polski malarz, osiadły po wojnie we Francji (tak samo jak Wostan) jest od kilkunastu lat w „czołówce stylistycznej” epoki. Może jest to nawet trochę niepokojące... Kujawski jest przeciwieństwem Wostana, który skoncentrowany na własnej poezji, tworzy swój świat i ciągle pogłębia możliwości wyrazowe swojej sztuki, zafascynowany odkryciem swojej, „wewnętrznej”, prawdy. Jerzy Kujawski jest wyjątkowo wrażliwy na wszystko co się dzieje w obecnym świecie plastycznym — wrażliwy i reagujący za pomocą własnych środków niewyczerpanego materiału surrealistycznego. Należał on do grupy paryskich surrealistów od razu po wojnie, gdy jeszcze studiował w Ecole de Beaux-Arts. Po dramatycznych, „wybuchowych” obrazach abstrakcyjnych⁶, powraca on w ostatnich latach do onirycznej poezji repertuaru surrealistycznego. Obrazy wystawione w galerii Zunini (jednocześnie z podobną wystawą w Tama Galery — Londyn), robione są nowoczesną techniką (farby chemiczne, fotokalkowanie na przeźroczystych płótnach z tergalu (rhodoid), zastosowanie podwójnych płócien (z obu stron ramy obrazu) pozwala artyście uzyskać ciekawe efekty interferencji kolorów przy poruszaniu obrazów, których nie należy wieszać na ścianach. Ta nowa technika, która jest wynalazkiem Kujawskiego, pozwala nam zaliczyć go do zwolenników „op art’u”, mimo że autor podkreśla charakter eksperymentalny tych płócien. Duże powodzenie tej wystawy jest świadectwem, że eksperyment się udał. Może przyczyniła się do tego i tematyka obrazów — ich zimna poezja erotyczna, która trafia do współczesnej wrażliwości, nacechowanej alienacją emocjonalną.

Trudno byłoby wyliczyć wszystkie ciekawe polskie wystawy w Paryżu: Haliny Chrostowskiej, Tarsina (którego Paryż „odkrył” razem z Lebensteinem w 1959 roku), Dominika lub Fangora. Najważniejszy do zanotowania jest fakt, że plastycy polscy mają już pozycję w Paryżu, że walczą o swoje miejsce na równi z artystami innych narodowości i zdobywają uznanie koneserów i szerokiej publiczności bez pomocy elementów zewnętrznych, a tylko wartością własnego talentu i pracą.

Andrzej NAKOV

4. Lipiec-wrzesień 1965.

5. „Arts” nr 61 z 23 listopada 1966.

6. Wystawa w Darmstadt w 1961 roku.

Wystawa T. Beutlicha

W Londynie w Galerii Grabowskiego odbywa się wystawa drzeworytów i tkanin Tadeusza Beutlicha. Wspólnym źródłem tematycznym obydwu dziedzin twórczości są formy organiczne, rozrastające się odśrodkowo lub falistym rytmem warstw słojowych, które układają się w kształty roślinne, zwierzęce lub kompozycje krajobrazowe. Grafika Beutlicha polega na zestawieniach bloków drewnianych o różnych układach warstwicznych, które w wyniku dają wizerunki quasi-naturalistyczne, w rzeczywistości oparte na założeniach abstrakcyjnego ekspresjonizmu. Wykorzystywanie naturalnej faktury drzewa wiąże się z tradycją wymownych i dramatycznych drzeworytów Gauguina i Muncha, a także z twórczością Haeckla i Noldego, a świadome wykorzystywanie naturalnych linii rozrostu organicznego jest jak gdyby ujawnieniem pierwotnego dążenia do przybierania kształtu, które przejawia się w najbardziej prymitywnej formie organizacji żywej materii. Beutlich stosuje druk wielobarwny, złożony z podstawowej płyty z wyciętymi strefami bieli i kilku nadruków, częściowo pokrywających pierwotny kolor. Dobór barw jest arbitralny o gwałtownych kontrastach i mimo ciepłego kolorytu posępny i niespokojny. Tkaniny i kilimy Beutlicha wywodzą się z tych samych wzorów ale różne są w tonie i w nastroju, wykazując niezwykłą rozpiętość metod tkackich od gęsto tkanych gobelinów do przeźroczystych pajęczyn przeplatanych włosiem i konopiami. W gobelinach przeważają tematy pejzażowe o swoistym smętku północnego klimatu i granatowych wód Bałtyku, tak, że nawet ciepłe barwy płoną zimną pożogą skandynawskich zórz. W niektórych tkaninach widnieją wplecione w osnowę płaty opalonej dykty, zwoje powrozów i włosia wzbogacające barwny deseń niespodziankami faktury. Tadeusz Beutlich jest plastykiem o samodzielnym i osobistym stylu wypowiedzi której czysty ton tak w grafice jak i w tkactwie opiera się na bogatym doświadczeniu i wysokiej sprawności kilimicznej.

Stanisław FRENKIEL

Komunikaty

APEL POLSKIEJ RADY BIBLIOTECZNEJ

Zwracamy się do ogółu Rodaków na Obczyźnie w sprawie wielkiej wagi. Chodzi o przyszłość Biblioteki Polskiej w Londynie.

Biblioteka ta zgromadziła w ciągu minionego ćwierćwiecza niezmiernie cenny zbiór książek, czasopism, rękopisów i materiałów historycznych i dokumentacyjnych. Zawiązek jej zbiorów powstał w latach wojennych z ini-

cyjatywy i funduszków Rządu Polskiego w Londynie. Zasiłały go w późniejszych latach ofiary prywatne i instytucji społecznych. Biblioteka rosła i bogaciła się z każdym rokiem. Społeczność polska widziała w niej własny domek i własną skarbnicę kultury narodowej.

W latach 1945-1966 Biblioteka wypożyczyła z górą milion książek (przebieg 50.000 t. rocznie); do czytelników zamieszkujących wysłała w tymże okresie ponad 20.000 paczek indywidualnych; udzieliła tysięcy informacji Polakom i cudzoziemcom interesującym się sprawami polskimi.

Od r. 1953 Polish University College Association Ltd., a następnie Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny zapewniał Bibliotece pomieszczenie w domu przy 9, Princes Gardens, S.W.7. Dotacja Brytyjskiego Ministerstwa Oświaty pozwalała na utrzymanie obsługi bibliotecznej i systematyczne uzupełnianie zbiorów.

Przed kilkoma miesiącami Department of Education and Science zawiadomił polskie czynniki społeczne, iż zamierza wstrzymać dotację z końcem bieżącego roku budżetowego tj. 31. III. br. Jednocześnie zgłosił pretensje do najbardziej wartościowej części zbiorów, wysuwając projekt ich podziału między kilka instytucji brytyjskich. Nad całością zbiorów, tworzących organiczną jedność, zawisła groźba rozbicia.

Dzięki żywej reakcji opinii polskiej i poparciu naszych przyjaciół brytyjskich, niebezpieczeństwo to zostało oddalone. Nie mówi się już dzisiaj o rozbiorze Biblioteki. Zabezpieczenie jej przyszłości będzie jednak wymagało dużego wysiłku z naszej strony.

W grudniu ub.r. Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny zawiadomił Department of Education and Science, iż gotów jest przyjąć odpowiedzialność za prowadzenie Biblioteki, jeżeli Department zrzeknie się pretensji do własności zbiorów, stanowiących wspólne dobro polskiej społeczności niepodległościowej na Obczyźnie.

Mamy już zapewnienie Rządu J.K.M., że formalne uznanie prawa własności nastąpi z chwilą, gdy trwały byt Biblioteki zostanie zabezpieczony.

Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny daje Bibliotece pomieszczenie. Nie będzie jednak w stanie pokryć całości wydatków związanych z prowadzeniem Biblioteki, zachowaniem i pomnażaniem jej zbiorów.

W imieniu Polskiej Rady Bibliotecznej, powołanej w r.ub. przez Zjednoczenie Polskie w W. Brytanii, zwracamy się do ogółu społeczności polskiej w W. Brytanii i do wszystkich Polaków w wolnym świecie o przyjęcie z pomocą pieniężną Bibliotece Polskiej w Londynie.

Apelujemy o:

1. Ofiary na Fundusz Biblioteczny utworzony w tym celu pod nazwą POLISH LIBRARY FUND;

2. Stałe opodatkowanie się na ten cel w formie tzw. *covenant*ów lub zleceń bankowych (*banker's orders*);

3. Zapisy i legaty w gotówce, nieruchomościach lub przedmiotach wartościowych;

4. Dary w naturze (książki, rękopisy, czasopisma, mapy, ryciny i tp.

Utrzymanie Biblioteki Polskiej to sprawa naszego honoru i wspólnej odpowiedzialności. Zadanie to nie przerasta naszych możliwości. Znacznie od nas biedniejsza Emigracja polistopadowa zdołała stworzyć istniejącą do dziś Bibliotekę Polską w Paryżu. Winniśmy pozostawić po sobie równie trwałe świadectwo naszej pracy i dążeń. Wszyscy uczestniczyć powinni w zbiorowym i wdzięcznym wysiłku podejmowanym z myślą o najistotniejszych potrzebach obecnych i przyszłych pokoleń.

KOMITET WYKONAWCZY POLSKIEJ RADY BIBLIOTECZNEJ

	Stefan ZAMOYSKI — przewodniczący
Zygmunt Bienkowski	Stefan Soboniewski
Witold Czerwiński	Roman L. Wajda
Maria Danilewiczowa	Czesław Woyno
Józef Garliński	Józef Wysocki
Artur Rynkiewicz	Henryk Żurawiel

(Czeki, Postal Orders etc. należy wystawiać na POLISH LIBRARY FUND i przesyłać na adres:

Polish Social and Cultural Association,
Polish Library Fund,
9, Princes Gardens,
LONDON, S.W.7).



P R Z E D P Ł A T A

JADWIGA (JURKSZUS) i ADAM TOMASZEWSKY

ogłaszają przedpłatę na książkę

„TORONTO, TRONTO, TRANA”

(Felietony i reportaże na TEMATY KANADYJSKIE — aspekty historyczne, kulturalne, obyczajowe i tp.). Tekst około 200 stron z fotografiami.

Cena książki w przedpłacie \$ 3,00 lub równowartość. Wpłaty będą potwierdzone w prasie, a nazwiska przedpłacicieli zamieszczone w książce. Wpłaty prosimy przesyłać na adres:

Adam Tomaszewski,
5 Ridout St., Apt. A.,
Toronto 3, Ont., Canada.



PRZEDPŁATA NA

„TOWARZYSTWO WOLNEGO MULARSTWA W POLSCE”

Oficyna Poetów i Malarzy zawiadamia wszystkich, którzy zgłosili przedpłatę na

RYS HISTORYCZNO-CHRONOLOGICZNY
TOWARZYSTWA WOLNEGO MULARSTWA W POLSCE

według nieznanego dotąd historykom rękopisu *Walentego Wilkoszewskiego*, wielkiego archiwisty Wielkiego Wschodu Polskiego z lat 1818-1819, że wyniki subskrypcji pozwoliły na zrealizowanie tego wydawnictwa w bibliofilskim układzie graficznym i że prace drukarskie są w toku. Składanie tekstu jest już na ukończeniu. Sporządzenie jednak potem Indexu paru tysięcy nazwisk, który jest konieczny przy tego rodzaju wydawnictwie, wymagać będzie pewnego czasu.

Zakończenie wszystkich prac przewidziane jest na początek kwietnia rb. Kto chce zatem otrzymać tę książkę po obecnej cenie subskrypcyjnej może jeszcze zgłaszać przedpłatę do 31 marca rb.,

w Londynie: do Oficyny Poetów i Malarzy — Poets' and Painters' Press,
146, Bridge Arch. Sutton Walk, LONDON, S.E.1.

w Paryżu: do Księgarni Polskiej — Librairie Polonaise,
123, Bd Saint-Germain, PARIS, 6°.

ODSZKODOWANIA NIEMIECKIE KOMUNIKAT PRASOWY (PAIRC)

Urząd Wysokiego Komisarza Narodów Zjednoczonych w Genewie podaje do wiadomości podstawowe przepisy dodatkowego Funduszu Odszkodowawczego w wysokości 3 i pół miliona marek niemieckich, które Rząd NRF oddał do jego dyspozycji dla ofiar reżimu hitlerowskiego, prześladowanych ze względów *narodowych*, a obecnie znajdujących się na obczyźnie.

Z nowego Funduszu korzystać mogą:

- 1) prześladowani ze względów narodowych, którzy byli więzieni w obozach koncentracyjnych, więzieniach lub podobnych miejscach zatrzymania, co najmniej przez 3 miesiące;
- 2) żyjący najbliżsi krewni (małżonek, dzieci) narodowo prześladowanego, który zmarł na skutek prześladowania.
- 3) Przepis dla obu tych kategorii dotyczy jedynie uchodźców w zrozumieniu Konwencji Genewskiej, którzy:
 - a) albo uzyskali nowe obywatelstwo *przed* 1. X. 1953,
 - b) albo zostali uznani uchodźcami po 1. X. 1953, —
ale przed 31 grudnia 1965.
- 4) Podania zainteresowanych winny być kierowane (można w języku polskim) bezpośrednio do Urzędu Odszkodowawczego Wysokiego Komisarza, najdalej do 30 września 1967, pod adresem:

The Indemnification Section
U. N. H. C. R.
Palais des Nations
Geneva, Switzerland.

5) Podpadający pod te ogólne przepisy winni wnieść *nowe* podania, gdyż poprzednio wniesione i nie uwzględnione nie będą rozpatrywane. Odpowiednie formularze otrzymać można bezpośrednio z Genewy, w poszczególnych przedstawicielstwach Urzędu Wysokiego Komisarza we wszystkich krajach, lub też w biurach Agencji Charytatywnych.

O wszelkie dodatkowe informacje, lub formularze można prosić także w biurach Polsko-Amerykańskiego Komitetu Emigracyjnego i Pomocy (PAIRC) w Austrii, Belgii, Francji i Włoszech, Delegaturze PAIRC na Europę, w Niemczech (8 München 15, Bayerstrasse 13/III) oraz w Centrali PAIRC w Nowym Yorku, USA (156 Fifth Avenue, New York, N.Y. 10010).

O książce Kołakowskiego

O Leszku Kołakowskim nie słyszało się wiele od czasu publikacji w r. 1958 jego książki o Spinozie *Jednostka i nieskończoność*. Cenzura ograniczyła skutecznie publicystykę filozoficzną i polityczną Kołakowskiego, z której przede wszystkim w przeszłości zastrzygnął i która nadal zapewnia mu wzrastający rozgłos poza granicami kraju. Był głównie czynny jako autor filozoficznych opowiadań i literackich esejów, oraz badacz mistyki i herezji w czasach kontrreformacji. *Świadomość religijna i więź kościelna*¹ nawiązuje do tych badań nad myślą religijną. Jest to dzieło z zakresu historii i socjologii religii w Holandii i w innych krajach Europy zachodniej w XVII wieku.

Zainteresowania religią i jej społeczną funkcją sięgają początków pisarskiej działalności Kołakowskiego i ukształtowały jego orientację filozoficzną. Wyrastały one z narzucających się powiązań między świadomością religijną i świadomością społeczną, z paralelizmu dziejów kościoła i dziejów totalnych ideologii. Doświadczenia okresu stalinizmu, destalinizacji i gomułkowskiej reakcji pogłębiły te podobieństwa i podkreśliły ich aktualność. Jeśli formacje religijne i ideologiczne przekształcają się tym samym cyklicznym a raczej spiralnym rytmem opisanym przez Giambattista Vico, regularności wykryte w dziedzinie zjawisk religijnych rzucają światło na prawidłowości rządzące zjawiskami ideologicznymi.

Te podobieństwa przemian w świadomości religijnej i ideologicznej czynią rzeczą zrozumiałą dlaczego po Październiku i pierwszych starciach z reżymem Gomułki w 1957 roku Kołakowski z reformatora świadomości ideologicznej i instytucji partyjnych przekształcił się w badacza kontrreformacji religijnej i więzi kościelnej. Lewica marksistowska — pisał Kołakowski na początku 1957 roku — jako zespół postaw ideologicznych i moralnych, postaw permanentnego rewizjonizmu wobec rzeczywistości,

1. Warszawa. PWN, 1965, str. 654.

nie mogła być w polskich warunkach (geograficznych, politycznych, społecznych) „ruchem zorganizowanym, a była tylko rozproszoną i mgławicową świadomością negatywną, w przeciwieństwie do prawicy, która nie miała skrupułów lojalności wobec sprawy frakcji politycznych wewnątrz partii”. To wyjaśnienie beziży marksistowskiej lewicy odwoływało się do okoliczności szczególnych dla naszego kraju. Ale gdzie należało szukać przyczyn uniwersalnej natury, które często unicestwiały zamierzenia reformatorów społecznych? Czy te niepowodzenia są skutkiem charakteru każdej utopii, gdy przechodzi z dziedziny teoretycznego myślenia do dziedziny praktycznego myślenia i wyznacza ludzką praktykę? Czy może ta porażka wynika z prawidłowości określających stosunki między wszelką ortodoksją i herezją, urzędem i sumieniem, więzią organizacyjną a powinnością moralną? W 1957 roku Kołakowski wyjechał do Holandii i Francji, by w bibliotekach Paryża i Amsterdamu zbierać materiały do badań nad protestancką i katolicką kontrreformacją, to znaczy, nad konfliktem między świadomością ideologiczną a więzią kościelną lub polityczną.

W studiach nad teologicznymi i mistycznymi pismami tego okresu *Przyczynki do krytyki heglowskiej filozofii prawa* Marksa dostarczał Kołakowskiemu intelektualnego drogowskazu. Wbrew temu co się o nim czasem pisze, Kołakowski nie jest ani kantystą ani egzystencjalistą. Dla Kołakowskiego Marks nadal dostarcza ogólnej orientacji w widzeniu świata i w myśleniu o świecie, co nie wyklucza niezależności i samodzielności w poszczególnych sprawach. Tylko ci, którzy bezpodstawnie mieszają tradycję marksowskiej filozofii ze współczesnym „marksizmem”, traktują odrzucenie przez Kołakowskiego współczesnego „marksizmu” jako świadectwo wyrzeczenia się Marksa.

Myślą przewodnią *Przyczynki do krytyki heglowskiej filozofii prawa* jest znana teza Feuerbacha, iż nie religia tworzy człowieka, ale człowiek religię. Religia odzwierciedla historyczną i społeczną rzeczywistość ludzi i wyraża ich samowiedzę i świadomość świata. Nie znaczy to, iż idee i świadomość religijna są wytworami tego samego rodzaju, co zjawiska z których pomocą je wyjaśniamy. Możliwość genetycznego wyjaśniania religii przez odniesienie ich do faktów nie mających z religią rodzajowo nic wspólnego nie zmusza nas do głoszenia tezy, iż religia nie ma autentycznej rzeczywistości i jest pochodnym zjawiskiem lub czystym epifenomenem. Wprawdzie inspirowana przez religię krytyka myśli Marksa zazwyczaj głosi tę właśnie tezę, ale nie ma ona pokrycia w odnośnych tekstach, na jakich się rzekomo opiera i daje się scharakteryzować w terminologii Marksa jako „fałszywa świadomość”. Natomiast przyjęcie oryginalnej marksowskiej przesłanki „człowiek tworzy religię, religia nie tworzy człowieka”, pociąga za sobą konkluzję, iż „krytyka religii stanowi przesłankę wszelkiej innej krytyki”, gdyż ujawnienie ułudy prawdy nadziemskiego świata jest jednocześnie odkryciem podwalin prawdy ziemskiej, krytyka nieba jest krytyką ziemi, krytyka teolo-

gii krytyką polityki. Ten antropologiczny pogląd na genezę religii Marks uzupełnił później koncepcjami socjologicznymi dotyczącymi społecznej funkcji religijnych wierzeń jako więzi umacniającej istniejący porządek społeczny i polityczny.

To pojęcie religii jest dzisiaj powszechnie znane dzięki Durkheimowi, który je rozwinął i unowocześnił. Durkheimowskie pojęcie religii obejmuje nie tylko religie teistyczne, związane z kultem boskich istot, ale również ateistyczne, gdyż każdy zespół wierzeń i praktyk, obowiązujących w danej społeczności pod sankcją potępienia, spełnia religijne funkcje w tej społeczności. Religią w omawianym sensie są więc współczesne totalne ideologie, nie wyłączając tych, które w mniemaniu ich nosicieli wywodzą się od Marksa. Stąd staje się rzeczą jasną, dlaczego badania nad pisarzami religijnymi XVII wieku, uznanymi za herezyków w stosunku do kościoła katolickiego, luterńskiego, kalwińskiego lub mennonickiego, mogą rzucać światło na współczesność, a współczesne doświadczenia ideologiczne dostarczać klucza do rozumienia herezji XVII wieku.

Nie tylko treść i forma obu rodzajów świadomości — religijnej w XVII wieku i ideologicznej w naszych czasach — są pod względem socjologicznym podobne, ale również ich interpretacja daje się oprzeć na podobnych regułach. Reguły te zalecają rozumienie zjawisk świadomości społecznej (religijnej, ideologicznej, politycznej) w zależności od sytuacji grup ludzkich, które są ich nosicielami. Mówiąc inaczej, reguły interpretacyjne są zasadami przyczynowego wyjaśniania poglądów na świat, pojęć o naturze ludzkiej, percepcji własnej pozycji i funkcji społecznej jako skutków statusu ludzi w społecznej rzeczywistości, gdy status ten określony jest kolektywnie a nie indywidualnie, to znaczy jako obowiązki i przywileje zbiorowości, do której dana jednostka należy. Jasną jest rzeczą, iż te reguły interpretacyjne nie naruszają autonomiczności zjawisk świadomości — wierzeń religijnych lub przekonań ideologicznych — a jednocześnie pozwalają rozpatrywać wpływ przemian społecznych na zjawiska świadomości i badać sposób ich wyrażania w zależności od konfliktów społecznych w jakie nosiciele religii i ideologii są uwikłani.

Świadomość religijna i więź kościelna jest książką, która powstała jako realizacja wyżej scharakteryzowanych założeń. Można w niej znaleźć wiele różnych wątków, ale w ramach krótkiej analizy trzy z nich zasługują na wyróżnienie. Istnieje więc wątek informacyjny dostarczający wiadomości o pisarzach religijnych, których poglądy Kołakowski omawia. Stanowi on wstęp do interpretacji tych poglądów, z czym łączy się próba analizy fundamentalnych pojęć w różnych typach myślenia religijnego. Trzecim wątkiem są opisy pewnych charakterystycznych „historycznych mechanizmów” lub społecznych prawidłowości jakie określają konflikt kościoła i świadomości religijnej, ortodoksji i herezji, reformacji i kontrreformacji. Objętościowo dwa pierwsze wątki wypełniają dziewięć dziesiątych rozprawy. Skoro się zaś

zważy, iż wątek trzeci jest rozproszony w formie luźnych refleksji na przestrzeni całej książki, czytelnik odnosi przemożne wrażenie, iż ma do czynienia z historią doktryn teologicznych i ich systematyczną analizą w historycznym kontekście.

Trzeba więc stwierdzić, iż poza wąskim kręgiem teologów i historyków myśli religijnej nie można znaleźć recenzenta zdolnego ocenić, fachowo i rzetelnie, wielki trud badawczy Kołakowskiego, obfitość faktów historycznych i teologicznych, trafność ich wyboru lub poprawność interpretacji. Dodać do tego należy trudności innego rodzaju, mianowicie ezoteryczny język Kołakowskiego, wielokrotnie niezrozumiały niezależnie od teologicznej niekompetencji czytelnika. Jaki sens mamy łączyć na przykład z takim wywodem:

Materializm historyczny jest tedy regułą wyboru początkowego wobec alternacji zachowania i intencji, przy założeniu że „zachowanie” uchwycone zostaje od razu jako fakt społeczny, tj. coś, co sensowne jest tylko wewnątrz historycznej zbiorowości. Wybór początkowy, jeśli pada na zachowanie właśnie, odmienia radykalnie widok świata duchowego ludzi w stosunku do innego wyboru. Nie jest w nim natomiast jeszcze przesądzony rodzaj zachowań, które stają się miejscem bezpośredniego odniesienia tłumaczącego; w szczególności ze względu na odróżnienie zachowań w dziedzinie władzy, w dziedzinie własności i w dziedzinie wytwórczości materialnej. Każdy z tych obszarów, mimo kolejnej zależności, ma zaautonomizowane inercyjnie regularności, stąd podziały zjawisk społecznych wedle kryteriów swoistych dla każdego obszaru nie są, poza wyjątkowymi momentami historycznymi, doskonale izomorficzne (p. 40).

Powyższy cytat nie jest, niestety, przykładem odosobnionym. Książka zawiera wiele zdań, których sens jest całkowicie niejasny oraz rozważań tak spekulatywnych, iż nie wiadomo jakie tezy głoszą i jakie wnioski mają uzasadniać. Trudno jest mówić o argumentach, gdy związek przyczynowy między zjawiskami jest manierą heglowską utożsamiany z logicznym związkiem między pojęciami, a wywodem brak jest logicznego porządku, gdyż przesłanki, konkluzja i relacja między nimi tworzą jeden niezróżnicowany spłot myśli wyrażonej w języku obciążonym potężnym emotywnym ładunkiem. Trudność problematyki może być przyczyną niejasności myśli i języka, ale myśl nie należycie zanalizowana, mglista i nieukształtowana posiada wartość iluzoryczną. Chociaż trudno jej odmawiać wszelkiego sensu, znaczenia poznawczego z pewnością nie posiada.

Ale *Świadomość religijna i więź kościelna* jest nie tylko historią doktryn teologicznych lub teologicznym traktatem. Dzieło to zawiera również wspomnianą trzecią warstwę, mianowicie charakterystykę różnych typów świadomości religijnej oraz związków logicznych i dynamicznych, jakie między tymi strukturami istnieją. Dla tych którzy nie są teologami i nie posiadają wystarczającej wiedzy w dziedzinie historii i filozofii religii, by właściwie zrozumieć i ocenić dwa pierwsze wątki książki, ta jej część budzi największe zainteresowanie.

Przedmiotem badań Kołakowskiego są formy świadomości re-

ligijnej, które należą do tak zwanej drugiej reformacji lub kontr-reformacji i które określa on mianem „chrześcijaństwa bezwyznaniowego”. Chrześcijaństwo bezwyznaniowe wyrasta z trwałego antagonizmu między podstawowymi wartościami chrześcijaństwa a zbiorowością kościelną, z konfliktu sumienia i religijnej organizacji, wiary i wyznania, religijności czysto moralnej i religijności liturgiczno-rytualnej względnie opartej na zasadzie predestynacji i łaski nieodpartej. Twórcami chrześcijaństwa bezwyznaniowego są zarówno pisarze należący do kościoła katolickiego jak i protestanckiego, zarówno wyznawcy religii „serca” jak i religii „rozuemu”. W ramach bezwyznaniowego chrześcijaństwa mieści się również mistycyzm, gdyż dla mistyka lokalizującego wszystkie wartości życia religijnego w jednostkowej duszy ludzkiej religia jako instytucja lub organizacja kościelna staje się zbędna. Mistycyzm wyrasta z postaw antykonfesjonalnych i antyklerykalnych, ze sprzeciwu wobec aparatu władzy i organizacji kościoła, w imię zachowania w czystości bezpośredniego stosunku między Bogiem a jednostkową duszą.

Pierwowzoru bezwyznaniowego chrześcijaństwa dostarczył Kołakowskiemu holenderski pisarz religijny Camphuysen (1586-1627), którego portret, życie i idee Kołakowski szczegółowo opisuje. Oto jeden z fragmentów tego portretu:

W przeciwieństwie do najpospolitszej postawy mistyków, Camphuysen nie głosił ucieczki od świata; jego moralność ma ów rys heroiczny i nawet martyrologiczny: nasze miejsce jest w świecie, o którym wiemy, że jest zły, na szym zadaniem jest naprawa rzeczywistości, o której wiemy, że naprawdę naprawić się nie da; mimo to poczynania nasze nie są daremne: naśladować Chrystusa, jesteśmy uczestnikami jego ziemskiego krzyża, ale także jego niebiańskiej chwały. Świat ludzki nie może nas wynagrodzić. Światem musimy gardzić, ponieważ królestwo niebieskie jest jedyną wartością autentyczną; ale świat ten jest przedmiotem naszej miłości czynnej. Praktykować miłość wobec świata, którym się gardzi, owo zalecenie monstrualnie heroiczne charakteryzuje swoistość religijnej postawy Camphuysena (p. 94/95).

Camphuysen — pisze Kołakowski na innym miejscu — jest jednocześnie kontynuatorem moralności stoickiej i tradycji Erazma wzbogaconej o doświadczenie zniechęcenia społecznego powstałego z nieudanych prób reform, reform podejmowanych i porzucanych lub upodabniających się do złudzenia do instytucji wymagających naprawy. Camphuysen głosi idee bez programu praktycznego, gdyż świadom jest nieskuteczności społecznej idei i przeto skupia się na wartościach, jakie są w świecie możliwe, będąc zawarte w świadomości każdego ludzkiego osobnika indywidualnie. Aprobata postaw antykonfesjonalnych i antyklerykalnych, skrajnego heroicznego personalizmu moralnego, wreszcie niesprowadzalnej jednostkowej odpowiedzialności traktującej świat jako przedmiot moralnego obowiązku, przypomina nam, iż autor *Świadomości religijnej i więzi kościelnej* jest również autorem esejów „Aktualne i nieaktualne pojęcie marksizmu”, „Sens ideowy pojęcia lewicy” i „Odpowiedzialność i historia”. Bezwyznaniowe chrześcijaństwo jest formą ideologiczną świado-

mości, która we współczesnym świecie posiada odpowiednik w „bezwyznaniowym marksizmie”. Z tej przyczyny dzieje bezwyznaniowego chrześcijaństwa są nie tylko częścią historii, ale również dostarczają materiału dla socjologicznej analizy ideologii w drugiej połowie XX wieku.

Z punktu widzenia ideologicznej lub religijnej ortodoksji, bezwyznaniowe chrześcijaństwo jest rewizjonizmem lub herezją. Zdaniem Kołakowskiego, pojęcie herezji nie jest kategorią doktrynalną, to znaczy, nie charakteryzuje pewnego systemu wierzeń lub poglądów. Pojęcie herezji jest kategorią socjologiczną, którą posługujemy się w opisie pewnego faktyczno-historycznego stanu rzeczy powstałego w wyniku decyzji wydanej przez odpowiedni urząd lub instytucję. Luter lub Trocki są heretykami w odniesieniu do określonego kościoła lub ideologicznej organizacji na mocy orzeczenia wydanego przez ten kościół lub organizację. Herezja wymaga aktu potępienia lub wykluczenia z religijnej lub ideologicznej zbiorowości. Z drugiej strony

Pojęcie ortodoksji ma sens tylko w odniesieniu do zbiorowości zorganizowanych, to znaczy m.in. wyposażonych w warstwę organizatorów, w szczególności kastę kapłańską. Ortodoksja jest ideologią tej warstwy: daje jej rację bytu, jaką jest czuwanie nad ortodoksją. Ilekroć herezja dochodzi do formy zorganizowanej, staje się z kolei ortodoksją i umacnia się w zwalczaniu własnych herezji, a ów proces rozmnażania pączkującego może się przedłużać nieograniczenie (p. 52).

Chociaż więc herezja jest wykroczeniem poza ortodoksję, należy uznać również fakt, iż ortodoksja jest funkcją herezji. Reformatorzy i heretycy wyzwalają wysiłki kontynuowania ich działalności dalej aniżeli by tego pragnęli i uważali za rzecz słuszną i właściwą. Z tego powodu po pomyślnym ukonstytuowaniu się dawnej herezji jako nowej ortodoksji, reformatorzy wystawieni są na napór tych sił reformatorskich, jakie sami wyzwolili i jakie wykraczają poza granicę dopuszczalną z ich punktu widzenia. Jest to losem wielu reformatorów, iż z nowatorów stają się zachowawcami i zostają zmuszeni do ohamowania dzieła naprawy. Tak więc pierwsza herezja pod naciskiem herezji wtórnej upodabnia się na pozór do ortodoksji pierwotnej. Polemiści kalwińscy i luterkańscy, pisze Kołakowski, zwalczali własnych apostatów i przedstawiali ich próby radykalizacji reformy jako dążenie do powrotu do dawnego stanu rzeczy. Z drugiej strony rzecznicy drugiej reformacji starali się wykazać, iż pierwsi reformatorzy pod pozorem naprawy dawnego stanu rzeczy przywracali system nie mniej tyrański i niezgodny z chrześcijańskimi wartościami aniżeli ten jaki rzekomo obalili. Protestantka kontrreformacja była sprzeciwem przeciw zjawiskom w łonie reformacji, które traktowała jako pogwałcenie jej autentycznych wartości, jako regenerację tych form życia religijnego, jakie kiedyś spowodowały bunt przeciw kościołowi rzymskiemu.

Powyżej opisany dynamiczny proces przemian, którym ortodoksja religijna lub ideologiczna podlega, jest skutkiem jej struk-

turalnych właściwości. Każda ortodoksja ma charakter integralny. Nie można podważyć sakralnej natury jednej jej części nie podważając sakralnej natury całości.

Sam fakt istnienia ortodoksji związany jest z faktem istnienia organizacji i władzy; krytyka jakiegokolwiek fragmentu ortodoksji jest, bez względu na intencję, krytyką totalną władzy, mianowicie jej monopolu prawdy. Otóż monopol nie może być usunięty częściowo: naruszony w części przestaje być monopolem, to znaczy istnieć przestaje (p. 100).

Wynika z tego wniosek, iż reforma ideologiczna w ramach pewnej zorganizowanej zbiorowości jest tylko wówczas skuteczna, gdy jest częściowa, sama z kolei inicjuje ruch zachowawczy i zwalcza własną kontrreformację. Innymi słowy, ruch reformy ideologicznej nie może być skuteczny jeżeli nie jest częściową kontynuacją form instytucjonalnych i idei ortodoksji, przeciw której jest zwrócony; jeśli nie przyswoi sobie składników reformistycznych, lecz w takiej postaci, iż są one unieszkodliwione i przestają być czynnikiem rozkładu w ramach nowej ideologicznej instytucji; jeśli nie zlikwiduje dalszego działania herezji, którą powołała do życia i której zawdzięcza zwycięstwo nad pierwotną ortodoksją.

Próby bezwyznaniowego chrześcijaństwa — lub bezwyznaniowego marksizmu, to znaczy świadomości ideologicznej wyzwolonej od więzi partyjnej, od wszelkich powiązań z partyjną organizacją — są przeto zjawiskami negatywnymi, uwarunkowanymi przez ortodoksję chrześcijańską lub ideologiczną. Z jednej strony nie są one w stanie przeobrazić form zbiorowego życia religijnego nie sprzeniewierzając się własnym zasadom. Skoro bowiem powstają jako sprzeciw w stosunku do systemu władzy i instytucji kościelnych, nie są zdolne samych siebie zrealizować nie negując celu własnego istnienia. Z drugiej strony, bezwyznaniowe chrześcijaństwo świeci światłem odbitym i brak mu realności bez odniesienia do religii zorganizowanych.

Chrześcijanie bezwyznaniowi zdolni są najwyżej do tego, by wewnątrz lub obok zbiorowości kościelnych tworzyć „grupy nacisku”, zmuszające przeciwnika do neutralizującej asymilacji ich idei i do pewnej modyfikacji zorganizowanej religijności. W sumie tedy bezwyznaniowe chrześcijaństwo, jeśli w życiu społecznym znaczy cokolwiek, jest siłą negatywną, wpływającą na kolejne reintegracje pozytywnego chrześcijaństwa, ale nie mającą rzeczywistej mocy rozkładowej wobec kościołów; jeśli sprzyjające okoliczności czynią z niego efektywny ruch reformy, ruch ten może utwierdzić się społecznie tylko przez przyjęcie zasady organizacji, to znaczy przez samozaprzeczenie (p. 553/554).

Na czym przeto polega, w ostatecznym obrachunku, wartość form świadomości ideologicznych, które powstają w ramach zinstytucjonalizowanych ideologii, wyzwalają się od więzi organizacyjnych, stają się bezwyznaniowe oraz głoszą absolutną, całkowitą i wyłączną odpowiedzialność jednostki za jej zachowanie wobec zbiorowości? Zanim się na to pytanie odpowie, trzeba

wspomnieć koncepcję człowieka, jaka stanowi podłoże bezwyznaniowych form świadomości ideologicznej. Ta koncepcja nawiązuje do humanistycznej tradycji renesansowej i znalazła w *Mowie o godności ludzkiej* Pico della Mirandola najlepsze sformułowanie. Według tej tradycji, swoistością człowieka, wyróżniającą go wśród wszystkich innych bytów, jest jego niezakończenie, sytuacja, w której musi on nieprzerwanie i nieuchronnie dokonywać wyboru między alternatywnymi drogami stojącymi przed nim otworem. Ten stan otwartości, niezakończenia, indeterminacji jest źródłem ludzkiej godności i niepowtarzalnej wartości każdego. „Niezakończenie — wolność — wartość: trzy słowa, które w świecie ludzkim oznaczają to samo” (p. 282).

Jeśli założymy koncepcję niezakończonego człowieka, funkcja bezwyznaniowej świadomości ideologicznej nie ogranicza się do pewnej modyfikacji ideologii zorganizowanej (stosownie do prawidłowości o przyswajaniu sobie przez ortodoksję, wystawioną na napór ruchów reformistycznych, idei i dążeń charakteryzujących jej przeciwników). Wolność, a więc również wolność od instytucjonalnych więzi, jest niezbywalną jakością człowieka. W zachowaniu niezbywalnej wolności człowiek potwierdza swój byt wyróżniony w wszechświecie, swą absolutność i możliwość pełnego zrealizowania niezakończonej ludzkiej istoty.

Świat bez człowieka nie zawiera żadnych wartości i stanowi jedynie okazję i materiał ich tworzenia przez ludzi. Chociaż przeto wartości są czysto ludzkim wytworem, istnieją tylko w nas samych, a świat opisywany w wartościujących terminach jest nieodmiennie dziełem człowieka, ta wewnętrzna rzeczywistość jest jedyną rzeczywistością, jaką w ostatecznym obrachunku warto jest brać pod uwagę. W porównaniu z nią każda inna realność jest w sensie ludzkim iluzoryczna i urojona.

Istnieją dwa główne problemy życia — pisał Kołakowski w swej książce o Spinozie — problem wolności i problem śmierci, na które każdy z nas musi znaleźć odpowiedź. Być może jest to fikcją, iż człowiek jest w stanie zrealizować swoją istotę, to znaczy osiągnąć wolność. Ale nawet jeśli to przekonanie jest fikcją, jest to najpiękniejsza z wielu fikcji, jakimi filozofia karmi od wieków umysły.

Zbigniew A. JORDAN

Synteza literatury emigracyjnej

Uboga jest polska literatura w podręczniki syntetyczne, w dział informacyjny. Mówiąc to porównuję ją z syntetyzami innych literatur w pierwszym rzędzie z najbliższą mi terenowo literaturą

włoską. Włoskie wydawnictwa encyklopedyczne są tak liczne, że czytelnik może sobie dowolnie w nich wybierać. Obok znanej *Enciclopedia Italiana* liczącej ponad 40 tomów, do których co jakiś czas przybywa suplement, każdy niemal dom wydawniczy drukuje sobie własną encyklopedię. I nie można im odmówić wartości informacyjnej. Wszystkie domy wydawnicze starają się bowiem pozyskać sobie specjalistów, bo liczba oraz walor wymienionych osób daje gwarancję powodzenia dzieła.

A historia literatury? Tę piszą prawie wszyscy wykładający ją na uniwersytetach, a nawet w szkołach średnich różnego typu i tych „manuali” jest tak wiele, że często w tej samej szkole i klasie, ale w różnych oddziałach, używane są oddzielne wypisy i podręczniki.

W porównaniu z Włochami nasz dział informacyjny odnośnie własnej literatury przedstawia się ubogo. W Polskę odrodzonej młodzież szkół średnich zapoznawała się z dziejami literatury ojczystej z podręczników I. Chrzanowskiego, K. Wojciechowskiego, później, już po reformie szkolnej przybyły podręczniki dostosowane do nowych programów, jeden w opracowaniu Konrada Górskiego, inny składał się z trzech tomów i był pracą zbiorową (Kleiner, Brückner, Alexandrowicz, Balicki, Maykowski). Na poziomie uniwersyteckim popularne były: P. Chmielowskiego, *Historia literatury polskiej*; S. Dobrzyckiego, *Historia literatury polskiej*; A. Brücknera, *Dzieje literatury polskiej w zarysie*; M. Korbuta, *Literatura polska od początku do wojny światowej*. To ostatnie dzieło, raczej bibliografia literatury, stało się w pewnym sensie unikatem w literaturze europejskiej. Do wymienionych dzieł należy dorzucić jeszcze syntezę odnoszące się do poszczególnych epok, na ogół jednak na nich i na kilku innych wychowywała się młodzież dwudziestolecia Polski odrodzonej. A później przyszła wojna a z nią zahamowanie rozwoju kulturalnego. Po wojnie zarówno kraj jak i emigracja znalazły się w zupełnie odmiennych warunkach bytowania, co z kolei odbiło się i na działalności kulturalnej. Wiele periodyków literackich na zawsze zamarło, inne z upływem lat zostały wznawiane. Odnośnie zaś syntez literatury zapotrzebowanie zaspokajano przedrukiem prac przedwojennych. Z dzieł oryginalnych ukazała się jedynie znakomita *Historia literatury polskiej* J. Krzyżanowskiego oraz wznowiona praca Korbuta tym razem opracowywana zbiorowo, której uzupełnieniem do czasów najnowszych jest czterotomowy *Słownik współczesnych pisarzy polskich*.

Emigracja, rozproszona właściwie po całym globie ziemskim, oprócz wysiłku włożonego w zaklimatyzowanie się w kraju osiedlenia, wzięła na siebie trud z jednej strony dostarczenia społeczeństwu emigracyjnemu informacji odnośnie dziejów i kultury własnego narodu z drugiej zaś uświadamiania obcych z dziejami naszego kraju. To informowanie obcych nigdy może w przeszłości nie było tak konieczne i tak bezpośrednie na skutek zetknięcia się osobistego ze społeczeństwem, z którym przyszło współżyć.

W pierwszych latach po wojnie przedrukowywano podręczniki

znanych autorów a z czasem poczęły się pojawiać i dzieła oryginalne. Do tych ostatnich należy zaliczyć bardzo krótką *Literaturę polską*, pracę zbiorową (Giergielewicz, Markiewicz, Sakowski, Seliga, Terlecki, Weintraub, Zaleski) jako część dzieła *Polska i jej dorobek dziejowy*. Do oryginalnych i pionierskich prac należy zaliczyć również, *Literaturę polską na obczyźnie 1940-1960* (Londyn 1964/65), dzieło zbiorowe, w którego opracowaniu, obok redaktora naczelnego, brało udział 20 autorów.

Jak sama nazwa wskazuje temat został ograniczony tylko do działalności kulturalnej na obczyźnie, ale za to ujęty szeroko, tak szeroko, że znalazły się w nim również literatura wojskowa i religijna.

Nie można wymagać, aby dzieło ludzkie było doskonałe, ale w omawianej literaturze niedomagań jest zbyt wiele. Poruszę tu jedno, dotyczące okresu wojennego, które się zbyt rzuci w oczy specjalnie byłym żołnierzom 2 Korpusu. Wiadomo, że 2 Korpus składał się z Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich oraz z dywizyj uformowanych w Rosji i przybyłych w 1942 r. na teren krajów Bliskiego Wschodu. Tak w Brygadzie jak i oddziałach korpuśnych znajdowało się sporo intelektualistów. Otóż w sprzyjających okolicznościach, a takie zaistniały na Bliskim Wschodzie, nastąpił w krótkim czasie rozkwit życia kulturalnego. 2 Korpus stał się szybko, jak wówczas mówiono, Małą Polską. Miał własną prasę, zorganizował różnego typu szkolnictwo, uruchomił Biblioteczkę Szkolną, która dla uczącej się młodzieży dostarczała podręczników, a pracowała tak wydajnie, że w latach 1942-1946 wypuściła 173 różnych książek-przedruków. Mówię tylko o działalności mającej jakiś związek z interesującym nas tematem.

Otóż autorzy niektórych syntez takich jak *Literatura dokumentarna w czasopiśmie*, gdzie było pole do oparcia się na szerokim materiale źródłowym i wyzyskania tego materiału dla późniejszego historyka, jakoś dziwnie omijali go — mówię i o innych autorach traktujących okres wojenny — woląc opierać się na materiale bardziej dostępnym, lecz nie zawsze naświetlającym atmosferę tamtych czasów.

A przecież prasa 2 Korpusu, wydawana na Wschodzie i we Włoszech, znajduje się (Kowalik, *Polska prasa emigracyjna po roku 1939*) w Instytucie Historycznym gen. Sikorskiego i w Bibliotece Polskiej w Londynie, zatem łatwo dostępna dla mieszkających w Anglii. Nie chcę być gołosłownym. Autor omawianego studium pod nagłówkiem „Armia Polska na Wschodzie” t. II, str. 71 i następne) powołuje się w większości — by nie powiedzieć wyłącznie — na artykuły *Polski Walczącej*, pisma wydawanego wówczas w Anglii, pomijając właśnie prasę Korpusu. A gdzież są *Orzeł Biały*, *Ochotniczka*, *Ku Wolnej Polsce*, *Goniec Karpacki*, *Dziennik Żołnierza APW*, *Na Szlaku Kresowej*. Wymieniam dla przykładu te, które towarzyszyły żołnierzowi w pochodzie przez kraje Bliskiego Wschodu i później przez Włochy.

Polskę Walczącą można było niekiedy otrzymać i w 2 Korpusie, lecz jak wiadomo Anglia była wówczas od nas oddalona o kilka tysięcy km. więc żołnierz czytał i wypowiadał się w pierwszym rzędzie w prasie łatwo dostępnej i ona jest przede wszystkim źródłem do poznania także działalności kulturalnej 2 Korpusu. Z tej to prasy Bielatowicz wyławiał wiersze do swoich antologii *Azja i Afryka*, *Nasze granice w Monte Cassino*, z niej inni — jak Herling-Grudziński — wyławiali opowiadania i artykuły do podobnych antologii.

Gdy Korpus znalazł się we Włoszech, wszystkie pisma żołnierskie starały się naświeślać i przypominać stosunki polsko-włoskie z bliższej i dalszej przeszłości, lecz było pismo — *Goniec Karpacki*, które ten temat naświeślało z całym zamięłowaniem. Ileż wówczas ukazało się na jego kartach artykułów z życia Polaków, którzy zapisali swoje imię w historii Włoch szczególnie w okresie Risorgimenta. Można było ten materiał wykorzystać przy omawianiu eseju biograficznego.

Pominięty więc został olbrzymi materiał z pierwszej ręki. Szukam zatem, zawsze w *Literaturze dokumentarnej*, przynajmniej nazwisk popularnych wówczas wśród żołnierzy. Na pierwszym miejscu figuruje Strumph-Wojtkiewicz, Jim Poker, Roman Fajans i kilku innych. Znowu osoby prawie wówczas nieznane żołnierzom, mówię o całości Korpusu a nie o poszczególnych oddziałach. A przecież na Bliskim Wschodzie i później we Włoszech figurowały w pierwszym rzędzie takie nazwiska jak: Bielatowicz, Obertyńska, Naglerowa, Międzyrzecki, Kobrzyński, Żywina, Olechowski. Znowu wymieniam kilka nazwisk dla przykładu. Dlaczego nie powoływać się na świadectwa tych, którzy przez cały czas istnienia 2 Korpusu trwali w jego służbie a niektórzy w nim się uformowali jako poeci i pisarze.

To usuwanie w cień prasy wojskowej dziwnie przeniosło się i na, po wojnie założone, *Ostatnie Wiadomości*, organ Oddziałów Wartowniczych w Niemczech. Był okres — specjalnie w okresie redagowania go przez Pańczaka — że w tym piśmie wypowiadali się najwybitniejsi ludzie pióra na emigracji. Np. w roku mickiewiczowskim ukazało się na jego łamach sporo artykułów o poecie, artykułów niekiedy bardzo cennych, ale gdy autorzy przytaczali bibliografię wypowiedzi o Mickiewiczu, woleli nie powoływać się na ten organ, a przynajmniej robili to bardzo rzadko.

Są ludzie, którzy do jakiegoś pisma się przywiązują, w nim się tylko wypowiadają, najchętniej je czytają. Piszac jednak historię należy się opierać na wszelkim materiale źródłowym, w przeciwnym razie przedstawiony obraz będzie niepełny, nawet skrzywiony.

Byłoby dobrze, gdyby autorzy podawali przy końcu literaturę przedmiotu — jak to ze znanostwem uczynił Kowalik — a nie tylko przypisy. Są to bowiem studia, ale studia mające charakter syntezy i źródła, w miarę możliwości, winne być wyczerpująco podane.

Nie chcę poruszać innych spraw, gdyż mimo wszystko *Literatura* jest osiągnięciem o dużym znaczeniu, tym bardziej, że pionierskim. Redaktor i współpracownicy spróbowali wypełnić ciągłą na emigracji obowiązek utrwalenia literackiego dorobku uchodźstwa.

Stanisław PIEKUT

« Kisiel » i muzyka współczesna

Publicystyka Stefana Kisielewskiego jest na terenie polskim zjawiskiem fascynującym i odosobnionym. Dzieje się tak już choćby ze względu na rzadko spotykaną rozległość jego zainteresowań i artystycznych doświadczeń. W czasach tak sposobnych wąskiej specjalizacji jak nasze, chciałoby się niemal użyć określenia „renesansowy”.

Mamy więc, po pierwsze, Kisielewskiego-kompozytora, autora muzyki dowcipnej, świetnie skonstruowanej, choć mało w swym bezpretensjonalnym neoklasycyzmie oryginalnej. Mamy następnie Kisielewskiego-pisarza, którego powieść „Sprzysiężenie” należała do najciekawszych pozycji wydanych bezpośrednio po wojnie. Nieobce są też mu zainteresowania polityką, jak o tym świadczy kilkuletnia kariera posła, szukającego, w ramach grupy katolickiej, najskromniejszych choćby możliwości dialogu i opozycji.

Wydaje się jednak, że jego dorobek publicystyczny góruje swoim znaczeniem nad resztą działalności. Barwny i przejrzysty styl, agresywny humor, zmysł intelektualnej prowokacji i kolosalny temperament polemiczny — oto cechy gwarantujące „Kisielowi” (jego pseudonim) oddziaływanie i poczytność wśród inteligencji polskiej. Co kilka lat nadaje on książkową formę artykułom, felietonom i esejom rozsianym w „Tygodniku Powszechnym”, „Ruchu Muzycznym” czy nawet „Życiu Warszawy”. Tak więc, po „Polityce i Sztuce”, „Gwiazdozbiornie muzycznym” i „Z muzyką przez lata”, nowy jego zbiór¹ zawiera prace z lat 1958-65, poświęcone tematyce muzycznej. Nie brak w nim wspomnień z lat 1945-55, wywiadów, szkiców poświęconych kompozytorom żyjącym (Strawiński, Bacewiczówna, Szałowski) lub niedawno zmarłym (Maławski, Morawski, Wiechowicz). Sporo problematyki socjologicznej (à propos jazz'u, „mass culture”, komunikatywności muzyki) a spośród rozważań natury estetycznej

1. Stefan Kisielewski, *Z muzycznej międzyepoki*, Polskie Wydawnictwo Muzyczne, Kraków 1966.

— przewija się, jak od lat u Kisielea, wątek wyrażalności lub nie-wyrażalności treści pozamuzycznych w muzyce.

Głównym tematem książki jest jednak „nowa muzyka”, ta najbardziej radykalna i awangardowa. Widoczną inspiracją w tym kierunku stały się festiwale muzyki współczesnej — „Warszawska Jesień” — które, na przestrzeni dziesięciu lat, zdołały zdynamizować muzykę polską i nadać jej światową rangę. Jasne, że impreza tej wagi nie mogła być nie wywołać szczególnego zainteresowania autora. Pośrednio lub bezpośrednio, poświęca on jej połowę zbioru, dając wyraz swym poglądom na problemy współczesności.

Ma to, w przypadku Kisielewskiego szczególną wagę. Jako krytyk i felietonista „Tygodnika Powszechnego” zajmował się on tym tematem w szczególnie niewdzięcznym okresie. W latach przed 1952, samotnie przeciwstawiał się zalewowi doktryny socrealizmu. Wykpiwał zalecaną propagandową użyteczność, wytykał konserwatyzm języka muzycznego, walczył o jego odnowę i prawo do poszukiwań, nie liczących się z „zamówieniem społecznym”, chwalił to, co w ówczesnych warunkach wносиło elementy nowsze i ambitniejsze (debiuty Bairda, Serockiego, Krenza np.).

Pamiętam, że w tym okresie byłem na jego odczycie, na Uniwersytecie Katolickim w Lublinie, odczycie, w którym ośmieszył pretensje do marksizmu postulatów Żdanowa i suchej nie zostawił nitki na jej krajowych ideologach. Wtedy także bronił tezy o abstrakcyjnym charakterze muzyki, w duchu Hanslicka i Strawińskiego („...muzyka nie wyraża nic”). Myśli w owym czasie śmiała i bardzo źle widziane.

Jednakże, kryteria współczesności w ujęciu Kisielewskiego tkwią korzeniami w okresie przedwojennym. Z „realizmem socjalistycznym” dyskutował on z pozycji „awangardy” lat trzydziestych i czterdziestych. Ravel, Strawiński, Prokofiew, Hindemith, Bartók — w tym kręgu formowała się indywidualność Kisielewskiego. Tymczasem, ostatnie piętnastolecie przynosi szereg nowych fenomenów. W skali światowej należy do nich szybki rozwój nowych technik: sięgnięcie do tradycji webernowskiej, nieznane dotąd źródła dźwięku muzyki konkretnej i elektronowej, wprzęgnięcie przypadku w proces twórczy (aleatoryzm Cage’a), wyzyskanie elektronicznych kalkulatorów (Xenakis), wreszcie — powstanie nowego zapisu. W sumie odmienne traktowanie dźwięku przy ostatecznym wyczerpaniu systemu tonalnego. W Polsce — „rewolucja” przebiega z jeszcze większą szybkością. W dziesięć lat po ustaniu dyktatury urzędowego akademizmu znaleźliśmy się w światowej czołówce i po raz pierwszy kompozytorzy polscy nie „doganiają” już lecz czynnie uczestniczą w rozwijaniu języka dźwiękowego.

W tej sytuacji, znalazł się trochę Kisielewski po „drugiej stronie barykady”. Sam o tym pisze, a dalszych przykładów dostarcza dzisiejsza jego twórczość. „Konserwatysta” jednak nie zawsze znaczy „wstecznik”. Podziwiać należy u autora pasję, z jaką

„analizuje „nową muzykę”. „Z awangardą — mówi — zgadzam się zawsze na 'nie', rzadko czy nie zawsze na 'tak'”. Fascynują go nowości techniczne, cieszy się najśmielszym eksperymentem. Równolegle jednak „broni” kompozytorów bardziej zachowawczych (Bacewiczówna a także... on sam) w imię autentyzmu, nie zawsze godzącego się z nowatorstwem.

Sytuację muzyki współczesnej uważa Kisielewski za wyjątkową — stąd termin „międzyepoka” w tytule. „Międzyepoka — to określenie kumulujące syntetycznie szereg okoliczności i sugestii: jest to okres przejściowy łączący w sobie cienie zmierzchu epoki dawnej ze światłami brzasku epoki nowej, okres z jednej strony bezkrólewia, z drugiej zaś kształtowania się nowych rządów i nowego systemu, okres zarazem rozkładu i wzmożonej konstruktywności, dezorientacji i dalekich perspektyw w przyszłość, rozbicia i wywołanej nim wielości, a jednocześnie zwielokrotnionej tęsknoty za jednością, okres zarówno analizy, jak i syntezy”. Tak więc, tkwiąc silnie w przeszłości a nie chcąc odrzucić teraźniejszości, widzi autor w tej ostatniej radykalny przełom, rodzaj „rupture” w „normalnej”, historycznej ewolucji („... to już nie linia, to skok”). Ciekawe, że wśród kompozytorów jest to wypadek stosunkowo rzadki. Większość np. uczestników ankiety „Preuves” na temat muzyki serialnej, opowiada się przeciwko takiej interpretacji współczesności. Kisielewski natomiast, konsekwentnie uważa, że muzyka ubiegłych stuleci może prędko zdewaluować się lub co najwyżej zadowolić rolą popularno-użytkową, na równi z piosenką i „muzyką lekką”. Często popada ze sobą w sprzeczność. Raz cieszy się zwrotem ku tradycji w „Pasji wg. św. Łukasza” Pendereckiego, to znów stwierdza, że „nieposób słuchać symfonii Beethovena lub koncertów Chopina (chyba jako materiału do pobudzenia czułościowych kojarzeń z młodością)”.

Nie wybrzydajmy jednak! To właśnie, że z co trzecim zdaniem „Kisiela” chciałoby się dyskutować, czyni lekturę „Z muzycznej międzyepoki” ciekawą i pobudzającą do refleksji. Jej fachowa problematyka podana jest w formie maksymalnie dostępnej dla przeciętnego czytelnika, który znajdzie też dowcipne teksty poświęcone piosence, jazzowi a także wiele informacji o polskim życiu muzycznym. Na uwagę zasługują dwa artykuły o Bohdanie Wodiczce, który uczynił z Filharmonii Narodowej zespół o światowej klasie a z Opery Warszawskiej — pierwszy w kraju prawdziwie współczesny teatr operowy. A rezultat — dwie kolejne dymisje i konieczność zarobkowej emigracji do Reykjavíku...

Jako dokument epoki i głos w dyskusji nad sztuką naszych czasów stanowi „Z muzycznej międzyepoki” pozycję inteligentną i wartościową, odzwierciedlając nietuzinkową osobowość czołowego polskiego publicysty i krytyka muzycznego.

Jerzy GAJEK

O pisarstwie Andrzeja Brychta

Pobieżna lektura krajowych czasopism literackich skłania niejednokrotnie do niecierpliwego żachnięcia. Podczas gdy listy zagranicznych *bestseller*ów wybytyskują raz po raz zdumiewającymi debiutami, a literacka nagroda Nobla przyznana zostaje pisarzom, o których w historiach literatury głucho, w Polsce aż do znużenia powtarzają się te same od lat kilkunastu nazwiska, zdając się świadczyć o stagnacji środowiska literackiego. Są to jednak wrażenia z pobieżnej tylko lektury. Uważniejszemu czytelnikowi prasy literackiej kształtować się poczyna obraz nowy, zaskakująco świeży i zgoła odmienny od tego, jaki mógłby sobie wyrobić na podstawie owej mniej lub więcej skostniałej listy „putramentów i brandysów” (jak to się gdzieś w emigracyjnej prasie pisuje). Wczorajsi debiutanci wykazać się dziś mogą kilkoma tomikami opowiadań, po przeczytaniu których kusić się już można o sprawiedliwą ocenę zarówno ich własnego dorobku jak próbę szerszego spojrzenia na prozę krajową połowy lat sześćdziesiątych.

Nazwiskiem bez wątpienia przykuwającym uwagę czytelnika w ciągu lat ostatnich jest Brycht. Gdy w roku 1961 zadebiutował jako poeta i prozaik — jeśli nie liczyć wcześniejszego o rok tomu reportażu — recenzent *Rocznika Literackiego* zaliczył go do grupy poetów „rokujących jakieś realniejsze nadzieje”, wskazując na jego „bardzo odrębny ton — dramatyczny, pełen bolesnej goryczy i niepokoju”. Jakkolwiek nie zawsze się z Ryszardem Matuszewskim zgadzam, przyznać mu tutaj muszę doskonałe wyczuwanie podstawowych wartości pisarstwa Brychta, tych mianowicie, które w opowiadaniach lat późniejszych w pełni potwierdziły ocenę krytyka.

Od debiutu minęło lat pięć, czas pozwalający zarówno pisarzowi na mocniejsze rozbudowanie swego pisarskiego warsztatu, jak i czytelnikowi na stworzenie własnego krytycznego osądu. Opowiadania Brychta, pojawiające się coraz częściej w warszawskiej *Kulturze* i w *Twórczości*, składać się zaczęły w pokaźne zbiorki, z których ostatni* wydaje się z kilku powodów szczególnie godny uwagi — uwagi nota bene potwierdzonej zapowiedzią wydania w NRF, gdzie literatura polska śledzona jest baczным i wprawnym okiem.

Nim jednak do omówienia *Dancingu w kwaterze Hitlera* przejdę

* Andrzej Brycht, *Dancing w kwaterze Hitlera*, Pax, Warszawa 1966, str. 211, zł 20.—.

dziemy słów parę powiedzieć wypadnie o literackiej genealogii pisarza, który spośród grupy swych zdolnych rówieśników, takich jak Marek Nowakowski czy Edward Stachura wyróżnia się nie tylko specyficzną tematyką środowiskową, ale odbija od nich własną problematyką moralną. Nie ulega wątpliwości, że cała grupa najmłodszych polskich prozaików i poetów — w wielu wypadkach są to poeci i prozaicy równocześnie — wywodzi się z pisarstwa Tadeusza Borowskiego, który tuż po wojnie szkołę „poetyckiego realizmu” zainicjował. Wiele już o związkach Borowskiego z literaturą amerykańską i zachodnioeuropejską pisało, poświęcono mu szereg obszernych studiów, toteż nie wydaje się konieczne raz jeszcze udowadniać jak poważną rolę odegrał on w kształtowaniu się współczesnej polskiej prozy i jak proza ta wpływy owe umiała przetransponować na własny, osobisty niejako środek artystycznego wyrazu. Czytelników, dla których opowiadania Borowskiego są albo ziemią nieznaną albo też kojarzą się z jego działalnością propagandową w *Nowej Kulturze* okresu stalinowskiego, odesłać można do szkicu Andrzeja Wirtha w arcyciekawym zbiorze *Z problemów literatury polskiej XX wieku*, w roku 1965 dedykowanym z okazji jubileuszu Kazimierzowi Wyce przez — jak głosi dedykacja — kolegów, przyjaciół i uczniów.

Drugim niewątpliwie etapem edukacji Brychta musiała być wczesna twórczość Hłaski, ta z okresu bezpośrednio poprzedzającego październik 1956. Zbyt młody by trafić do kategorii „pryszczatych” (według osławionej już nomenklatury Alicji Lisieckiej, którą Tadeusz Nowakowski słusznie mianował *drum-majorette*), na pewno zaliczyć by się dał do „hłaskoidów”, jeśli już terminologię taką będziemy kontynuować. Elementy buntu przeciw społecznemu zakłamaniu, zafascynowanie techniką, tęsknota za poezją w szarej codzienności i równoczesna świadomość nieuchronnej klęski, tak typowe dla ówczesnego Hłaski i jego licznych kontynuatorów, wszystko to Brycht przejął i przetworzył w swój bardzo osobisty obraz polskiej współczesności, dodając czynnik nowy, nie mniej od poprzednich charakterystyczny, a mianowicie konflikt pokolenia „byłych kombatanów” z pokoleciem twista i *big-beat*’u, pokoleniem naszego dziesięciolecia.

I tu właśnie zdaje się leżeć szczególna wartość jego pisarstwa, w którym do głosu dochodzą ludzie, dla których II Wojna Światowa i jej sprawy należą do przeszłości co najmniej antycznej, jeśli nie legendarnej zgoła. Cytat z omawianej książki potrafi wyjaśnić to najlepiej:

„Nie było drogowskazu. Rozejrzałem się i nagle razem z Anką, jednocześnie zupełnie, wybuchnęliśmy śmiechem, takim cholernym, głupim, małym śmiechem, jaki czasem w szkole łapie całą klasę, ale nie częściej niż raz na rok. Wylisnęliśmy ze śmiechu i patrzyliśmy na siebie, i znów, aż mi łyzy poszły i zabolął brzuch, aż nareszcie zdusiłem w sobie ten śmiech i obtarłem te śmieszne łyzy, i raz jeszcze spojrzałem na to drzewo, co nas tak roześmiało, bo na tym drzewie, starym gwoździem przybita, wisiała wąska drew-

niana tabliczka w kształcie strzałki, i na niej czerwoną farbą było napisane: Do kwatery Hitlera”.

Cóż w tym śmiesznego? — zapyta może czytelnik, dla którego nazwisko Hitlera kojarzy się ze sprawami niewiele mającymi wspólnego z wesołością. Dla młodych ludzi z opowiadania Brychta jest to jednak jedynie przezabawny anachronizm:

„Hitler ma długą, białą brodę i puszcza magneto z niemieckimi marszami, przerobionymi na twista, surf, kiss me, hully-gully, madisona i cha-cha-cha, i czasami tańczy, żeby się rozgrzać, bo ma w kwaterze wilgotno”.

Dla równolatków Polski Ludowej problem niemiecki po prostu nie istnieje, mimo wysiłków propagandy wyolbrzymiającej niebezpieczeństwo rewizjonizmu. Toteż Brycht dokonuje w swym opowiadaniu zręcznego zabiegu, którym kwituje oficjalną wersję propagandową w sposób wysoce niezwykle: przyczyną dramatu dwudziestolatków staje się istotnie Niemiec, ale Niemiec ze starych baśni, duch odwiecznej nienawiści, tyle że posadzony za kierownicę najnowszego modelu Mercedesa, kuszący i uwodzicielski Smutek drugiej połowy dwudziestego wieku. Przeniesiony na płaszczyznę konfliktu osobistego problem niemiecki nabiera nowych tonów, stając się dramatem osobistym, wzmocnionym przez kontrast zakończenia, w którym obok wracającego „równym, spokojnym krokiem” narratora „śmigają ostro piękne, nowoczesne wozy: Mercedesy, Ople Rekordy i Kapitany, Volkswageny 1200 i 1500, Taunusy 12 M i 17, BMW, NSU Sport-Prinz, Auto-Union i Glas, cała piękna produkcja niemiecka pędzi polskimi szosami, lśniąc lakierem świeżym, rozsiewając zapach deserowej benzyny. W każdym wozie, opatrzonym z tyłu znakiem D przy numerze, siedzi gruby albo chudy pan w koszuli białej i obowiązkowym krawacie, a obok świecą złote, rude albo czarne włosy dziewczyny”. Dodawać chyba nie trzeba, że każda z dziewczyn może być Anką...

Sprawa jednak niemiecka, której świadectwem są oba umieszczone w tomie opowiadania, nie stanowi głównego problemu pisarstwa Brychta. Antyczny świat kwatery Hitlera należy do bajek, którymi dla zarobku i ku zbudowaniu szkolnych dziełek popisuje się miejscowy przewodnik, o ileż zresztą lepszy od tego, który niedawno wodził po Kulikowym Polu Sołżenicyna. Konflikt pokoleń, nie ten turgeniewowski „ojców i dzieci” lecz pokoleń przedzielonych dwudziestoma powojennymi latami, interesuje pisarza znacznie bardziej, głównym jednak ośrodkiem jego zainteresowania jest młodzież lat sześćdziesiątych, młodzież rosnąca w cieniu amerykańskich limuzyn, którymi „latoś obrodziło w Łodzi”, czy ta pędząca na włoskich skuterach przywiezionych „za diety przez starego z Paryżewa”. Interesuje go konflikt między podwarszawskimi czy podłódzkimi „badylarzami” szarmancko wylewającymi koniak pod stopy klozetowej babci („Babcia stoi!”) ku większemu pogębieniu nędzarzy-urzędników Urzędu Skarbo-

wego, a tymi, dla których „rower ciężki jak czołg, marki Gromada” zdobywać trzeba było ciężką pracą u piekarza Sitki.

I tak powoli z opowiadań Brychta wyłania się Polska naszych dni, ta należąca do „właścicieli Polski Ludowej” i ta, w której światła Cadillaca przyświecają zamordowaniu dziewczyny, którą lepiej zarabować siekierą niż pozwolić jej na spędzenie ciąży (opowiadanie *Do umarłej*). Odczytujemy z nich sprawy, o jakich głucho w sensacyjnych reportażach *Przekroju* czy w socjologicznych studiach o przyczynach chuligaństwa, pisarstwo bowiem Brychta nie ogranicza się do faktów znanych z prasy i publikacji, lecz usiłuje zrozumieć psychikę „nastolatków” urodzonych i wychowywanych ze skazą nie do wyleczenia. Pisarz, który do pokolenia swego należy całym sobą przemawia jego językiem, odczuwa jego nerwami i nie oskarżając nikogo, oskarża najmocniej. Tradycyjna literatura protestu społecznego stapia się pod jego piórem ze wstrząsającym protestem moralnym, uniwersalizm tragicznej egzystencji motywowany jest specyficznie polskimi warunkami, tworząc świat tragedii bez wyjścia i bez nadziei.

Mimo to nie jest to pisarstwo ponure. Elementy groteski, tak właściwe anomaliiom dzisiejszej współczesności, znajdują tu artystyczny wyraz w groteskowej formie wielu opowiadań, a ogromna giętkość stylu i niewątpliwy talent językowy pozwalają na oddanie sposobu myślenia i mówienia, niejednokrotnie przeczącego wszelkim kanonom gramatyki (opowiadanie *Relacja*). Wszystko to sprawia, że opowiadania Brychta stają się dokumentem naszej epoki, dokumentem wstrząsającym i pełnym prawdy, jak każde dzieło prawdziwego talentu.

Andrzej Brycht rokuje dużą przyszłość jako pisarz. Wolno wierzyć, że w jego osobie nowe pokolenie literatury polskiej znajdzie swego wybitnego reprezentanta — i fakt ten wbrew tragicznemu obrazowi współczesności ukazanemu w jego opowiadaniach napawa wielką nadzieją.

Jerzy R. KRZYŻANOWSKI

Obrazy i znaczenia

Jerzy Peterkiewicz jest tego rodzaju pisarzem, który wychował sobie czytelnika i nie zawodzi pokładanych w nim nadziei. Co pewien czas ukazuje się książeczka wytworna, kulturalna, w dobrym guście, bliższa ekscentryczności niż banałowi, wywołująca zainteresowanie szerokiej publiczności i koneserów. Peterkiewicz ma już poza sobą siedem wydanych w języku angielskim

powieści, wśród nich tak różne utwory jak „The Knotted Cord” (wspomnienia z dzieciństwa), „Loot and Loyalty” (przygody szkockiego kapitana w Polsce i w Rosji w siedemnastym wieku), „Future to let” (o emigracji londyńskiej) i „That Angel burning at my left side”.

We wczesnych powieściach Peterkiewicz posługuje się językiem angielskim w sposób równie ostrożny i delikatny jak Europejczyk po raz pierwszy jedzący ryż pałeczkami. Natomiast w ostatniej książce „Inner Circle”^{*} znajomość i opanowanie języka jest już tego typu, że pozwala nam mówić o jego twórczym wkładzie do rozwoju angielskiej powieści.

Co prawda nie jest pewne czy „Inner Circle” (wewnętrzne koło, również nazwa jednej z linii londyńskiej kolejki podziemnej) jest powieścią. Składa się z trzech różnych opowieści: „Surface” (powierzchnia), „Underground” (podziemie), „Sky” (niebo). Każda z nich jest rozbita na trzy części, a każda z tych części wchodzi w skład jednej z trzech „książek” (*books*) składających się na cały tom. To „siekanie” i przeplatanie opowieści o nie mających ze sobą nic wspólnego wątkach nie wydaje się być konieczne ani zrozumiałe dla czytelnika.

Opowieść pierwsza, „Powierzchnia”, dotyczy dalekiej przyszłości, w której miliony i miliardy zgniecionych ludzi drepce w kółko pod sztuczną kopułą nieba. Nie ma roślin, ptaków, jedzenie w formie płatków spada ze sztucznego nieba, ludzie żyją w higienicznych pudłach, wydzielając odchody do rur wmontowanych w ziemię. Ci ludzie zachowali mgliste wspomnienia ze świata jaki był poprzednio, karmieni wrażeniami pochodzącymi z czegoś w rodzaju telewizji. Historia głównie dotyczy męża, jego dwóch żon i dwóch braci, którzy szczepieni razem, kręcą się w kółko zasłaniając kawałek cennego wolnego miejsca w środku przed wtargnięciem innych ludzi. W końcu idą na poszukiwanie „realnego” świata, i czegoś w rodzaju odrodzenia.

Czytanie tej ponurej, miejscami makabrycznej, fantazji nie jest łatwe a koniec niezbyt zrozumiały i nie napawający optymizmem.

Opowieść druga „Podziemie”, to historia niedorozwiniętego chłopca, którego ulubioną rozrywką jest jazda kolejką podziemną linii Inner Circle. Jego przeżycia, opis ojca, dwóch matek i lekarki-psychiatry widzianych jego oczyma, jak również jego zamiłowanie do nieprzyzwoitego zachowania w kolejce podziemnej, jest pełne karykaturalnego humoru i dowcipu przekazywanego w zwiezłej formie językowej. Jest to chyba najlepsza z trzech opowieści i dla niej samej warto książkę przeczytać.

Opowieść trzecia „Niebo”, to historia Adama i Ewy wygnanych z raju, u schyłku życia. Kończy się śmiercią Ewy, która przeżyła Adama. I tu fantazja Peterkiewicza nie zawiodła. Obraz starzejącej się Ewy, odwiedzanej raz na rok przez Adama, popeł-

^{*} Inner Circle — Macmillan, 1966.

niającej kaziroctwo z synem Amo, broniącej swego domostwa przed małpami, które w końcu nim zawładnęły, jest obrazem daleko odbiegającym od naszych utartych wrażeń o pierwszych rodzicach. Jest to wydaje się, obraz zdeprawowanego rodzaju ludzkiego, nie umiejącego się bronić przed siłami natury, powoli odstępując jej wszystkie przywileje nadane w raju, a nie umiejąc utrzymać ich poza rajem. Nie brak tu mocnych efektów jak opis porodu, również silnych elementów seksualnych.

Trzeba dodać że książka jest nadzwyczaj ciekawie ilustrowana przez hinduskiego artystę F. N. Souza. Świetne czarno-białe rysunki spełniają nie tylko rolę ilustracji, ale również i interpretacji, tak że tekst i ilustracje tworzą jakby dopełniającą się całość.

W książce w której rządzą prawa poetyckiej wyobraźni trudno narzucić rygorystyczną interpretację. Można by przypuścić że jest to książka „prywatna”, w tym sensie, że jej autor odrzuca „przymusowe” komunikowanie się z czytelnikiem. Być może, chce po prostu zmusić czytelnika do skoków myśli i wyobraźni, krótko mówiąc, do pracy. Gdyby to były tylko trzy opowieści o zupełnie różnej tematyce i pisane różną stylistyką, można by je było rozważać na zupełnie innej płaszczyźnie i starać się dać im spoistą interpretację. W książce tej Peterkiewicz wykazał ogromną rozpiętość stylistyczną, od nadzwyczaj ciekawie ujętej *science fiction*, poprzez realizm do poetyckiej alegorii. Jednak sposób w jaki te opowieści zostały podane utrudnia odczytywanie znaczeń na płaszczyźnie intelektualnej, zachęca natomiast do odbioru znaczeń na podstawie emocjonalnej. Wydaje się, że nie jest to chyba rodzaj osobistej ekscentryczności, ale pewien rodzaj eksperymentu nad porządkiem i logiką wydarzeń. Możliwe, że założeniem autora jest wykazanie, iż natura ludzka, tkwiąca głęboko w przeszłości, poprzez niedorozwiniętą teraźniejszość prowadzi do zdegenerowanej przyszłości. Coleridge analizując wyobraźnię poetycką pisał, że „ta potęga przejawia się w równowadze lub pogodzeniu niezharmonizowanych cech... więcej niż zwyczajnego stanu emocji z więcej niż zwyczajnym porządkiem”.

Eksperyment ten byłby chyba bardziej udany gdyby zakończenia wszystkich trzech opowiadań nie „rozpływały się”. Niejasności, których w książce jest wiele, prowadzą do tego że czytelnik często zadaje sobie pytanie: co wiąże się z czym? Dlatego wydaje się, że autor przez zbytne obciążanie wyobraźni odbiorcy wypróbowuje jego cierpliwość do tego stopnia, że zbuntowany czytelnik może odrzucić eksperyment literacki „Inner Circle”.

Magdalena CZAJKOWSKA

Nadesłane nowości wydawnicze

- ŚW. TOMASZ Z AKWINU. *Suma Teologiczna*. T. 15. *Wiara i nadzieja* (2-2, qu. 1-22). Str. 326 i 4 nlb. Przełożył i objaśnieniami opatrzył o. Pius Bełch, O.P. (Nakład. Kat. Ośr. Wyd. „Veritas”, Londyn, październik 1966).
- HERMANOWICZ (J. ks.). *Chiny - Sybir - Moskwa*. Pamiętnik. Str. 290 i 6 nlb. Wspomnienia misjonarza z łagrow sowieckich. (Nakł. Kat. Ośr. Wyd. „Veritas”. Tom 68 serii czerwonej „Biblioteki Polskiej”, Londyn, sierpień 1966, cena 21 sh.).
- DZIĘCIOŁ (Witold). *Józef Flawiusz historyk żydowski*. Str. 215 i 1 nlb. Fotografie, szkice, przypisy bibliograficzne, indeks. (Nakł. Kat. Ośr. Wyd. „Veritas”. Tom IX serii zielonej „Biblioteki Polskiej”, Londyn, październik 1966, cena 27 sh.).
- LISIEWICZ (Teodozja). *Chleb. Powieść*. Str. 104. (Nakł. Kat. Ośr. Wyd. „Veritas”. Tom XX Biblioteki „Gazety Niedzielnej”, Londyn, cena 9 sh.).
- URBANOWICZ (Witold). *Początek jutra*. Str. 276 i 4 nlb. (Wyd. „Znak”, Kraków, grudzień 1966, cena 45 zł.).
- BARDECKI (Andrzej, ks.). *Kościół epoki dialogu*. Str. 362 i 2 nlb. (Wyd. „Znak”, Kraków, listopad 1966, cena 48 zł.).
- MIŁOSZ (Czesław). *Dolina Issy*. Wydanie drugie. Str. 263 i 1 nlb. Okładka i rysunki Jana Lebensteina. (Wyd. Oficyny Poetów i Malarzy, Londyn, 1966).
- GRABOWSKI (Zbigniew). *Rosa Mystica*. Szkice, essaye, opowiadania. Str. 189 i 3 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1966).
- POMIAN - POŻERSKA (Alicja). *Najłonowe skrzydła*. Poezje ilustrowane drzeworytami Stefana Mrożewskiego. Słowo wstępne napisał Leonidas Dudarew Ossetyński. Str. 233 i 7 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1965).
- GROBICKI (Aleksander). *Diamenty i aligatory*. Str. 141 i 1 nlb. (Nakładem autora i jego czytelników. Toronto, Kanada, 1966).
- DZIUBIŃSKI (Franciszek). *Pieśń o diunach*. (Songs of Dunes). Str. 72. (Nakładem Autora. Układ całości i skład ręczny Autora. Chicago, 1966).
- Szlakiem włóczęgów. 1921-1961*. Wydawnictwo pamiątkowe z okazji 40-tej rocznicy założenia Czarnej Trzynastki, wileńskiej drużyny harcerzy im. Zawiszy Czarnego. Str. 96. (Wyd. Włóczędzy Czarnej Trzynastki, Chicago, 1963).
- Polska Macierz Szkolna. Pomoc dzieciom polskim z Niemiec i Austrii. XV-lecie działalności*. Str. 30. (Londyn, 1966. Rok millenijny).
- List z Z.S.S.R. do Zachodu*. W przekładzie z rosyjskiego A. Jacewicza. Str. 48. (Wyd. nakładem Tłumacza w drukarni Kat. Ośr. Wyd. „Veritas”, Londyn).
- FABRE (Jean). *Considération sur le Gouvernement de Pologne et sur sa Réformation projetée*. Str. 953-1041; CCXVI-CCXLIV; 1733-1804. Extrait de Jean-Jacques Rousseau *Œuvres Complètes*. T. III. (Editions de la Pléiade, Paris, 1966).
- FABRE (Jean). *Jean-Jacques Rousseau et le prince de Conti*. Str. 7-48. (Extrait de „Annales de Jean-Jacques Rousseau, T. XXXVI, Genève, 1966).

- FABRE (Jean). *Allégorie et Symbolisme dans „Jacques le Fataliste”*. Str. 69-75. (Odbitka z „Europäische Aufklärung”, 1966. Wyd. Wilhelm Fink Verlag, München).
- EPSZTEIN (Léon). *L'Economie et la morale aux débuts du capitalisme industriel en France et en Grande-Bretagne*. Str. 355 i 5 nlb. Źródła i bibliografie. (T. 62 Etudes et Mémoires. Ecole Pratique des Hautes Etudes — VI^e section. Centre d'Etudes Economiques. Wyd. Librairie Armand Colin, Paris, 1966).
- Pologne-Hongrie 1956 ou „Le Printemps en Octobre”. Textes choisis et traduits sous la direction de Jean-Jacques MARIE et Balatz NAGY, présentés par Pierre BROUÉ. Str. 368. Wyd. EDI, Paris, 1966).
- ROTHSCHILD (Joseph). *Piłsudski's Coup d'État*. Str. 435 i 1 nlb. with Appendix, Biographical Register, Bibliography & Index. (Wyd. Columbia University Press, New York & London, 1966, cena 72 sh.).
- BROMKE (Adam). *Poland's Politics: Idealism vs. Realism*. Str. 316 i 4 nlb. with Notes, Bibliography, Index. (Wyd. Harvard University Press, Russian Research Center Studies 51, Cambridge, Mass, 1967. Cena \$ 9,95).
- DZIECIOŁ (Witold). *The Origins of Poland*. Str. 309 i 4 nlb. with maps, Bibliographical notes & Index. (Nakł. Kat. Ośr. Wyd. „Veritas”, Londyn, November, 1966, cena 42 sh.).
- KATKOV (George). *Russia 1917. The February Revolution*. Str. 489 i 1 nlb. with Maps, Bibliographical Notes, Glossary & Index. (Wyd. Longmans, Green & Co., Ltd., London, 1967, cena 63 sh.).
- Jurzykowski Millennium Awards 1963-1966. Str. 24. (Wyd. Alfred Jurzykowski Foundation, New York).
- DANIEL (Julij M. [Nikolaj Arzhak]). *L'Espiazione e altri racconti*. Str. 218 oraz Saggi di L. di Esse, L. A. De Mucci, Carlo Rizzi et Una nota biografica. Str. 22. (Wyd. Casa Editrice Bietti, Milano, 1966, cena 750 lirów).
- Catalogo della Mostra di Cimeli Copernicani organizzata dal Museo Copernicano ed astronomico dell'Osservatorio Astronomico di Roma. Dicembre 1966. (Millenario del Cristianesimo in Polonia). (Wyd. Accademia Nazionale dei Lincei — Villa della Farnesina, Roma. Str. 31 & 16 stron ilustracji, cena 400 lirów).
- DEDECIUS (Karl). *Letztes Geleit für Stanisław Jerzy Lec*. Str. 31 i 1 nlb. (Wyd. Carl Hanser Verlag, München, 1966).
- CZUGUJEW (Władimir). *Arion*. Str. 31. (Mono Press, London, 1964).
- GUMILEW (N.). *Sobranie sochinenij*. T. III. Str. 355. (V. Kamkin, Waszyngton, 1966).
- ANNIENKOW (Jurij). *Dniewnik moich wstrieč. t. II*. Str. 349. (Inter-Language Literary Associates, New York, 1966).
- WOROSZYLSKI (Wiktor). *I Ti biesz postati inidijanac*. Str. 196. Przekład Petar Vujicie. (Młado Pokolenie, Beograd, 1965).
- FILIPOWICZ (K.). *Provincijska Ljubav*. Str. 213. Przekład Petar Vujicie. (Sarajevo, 1966).
- SIRYJ (Josyp). *Opowidannia*. Str. 190. (Winnipeg, 1964).
- WOROPAJ (Ołeksza). *Zwyczaj naszoho narodu. Etnohraficznyj narys*. Str. 442. (Ukrajinske Wydawnictwo, 1966).
- JANIW (Wołodymyr). *Ukrainskyj Myrianyn w žytti Cerkwy, Spilnoty ta Ludstwa*. Str. 418. (Wyd. Ukr. Chryst. Ruchu, Paryż-Rzym, 1966).
- HAK (Anatolij). (Martyn) ZADEKA. *Na dwoch trybunach. Opowidannia ta fejletony*. Str. 318. (Ukrajński Wisti, Neu Ulm/Filadelfia, 1966).

Humor krajowy

Żyd z Polski wyemigrował do Stanów Zjednoczonych. Po przyjeździe rodzina wypytuje go jak to naprawdę jest w Polsce, czy rzeczywiście tak źle, jak niektórzy mówią. —

— Wicie, jest różnie — odpowiedział zapytany — ani tak źle, jak mówią niektórzy, ani tak dobrze, jak twierdzą inni. Po prostu Polacy rocznicę rewolucji październikowej obchodzą w listopadzie — i tak jest ze wszystkim.



Jak wiadomo w Warszawie jest sklep „Chinka” zaopatrzony w najróżniejsze wyroby i ozdoby chińskie. Niedawno była tam na sprzedaż sypialnia w cenie 25.000 złotych. Składała się ona z dwóch mat i portretu Mao Tse-tunga. (A propos — i to fakt autentyczny — Warszawiacy na wiadomość o rozpętaniu rewolucji kulturalnej w Chinach i niszczeniu dzieł sztuki, wykupili po wysokich cenach prawie wszystkie wyroby sztuki chińskiej znajdujące się w „Chince”).



W czasie demonstracji studentów chińskich przed ambasadą sowiecką w Warszawie przyglądający się temu Polacy krzyczeli także: Mało... Mało...



HUMOR SOWIECKI

Akademia poświęcona 50-cioleciu Rewolucji Październikowej. Prelegent po długim przemówieniu zwraca się do słuchaczy i mówi:

— A na zakończenie, drodzy towarzysze, chciałbym zacytować naszego wielkiego poetę, Majakowskiego, który napisał: „Mówimy Partia — a myślimy Lenin, Mówimy Lenin — a myślimy Partia!” — I tak przez 50 lat: co innego mówimy, a co innego myślimy...”



Jak wiadomo za czasów Chruszczowa nastąpił podział na komitety partyjne przemysłowe i rolnicze.

Pewnego dnia do partyjnego komitetu rolniczego zgłosił się chłop ze skargą na swoją żonę, która bardzo dotkliwie pobiła go *młotkiem*. Prosił władze o interwencję.

— Powiadacie, że *młotkiem* — zawołał sekretarz komitetu. — To nie do nas ze skargą. Gdyby *sierpem* to co innego, a tak to musicie iść naprzeciwko.



W ZSSR odkryto nowy pierwiastek chemiczny: KaPeZetEryn. Okres rozpadu — pięćdziesiąt lat.

Zebrała Zofia HERTZ

DATA	POLITYKA
16 <i>grudzień</i> 1966	Związek Sowiecki podnosi wydatki zbrojeniowe o 8%. Minister finansów, Garbuzow, oświadcza, że ma to „bezpośredni związek z agresywną polityką monopoli amerykańskich.
18 <i>grudzień</i> 1966	Ministerstwo Oświaty PRL zamknęło 4 seminaria duchowne i zażądało usunięcia dziekanów w dalszych 6 seminariach. Episkopat stwierdza, że jest to naruszenie uprawnień kościelnych i zapowiada skierowanie protestu do władz.
20 <i>grudzień</i> 1966	Przywódca lewicy francuskiej, Mitterrand, zawiera porozumienie z partią komunistyczną dotyczące współpracy w wyborach parlamentarnych.
24 <i>grudzień</i> 1966	Władze chińskie nakazują opuszczenie kraju korespondentom Tass'a, „Izwestii i „Komsomolskiej Prawdy”. Sowiety określają to jako akt bez precedensu w stosunkach między krajami socjalistycznymi.
28 <i>grudzień</i> 1966	Chiny przeprowadziły piątą z kolei doświadczalny wybuch atomowy.
30 <i>grudzień</i> 1966	Przewodniczący Komisji Sił Zbrojnych amerykańskiej Izby Reprezentantów, Mendel Rivers, oświadczył: „Zrównamy z ziemią Hanoi, jeśli to będzie konieczne”.
31 <i>grudzień</i> 1966	Brytyjski minister Spraw Zagranicznych, Brown, wysłał pisma do Waszyngtonu i Hanoi wzywając do nawiązania rozmów pokojowych.
1 <i>styczeń</i> 1967	Czechosłowacja wprowadza w życie pierwsze stadium reform gospodarczych, których celem jest decentralizacja i wprowadzenie pewnych elementów rynkowych do gospodarki planowej.

KULTURA I NAUKA

W siedzibie London School of Economics odbyła się w połowie grudnia konferencja okrągłego stołu pt. „Na progu drugiego tysiąclecia”. Konferencję zorganizowała Federacja Ruchów Demokratycznych. W obradach, które zagał R. Piłsudski, wzięło udział 40 osób.

W Kalifornii zmarł 65 letni Walt Disney twórca filmu rysunkowego.

Po roku milczenia teoretyczny organ partii w Czechosłowacji, „Nova Mysl”, odrzuca, jako niezgodne z teorią marksistowską, żądanie filozofa słowackiego J. Strinka by „zintegrowanej władzy przeciwstawić zintegrowaną krytykę”.

Nowe pismo bibliotekarskie „Solanus”, wydawane przez sekcję słowiańską bibliotek uniwersyteckich w Londynie, zamieszcza artykuł o Bibliotece Polskiej.

W Nowym Jorku odbył się 23 Zjazd Polsko-Amer. Stowarzyszenia Historycznego. Po raz pierwszy Stowarzyszenie nadało swe najwyższe odznaczenie, „nagrodę im. Haimana”, prof. O. Haleckiemu.

Radio Praga rozpoczyna nadawanie programu dla inteligencji, zatytułowanego „Klub zaangażowanego myślenia”.

Milovan Đilas, skazany w 1962 r. na 8 lat i 8 miesięcy więzienia, zostaje wypuszczony na wolność.

Z powodu trudności finansowych w Londynie przestaje się ukazywać emigracyjny miesięcznik literacki „Kontynenty”.

RÓŻNE

Komunistyczny rząd Słowenii podał się do dymisji po porażce w parlamencie krajowym.

Gen. R. Odzierzyński wybrany został do Rady Trzech, na miejsce śp. gen. T. Bora-Komorowskiego.

Względy polityczne leżą u podstaw cofnięcia subwencji Bibliotece Polskiej w Londynie — pisze „Daily Telegraph” powołując się na opinie emigracji polskiej.

A. Ciołkosz składa dymisję ze stanowiska Przewodniczącego Egzekutywy Zjednoczenia Narodowego.

B. poseł Budestagu A. Franzel, skazany na 15 lat więzienia za szpiegostwo, zostaje zwolniony na zasadzie wymiany i wyjeżdża do Czechosłowacji.

Kradzież obrazów z londyńskiej galerii Dulwich College wartości dwóch i pół miliona funtów. Galeria ta powstała z obrazów skupowanych przez Stanisława Augusta, które miały stanowić załączek galerii w Warszawie.

DATA

POLITYKA

- | DATA | POLITYKA |
|-----------------|---|
| 4 styczeń 1967 | Premier Północnego Wietnamu ogłasza 4 warunki rozwiązania problemu wietnamskiego, podkreślając że nie są to warunki wstępne rozmów pokojowych. |
| 5 styczeń 1967 | Delegacja Północnego Wietnamu oklaskiwała gorąco przemówienie sekretarza francuskiej partii komunistycznej, Waldeck-Rochet, gdy na Zjeździe partii w Paryżu wystąpił z ostrym atakiem na Chiny, „które utrudniają Sowietom niesienie pomocy Wietnamowi”. |
| 6 styczeń 1967 | Zmiany na stanowiskach pierwszych sekretarzy wojewódzkich: Paweł Wojaś z Opola zwolniony ze stanowiska. Jego miejsce zajmuje dotychczasowy pierwszy sekretarz woj. bydgoskiego, M. Miskiewicz. Pierwszym sekretarzem w Bydgoszczu zostaje Józef Majchrzak. |
| 8 styczeń 1967 | |
| 9 styczeń 1967 | Członkowie Politbiura sowieckiego odwiedzają ośrodki prowincjonalne wyjaśniając stanowisko partii wobec wydarzeń w Chinach. |
| 11 styczeń 1967 | Prezydent Johnson zwrócił się do Kongresu o uchwalenie nowych podatków na pokrycie rosnących kosztów wojny wietnamskiej. |
| 12 styczeń 1967 | Stany Zjednoczone i Związek Sowiecki uzgodniły projekt traktatu o nierozpowszechnianiu zbrojeń atomowych. |
| 16 styczeń 1967 | Premier brytyjski, Wilson, przybył do Rzymu rozpoczynając serię wizyt w stolicach europejskiej „Szóstki” celem zbadania możliwości przystąpienia W. Brytanii do Wspólnego Rynku. |
| 17 styczeń 1967 | Na zasadzie porozumienia amerykańsko-polskiego tegoroczna spłata pożyczki w wysokości 9 mil. dol. ma być wypłacona w złotych, które będą wydane w Polsce. Jest to — jak pisze prasa zachodnia — zasługą dyplomacji amb. Gronouskiego. |
| 18 styczeń 1967 | Brzeźniew, Kosygin i Podgorny przybywają niespodziewanie do Polski na tajne rozmowy z Gomułką, Cyrankiewiczem, Ochabem, Kliszką i Rapackim. Obecność delegacji sowieckiej K. Rusakowa, odpowiedzialnego za stosunki z rządzącymi partiami komunistycznymi wskazuje, zdaniem prasy, że poruszano zagadnienie Chin. |

KULTURA I NAUKA

K. Brandys, I. Newerly i R. Karst wystąpili z partii w związku ze sprawą L. Kołakowskiego.

„Prawda” ostrzega literatów i krytyków, by nie angażowali się w jednostronną krytykę Stalina.

Aresztowanie dwóch młodych pisarzy czeskich K. Zamecnika i J. Benesa wywołało protesty w prasie zachodniej i w kołach literackich.

W Moskwie pierwsza wystawa malarstwa abstrakcyjnego została zamknięta w godzinę po jej otwarciu.

„Literarni Noviny” donoszą o skasowaniu wyroków więzienia 5 pisarzom, skazanym w 1952 r. za przynależność do „Zielonej Międzynarodówki”. Są nimi: J. Knap, F. Krelina, B. Fucik, V. Prokupel i J. Langar.

RÓŻNE

55 letni Jack Ruby, zabójca Lee Oswalda zmarł w szpitalu więziennym w Dallas, Texas.

W Anglii zmarł wybitny malarz polski H. Gotlib w wieku lat 76.

Aktor Zbigniew Cybulski, odtwórca postaci Maćka w filmie „Popiół i Diament”, ginie w wypadku kolejowym we Wrocławiu.

W Metzu odbyło się spotkanie grupy polskich dziennikarzy emigracyjnych z dziennikarzami NRF. Spotkanie zorganizowała Action Européenne Fédéraliste.

Dyr. Arnold Szyfman, czołowa postać teatru polskiego, zmarł w Warszawie w wieku lat 84.

Amerykański Bank Importowo-eksportowy rozciąga gwarancje kredytowe na sprzedaż towarów amerykańskich do Polski, Bułgarii, Czechosłowacji i Węgier.

DATA	POLITYKA
23 styczeń 1967	Ministrowie finansów 5 krajów zachodnich wypowiedzieli się za obniżeniem bankowej stopy dyskontowej.
24 styczeń 1967	Prezydent Johnson postanawia trzymać w rezerwie sumę 375 milionów dolarów na wypadek gdyby Sowiety w dalszym ciągu rozbudowywały system anty-rakiet.
25 styczeń 1967	Węgry gotowe są do nawiązania stosunków dyplomatycznych z NRF — oświadczył po powrocie z Budapesztu wice-min. Spraw Zagranicznych Niemiec Zachodnich, Lahr.
26 styczeń 1967	Polska i Francja mają zgodne poglądy na wiele zagadnień europejskich i międzynarodowych — oświadczył min. Rapacki po przybyciu z wizytą oficjalną do Paryża.
29 styczeń 1967	Związek Sowiecki ostrzega rządy NRF, Stanów Zjednoczonych, W. Brytanii i Francji przed odradzaniem się „militaryzmu i rewanżyzmu w Niemczech Zachodnich”.
30 styczeń 1967	
31 styczeń 1967	Rumunia i Niemcy Zachodnie nawiązują stosunki dyplomatyczne.
1 luty 1967	Nadchodzą wiadomości o posiedzeniu Episkopatu i władz w sprawie seminariów duchownych, z udziałem biskupów Choromańskiego i Dąbrowskiego.
4 luty 1967	Sekretarz Generalny KPZS, Breżniew, przybywa nie spodziewanie na rozmowy do Pragi. Zdaniem prasy ma to związek z nową inicjatywą polityczną NRF.

KULTURA I NAUKA

Cała prasa rumuńska krytykuje doroczną wystawę malarstwa i rzeźby w Bukareszcie twierdząc, że zbyt wielu twórców ulega wpływom Zachodu.

W sporze między konserwatywnym „Oktjabrem” a bardziej liberalnym „Nowym Mirem”, „Prawda” po raz pierwszy popiera raczej „Nowy Mir”.

Apel Polskiej Rady Bibliotecznej o pomoc finansową ogłoszony w „Dzienniku Polskim” omawiają również londyńskie pisma niedzielne: „Sunday Times” i „Observer”.

Tegoroczną nagrodę Goncourtów otrzymała Edmonde Charles-Roux, a Le Grand Prix National des Lettres — Julian Green. Wielką nagrodę powieściową Akademii Francuskiej otrzymał F. Nourissier.

RÓŻNE

Niemiecki przemysł samochodowy zmniejsza, po raz pierwszy od zakończenia wojny, produkcję samochodów.

5 młodych Rosjan aresztowano w Moskwie za rozpowszechnianie „Białej Księgi” dotyczącej procesu Siniawskiego i Danieła.

3 astronauta amerykańscy V. Grissom, E. White i R. Chaffee spłonęli żywcem w czasie prób w kabinie kosmicznej Apollo.

110.000 osób ginie rocznie w wypadkach drogowych według Międzynarodowej Organizacji Zdrowia.

Papież Paweł VI przyjął na audiencji przewodniczącego prezydium Najwyższego Sowietu, Podgornego. Było to pierwsze spotkanie Papieża z głową państwa komunistycznego.

Legion Młodych Polek w Chicago zorganizował tradycyjny „Bal Amarantowy”, który odbył się w wielkiej sali balowej hotelu Hilton.

DATA

POLITYKA

4 luty 1967	Rumunia odrzuca krytykę Niemiec Wschodnich, dotyczącą nawiązania stosunków dyplomatycznych z NRF.
6 luty 1967	
7 luty 1967	W Warszawie obradują ministrowie Spraw Zagranicznych Układu Warszawskiego starając się uzgodnić wspólne stanowisko wobec nowej polityki NRF na Wschodzie.
8 luty 1967	Minister Spraw Zagranicznych z NRF, Brandt, omawia w Waszyngtonie problem ograniczenia zbrojeń atomowych i złagodzenie napięcia w Europie.
9 luty 1967	Premier sowiecki, Kosygin proponuje w czasie swej wizyty w W. Brytanii podpisanie anglo-sowieckiego traktatu przyjaźni i uzgadnianie planów gospodarczych i naukowo-technicznych.
10 luty 1967	Wszystkie wojska amerykańskie zostaną wycofane z Francji do 31 marca — oświadczył min. Couve de Murville.
12 luty 1967	Min. Rusk wyraził poparcie dla inicjatywy NRF wobec Europy Wschodniej, ale oświadczył, że takie sprawy jak przyszłość Berlina i zjednoczenie Niemiec nie mogą być rozwiązywane bez udziału St. Zjednoczonych.
14 luty 1967	W Bibliotece Narodowej w Madrycie odnaleziono 700-stronicowy manuskrypt Leonarda da Vinci ilustrowany rysunkami technicznymi.

KULTURA I NAUKA

Występ praskiego kwartetu smyczkowego im. Janacka w londyńskim Festival Hall spotkał się z wielkim uznaniem krytyków.

Telewizja BBC przygotowuje serię programów, których głównym tematem będzie motyw strachu w sztuce. Przedstawione zostaną sztuki: Anouilh'a, Durrenmatt'a Rattigan'a, Fry'a, Arbuzowa i Sko-
wrońskiego.

RÓŻNE

W sporze między Maltą a W. Brytanią, brytyjski Gubernator Malty wystąpił przeciwko rządowi brytyjskiemu.

Wyspa Tasmania objęta jest pożarem bushu.

Do rektoratu Uniwersytetu Warszawskiego wpłynął, podpisany przez 1036 studentów, protest przeciwko zmianom regulaminu uniwersyteckich komisji dyscyplinarnych, jak również przeciw oskarżeniu kilku studentów Uniwersytetu w związku ze sprawą prof. Kołakowskiego. Podpisani są poddawani presjom zarówno ze strony ZMS jak i władz uniwersyteckich. Komisja dyscyplinarna ma zebrać się 24 lutego.

Listy do Redakcji

Watertown, 29 stycznia 1967.

Szanowny Panie Redaktorze,

Do niezwykle ciekawej serii artykułów Bogusława Miedzińskiego „Wojna i Pokój” chciałbym dorzucić jedną uwagę. Wojna polsko-bolszewicka (nb. jedyna zwycięska wojna prowadzona przez nas od lat przeszło dwustu) zasługuje na specjalną uwagę choćby i z tego względu, że jest to jedyna wojna na większą skalę, którą przegrał reżym sowiecki w ciągu niemal pół wieku swego istnienia.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku,

M. K. DZIEWANOWSKI



Elmhurst, N.Y., 31. grudnia 1966.

Szanowny Panie Redaktorze,

W grudniowym numerze „Kultury” w moim artykule „Powieść o Kronice Galla” na str. 151 mylnie podano cyfrę dotyczącą upływu lat między napisaniem kroniki Galla a pojawieniem się Kadłubka.

Oдноśne zdanie w 14 wierszu od góry powinno brzmieć:

„Od tego czasu upłynęło przeszło 70 lat” (a nie 700, jak jest w druku).

Łączę wyrazy szacunku,

Wacław JĘDRZEJEWICZ



Glenrothes, 3 stycznia 1967.

Szanowny Panie Redaktorze,

Przeczytałem z wielkim zainteresowaniem artykuł „Antysemityzm” („Kultura” Nr 7/225-8/226) napisany przez p. S. Mroczkowskiego. Pokrywa się

on na ogół z moimi wiadomościami dotyczącymi tego tematu. Wydaje mi się, że p. S. M. przedstawił sprawę w swoim artykule trochę jednostronnie, ba, są nawet pewne nieścisłości. Np. napisał p. S. M.: „Żydzi, którzy w Polsce nigdy nie mieli dostępu do władzy...” Czyżby?!

Ogólnie wiadome jest, że prezesem Najwyższej Izby Kontroli był Żyd. Byli też Żydzi na wielu innych wysokich stanowiskach w administracji, sądownictwie, jak i w wojsku. Byli oczywiście na niższych szczeblach także.

Po zdaniu matury pracowałem w Wydziale Technicznym Magistratu, gdzie szefem wydziału był Żyd i jego zastępcą był także Żyd.

Dlaczego p. S. M. nie porusza i innych spraw wiążących się z antysemityzmem. Wspomina o tym że byli i tacy Polacy, którzy wsypywali Żydów. Wydaje mi się, że powinien dla prawdy historycznej przytoczyć jak to Żydzi wsypywali Polaków po wkroczeniu wojsk sowieckich w 1939 r. i jak te wojska witali. Oczywiście była to pewna kategoria Żydów, ale byli, i to dość liczni.

Gdy się mówi bezstronnie o antysemityzmie Polaków, powinno się coś powiedzieć o antypolskości Żydów. Żydzi zresztą wsypywali także innych Żydów również. A jak było w obozach koncentracyjnych czy w gettach, gdzie Żyd był czasem funkcyjnym, czy p. S. M. nie słyszał o tym.

Autor artykułu pominął także przyjęcie przez Polskę około 50 tysięcy Żydów z Niemiec w 1937 czy 1938.

Przed wojną działalność gospodarczo-społeczna Ukraińców w Małopolsce Wschodniej dała się niewątpliwie odczuć Żydom. W czasie wojny zaś działanie pewnych grup Ukraińców dało się szczególnie odczuć Żydom. Nie słyszałem jednak nigdy, by Ukraińcy byli tak oskarżani o antysemityzm jak Polacy.

Żydzi, po Kampanii Wrześniowej, nie opuszczali Polski by dalej walczyć o jej niepodległość zagranicą. Znane mi wyjątki mogę policzyć na palcach.

We Francji 1940 r. Żydzi stanowili ledwie zaznaczający się procent w oddziałach polskich.

Ciekawe są te wszystkie oskarżenia nas o antysemityzm, czyż by w ten sposób Żydzi usiłowali odwrócić uwagę od ich antypolskości?

Pozostaję z najwyższym szacunkiem,

J. J. KORABIEWSKI

P.S. Ogłoszenie tego listu spowoduje na pewno wpisanie mnie na listę antysemitów — nigdy nim nie byłem i nie będę.



Tel-Aviv, 27 grudnia 1966.

Drogi Panie Redaktorze,

W nrze 11/229 „Kultury”, str. 81, (w rubryce „Kultura i Nauka”, dział „Wydarzenia miesiąca”), w notatce o światowej premierze opery „Ameryka” zostało w dziwny sposób opuszczone imię i nazwisko kompozytora i autora libretta. Jest nim Roman Haubenstock-Ramati, rodem z Krakowa, absolwent gimnazjum ś. Jacka.

Z poważaniem,

Leo LIPSKI

Sydney, 8 stycznia 1967.

Drogi Panie Redaktorze!

W numerze 10/228 „Kultury” przeczytałem list p. Wiktora Sukiennickiego w sprawie profesora Petrażyckiego. Przez Redakcję mego najulubieńszego pisma chciałabym podziękować p. Sukiennickiemu za obronę naszego najulubieńszego profesora, który zawsze stał w obronie młodzieży, nawet rząd carski musiał się z nim liczyć. Największe audytoria uniwersytetu i Bestużewskich kursów nie mogły pomieścić chcących go słuchać.

Jakże biedna Polska, która go zniszczyła!...

Łączę serdeczne pozdrowienia Redakcji,

Janina PERKOWICZ,

słuchaczka w latach 1911-1913 na Bestużewskich kursach w Petersburgu.



Londyn, dn. 16 stycznia 1967.

Szanowny Panie Redaktorze:

Jest właściwością natury ludzkiej, a tym bardziej jak doświadczenie uczy, emigracyjnej, że łatwiej jest ganić niż oddawać sprawiedliwość, a co za tym idzie łatwiej jest przeszkadzać niż pomagać.

W numerze „Kultury” (styczeń/luty 1967) pan C. Woyno w artykule „Działalność POSK’u” i Londyńczyk w ustępie „Co po nas?” w słowach ogólnych, ale pochlebnych omawiają zamiary i osiągnięcia Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego. Nie mam zastrzeżeń przeciw orędowaniu POSK’owi, natomiast zastrzec się muszę przeciw uwydatnieniu zalet tej instytucji przez przedstawienie w ciemnych kolorach innych placówek kulturalnych czy społecznych, a w liczbie tej Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego. Według p. Woyno Rada i Zarząd Instytutu składa się w 100% z ludzi starych wiekiem, stojących w obliczu śmierci.

Według Londyńczyka zasłużeni starsi panowie zmuszeni są rozważać pozostawienie źródeł i dokumentów dotyczących określonego fragmentu naszej współczesnej historii „instytucji amerykańskiej” skoro „Instytut Sikorskiego” (sic!) walczy z trudnościami i być może za kilka lat nie będzie istniał”.

Dobrze życzę obu panom, ale nasuwa mi się staropolskie przysłowie „Dłużej klasztoru niż przeora”. W Wielkiej Brytanii i poza nią, na całym terenie powojennego uchodźstwa Instytut stał się główną skarbnicą źródeł archiwalnych, przekazanych mu przez instytucje i jednostki, a odnoszących się do okresu przedwojennego, działalności politycznej polskiej w czasie wojny i po niej. Ponadto posiada najcenniejszy bodaj w świecie wolnym obok Biblioteki Polskiej w Paryżu księgozbiór, liczący przeszło 70.000 tomów, w Glasgowie Bibliotekę Czasopism i Periodyków od 1939 r. po dzień dzisiejszy. Instytut jest żywym ośrodkiem wydawniczym, uprawia działalność społeczną i charytatywną. Nie otrzymuje żadnej subwencji brytyjskiej, opiera swój byt przede wszystkim na poparciu społeczeństwa polskiego. Poparcie to bynajmniej nie maleje, lecz rośnie. Od 1. maja 1966 ilość członków przyjaciół wzrosła o 240 osób, wynosiła pod koniec zeszłego roku 670 członków w tym 93 organizacje i instytucje. Wierzymy, że w roku bieżącym cyfra ta znacznie wzrośnie zapewniając Instytutowi byt i możliwość dalszej pracy.

Szczegółowe sprawozdanie z działalności Instytutu złożone zostało na Walnym Zebraniu 2 listopada 1966 i ogłoszone w obszernym streszczeniu w Dzienniku Polskim w dniu 10 stycznia 1967.

Edward RACZYŃSKI,
Prezes Zarządu Instytutu Polskiego.



Szanowny Panie Redaktorze!

Pozwolę sobie napisać kilka małych poprawek i wyjaśnień do artykułu Juliusza Mieroszewskiego na temat Chin, zamieszczonego w numerze 12/230. Pomijam sprawy polityczne i aktualne, które śledzę tylko na tyle, ile o nich czytam w bieżącej prasie i słyszę w komunikatach radiowych. Popularny tygodnik ilustrowany „Life” zamieścił ostatnio trzy długie artykuły z dobrze dobranymi ilustracjami (Sept. 23, 30 i Oct. 7 — wyd. dla USA). Miesięcznik „Current History” poświęcił Chinom dwa numery (9, 1965 i 9, 1966), a w każdym numerze można natrafić na recenzje nowych książek o Chinach. Kto ciekaw, niech tam zajrzy jeżeli nie ma pod ręką obszernej literatury.

1. DŁUGI MARSZ — prowadził osaczonych komunistów chińskich nie na północny wschód, lecz na północny zachód — z prowincji Kiangsi do prow. Szensi (czego nie można mieszać z prow. Szansi). Ściśle mówiąc marsz ten prowadził najpierw prosto na zachód w niedostępne góry w górnym biegu rzeki Jantse, potem prawie prosto na północ górami, a wreszcie, w końcowej fazie na północny wschód, do Yennan. Długość tego szlaku podają jedni na 6.000 mil, inni na mniej więcej 3 tysiące. Prosta linia między punktem wyjściowym a końcowym nie dochodzi nawet do tysiąca mil — szlaki górskie mogły być nawet dłuższe.

2. Mieroszewski podaje wiek chińskiej cywilizacji na dwa tysiące lat (str. 57). Tymczasem taki wyczyn jak CHIŃSKI MUR powstał za czasów cesarza Ch'in Shih-huang-ti, zmarłego w roku 210 przed Chrystusem. Konfucjusz żył mniej więcej w latach 551-479 przed Chrystusem. Arcydzieła chińskiej sztuki brązowniczej pochodzą z pierwszych wieków dyn. Chu (Chow), a więc około tysiąc lat przed naszą erą, a najstarsze zabytki pisma (na kościach używanych do wróżenia) są jeszcze starsze, mniej więcej 1500 lat przed Chrystusem. Dwa tysiące lat, to stanowczo za mało, a 3500 na pewno nie za dużo.

3. Kow-tow — w poprawniejszej transliteracji raczej „k'o t'ou” — dosłownie „stuknięcie głową” — czołobicie. Mieroszewski opisuje ten akt najgłębszej, czci — poprawnie: klęka się na dwa kolana, rozkładając obie dłonie szeroko i opierając je o ziemię bije się czołem aż do ziemi, zwykle na komendę mistrza ceremonii („jeden pokłon, drugi pokłon, trzeci pokłon”) powtarzając przyklęknięcie i pokłony trzy razy.

Nie była to jednak ceremonia „lennicza”, jak inwestytura w średnich wiekach w Europie, lecz *ogólnie* przyjęty znak uszanowania dla przedstawicieli władzy. Robili to też Chińczycy przed starszymi — z okazji życzeń noworocznych i przy wielu innych okazjach.

Autor jednej z najlepszych książek o Chinach, Lin Yu tang („My Country and My People” — kilka wydań w jęz. angielskim i w przekładach) pisze, że odrazą jaką mieli Europejczycy do tej formy uszanowania pochodzi z tego prostego powodu, że mają „twarde karki” — dla Chińczyka

było to coś tak naturalnego jak ukłon kapeluszem lub ucałowanie ręki. Nawet gdyby cesarze — zwłaszcza tak zamiłowani w ceremoniale jak ci z ostatniej dynastii — nie widzieli w zagranicznych ambasadorach „lenników”, to i tak trudno by im było pozwolić na złamanie protokołu, jakim byłyby na pewno wszelkie inne formy uszanowania. Co by powiedzieli dworzanie!

Ale jest prawdą, co Mieroszewski pisze, że Chiny uważały się za „Middle Kingdom”, za państwo położone w centrum świata i za jedyny naród cywilizowany.

W czasie ostatniej wojny spotkałem Francuza, który mi całkiem na serio tłumaczył, że w całym świecie cywilizowana jest tylko Europa, a w tej Europie — *que voulez-vous?* — tylko Francja, bo Niemcy to są *de sales Boches*, Włosi to „macaroni”, a reszta się nie liczy. Spędziłem więcej niż rok wśród Hiszpanów, którzy mi do znudzenia kładli w głowę, że to oni dokonali najwięcej „wielkich przedsięwzięć”, bo mieli Kolumba i innych „conquistadorów”, a ich galeria sztuki w Prado przewyższa wszystkie inne muzea razem wzięte... Niemcy są *über alles*, Anglicy śpiewali *rule, Britannia, rule*, Dostojewski sławił Moskwę jako prawdziwy Rzym, a pewien inny kraj uważa nawet, że sam Bóg jest jego obywatelem... Cesarz Japoński jest potomkiem jakiejś bogini, coż więc dziwnego, że cesarze chińscy przybrali sobie tytuł „Syn Nieba”, tworząc przez to swego rodzaju teokrację, nie jedyną w świecie.

Nie bierzmy tego wszystkiego zbyt tragicznie, a przynajmniej nie myślmy, że tylko Chiny myślały tak wiele o sobie. W „Carmen saeculare” Horacjusza jest zdanie, że słońce w całej swej podniebnej wędrówce nie zobaczy nic większego niż miasto Rzym: *Alme Sol... possis nihil urbe Roma visere maius*. A nie pamiętam już który rzymski pisarz i w jakim kontekście wyraził się dobitnie, że *patrius fumus extraneo igne luculentior...*

3. Czy to prawda, że w ciągu 2000 lat nikt nie upokorzył Chińczyków tak jak Rosjanie? Co powiedzieć o Mongołach, którzy zawojowali Chiny w trzynastym wieku i patrzyli na nich zgóry, odcięci od ludności murami pałaców i obozów wojskowych przez lat 88? Cudzoziemska, chociaż kulturalnie schińska dynastia mandżurska (1644-1911). Nie jedno powstanie organizowali Chińczycy, chcąc się tych obcokrajowców pozbyć — żeby wspomnieć tylko najokropniejsze z nich, tak zwane powstanie T'ai P'ing, które trwało 15 lat (1850-64), zrujnowało całe południowe Chiny i pochłonęło około 20 milionów ofiar, o ileż więcej niż jakkolwiek wojna domowa na świecie. Czy to nie wymowny protest przeciw upokorzeniu?

4. Czy Chińczycy naprawdę najbardziej nienawidzą Rosjan? Od końca XIX wieku najbardziej chyba nienawidzili Japończyków (zabór Korei, Formozy, koncesji po-niemieckich, zwłaszcza bazy Wei-hai-wei, Mandżurii, wreszcie najazd całych Chin w roku 1937...). O Rosji pisali nieliczni historycy. A od roku 1920 Związek Sowiecki miał w Chinach raczej bardzo dobrą prasę. Co zaś mówiono na tajnych zebraniach różnych centralnych komitetów, to inna rzecz i tu Mieroszewski może mieć słuszość.

5. W czasie „Powstania Bokserów” porządek w Pekinie zaprowadzały siły zbrojne nie tylko Rosji carskiej, ale kilku innych narodów (Japonia, Francja, Anglia, Ameryka i inne — komendantem naczelnym był Niemiec!), Chińczycy „pamiętali” tę krzywdę przede wszystkim tym krajom, które zachowały koczyska w kilku miastach (Tientsin, Szanghaj) i używały zdobytch wtedy wpływów, a więc nie tylko Rosjanom.

Z wyrazami szacunku,

W. S.

(Adres i nazwisko znane Redakcji)

Montreal, Que., 7. lutego 1967.

Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze „Kultury” na styczeń i luty br. w dziale Historia — czytałem artykuł p. Aleksandra Janty-Pończyńskiego pt. „Ucieczka z Więzienia”.

Tytuł artykułu, jak i jego treść dowodzą, że autora interesowała osoba mordercy, jego życie i ucieczka z więzienia, w której pomagały Sycylińskiemu pojedyncze osoby i jakieś nie określone bliżej grupy Ukraińskie i lewicowe, a może przez palce na ucieczkę patrzył — Wiedeń. Nie zainteresował się autor w swoim artykule problemem Polsko-Ukraińskim i powodem morderstwa.

W konsekwencji ograniczenia przez autora tematu, może go uznać za zbyt wielki, zapoznajemy się tylko z opowiadania mordercy o jego przeżyciach związanych z życiem w więzieniu i z ucieczką. Autor swojego naświetlenia i poglądu ani o mordercy, ani o mordzie dokonany nie daje. Także nie dają szerszego i dostatecznego naświetlenia o sprawie, wybrane przez autora cytaty z różnych, polskich i ukraińskich, dzienników z tego okresu.

Pan A. Janta w prowadzonej z Sycylińskim rozmowie, w pewnej chwili spytał o coś co nie było związane z ucieczką, a mianowicie dlaczego tyle razy strzelał. Nie wiem czy nie spytał także, dlaczego w ogóle strzelał, dlaczego mordu dokonał, a chyba to jest istotne w całej tej smutnej sprawie, a nie ucieczka z więzienia.

Z artykułu nie dowiadujemy się także, czy Sycyliński działał z własnej inicjatywy, czy też wykonywał to na życzenie, czy rozkaz, jakieś zakonspirowanej grupy Ukraińskiej, która chciała zgładzić śp. Andrzeja Potockiego dlatego, że był urzędnikiem znienawidzonej Austrii, czy dlatego, że namiestnikiem był Polak, czy też może powodem była jakaś wyrządzone przez Potockiego krzywda, osobiście przez niego, czy jako namiestnika Sycylińskiemu, jego rodzinie, czy też w ogóle Ukraińcom, czy Rusinom, jak ich wtedy jeszcze nazywano. Może wreszcie spowodowała jego czyn nienawiść do rodziny Potockich, która wiadomo, przez szereg stuleci związana była i działała na południowo-wschodnich kresach R.P., zwanych Ukrainą.

Wobec zainteresowania autora tylko Sycylińskim i jego ucieczką, nie ma w artykule wyjaśnienia, poza nazwiskiem, co reprezentował zamordowany namiestnik, a szkoda, bo dziś po przeszło pół wieku od dokonania mordu, mało kto wie, czy pamięta, że zamordowany śp. Andrzej Potocki pragnął szczerze współpracy Polsko-Ukraińskiej, tak jak i stronnictwo konserwatystów, którego był wybitnym członkiem. Podkreślić trzeba także, że Dr praw A. Potocki był żelaznego charakteru i wielkiej dobroci człowiekiem, głęboko wierzącym i praktykującym katolikiem i Polakiem służącym z oddaniem swojemu krajowi.

Z artykułu p. A. Janty można by także wnioskować, że wszyscy Ukraińcy uważali wtedy Sycylińskiego za swego bohatera narodowego. Tymczasem Metropolita Szeptycki, nie tylko wziął udział w pogrzebie Namiestnika, ale chyba dla zmanifestowania swoich uczuć, pojechał do Krzeszowic, gdzie ciało śp. Andrzeja Potockiego spoczęło, by za duszę zamordowanego Polaka przez Ukrainca Mszę św. odprawić.

Jeszcze jedna sprawa wymaga naświetlenia, to petycja do Cesarza wdowy po Namiestniku, z prośbą o ułaskawienie Sycylińskiego. Autor omawianego artykułu, opierając się na wspomnieniach A. Grzymały-Siedleckiego pisze, że wdowa, Krystyna z Tyszkiewiczów Potocka „niemal pod dyktando Bobrzyńskiego” a więc pod presją człowieka, który po jej mężu został namiestnikiem, pisała list do Cesarza, proszący o amnestię dla mordercy.

Trudno mi w to uwierzyć, by jakakolwiek presja była potrzebna, by list taki wdowa wystosowała. Dziś nie żyjąca już śp. Andrzejowa Potocka, była gorącą chrześcijanką, która stosowała w życiu wzorowo przykazania Boże i pamiętała na pewno, w ciężkiej bardzo chwili swego życia, o tym co w Modlitwie Pańskiej zawsze mówiła: „i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom”. Tym łatwiej jej pisanie prośby o amnestię przyszło, że znać musiała dobrze poglądy męża, który całym sercem pragnął zgody z Ukraińcami i nie chciałby na pewno, by jego śmierć zgodę tę utrudniała.

Mord dokonany przez Syczyńskiego na śp. Andrzeju Potockim był pierwszym tego rodzaju morderstwem politycznym dokonany przez Ukraińca na Polaku, ale niestety nie ostatnim, bo w okresie II R.P. padli zamordowani Hołówko, Pieracki i Sobiński. Zastanawiające jest, że wszyscy zamordowani, bez wyjątku byli głosicielami współpracy Polsko-Ukraińskiej i wszystko możliwe robili, by do tego doprowadzić. Ciekawe jest, komu na tym zależało, by tych właśnie ludzi zgładzić i kopać krwawy rów między obydwojema narodami, które w dobrze zrozumiałym wspólnym interesie w zgodzie żyć powinny.

Smutno jest stwierdzić, że Syczyński, morderca Andrzeja Potockiego, mimo upływu tylu lat od dokonania mordu, a także wobec tego co działo się w międzyczasie w Polsce i na Ukrainie i dalej jeszcze dzieje, nie zrozumiał błędu ciężkiego jaki popełnił i czuje się dalej bohaterem ukraińskim.

A. TARNOWSKI

PS. To o czym pisałem powyżej w związku ze śmiercią tragiczną śp. Andrzeja Potockiego, działo się gdy byłem kilkoletnim chłopcem, nie pamiętam więc szczegółów, ale wobec tego, że śp. Matka moja była bratanicą zamordowanego, a śp. Ojciec mój serdecznym jego przyjacielem i jednym z opiekunów osieroconych dzieci, pozostały mi wrażenia które uważałem, że powinienem przekazać tym którzy czytać mogli wspomniany artykuł p. Aleksandra Janty-Połączyńskiego.



Szanowny Panie Redaktorze!

W swoich „Kryzysach” (Nr 10/228 „Kultury”) awizując przemiany ustrojowe — spodziewane i dyskutowane w Stanach i zapowiadane w drodze ewolucji w Rosji p. Mieroszewski dokonuje nielada ekwilibristyki. „Rewolucja — pisze — jest również ewolucją pod warunkiem, że nie równa wszystkiego z ziemią i dokonuje się bezkrwawo”. Bagatela!

Rewolucje, nawet pałacowe, zawsze są połączone z rozlewem krwi. Są tym *ultima ratio*, aktem siły dla wyrzucenia sprawującego władzę i objęcia jej przez nowych ludzi zespolonych pewną ideą.

Zmiany ustrojowe narzucone przez okupanta po zwycięstwie, choć przewracają system i nie liczą ofiar, nie są rewolucją, bo są dokonane z zewnątrz. Oswobodzenie Polski przez Sowiety choć przyniosło zupełną zmianę ustroju i niewiele starych kamieni pozostawiło nietkniętych, też nie było rewolucją, bo Komitet Lubelski był agenturą, bez poparcia społeczeństwa.

Nie umiem sobie przypomnieć z historii żadnej rewolucji o przebiegu ewolucyjnym. Są to przeciwności.

Ewolucja to zmiany stopniowe, wolno się rozwijające, których poszczególne fazy mogą ująć obserwacji, gdy zgodnie sprawujący władzę i ją przejmujący współpracować będą liberalizując system.

Ponieważ sowiecki ustroj został zbudowany dla zapewnienia permanentnego kierowania państwem przez partię, a komunizm jest ideą, która wizję lepszego świata wciąż porwya omamionych i wciąga w służbę Rosji impe-

rialnej na szkodę państw i narodów wolnych, nie widzę, by ewolucja miała zmienić ZSSR.

Oszustwo i wyzysk obywateli, obietnice nie honorowane, równość sfalszowana, własność zniesiona, nowa warstwa wyniesiona na grzbietach niewolników — to było, choć nie w tej skali i doprowadziło do rozpaczy do przewrotu. Rewolucje zazwyczaj były przygotowywane. Niezdarne pucze Stieński Riazina, idealistyczne planowania Dekabrystów, rewolucja 1905 r., mimo czuwania aparatu bezpieczeństwa, miały szanse zawiązania spisków, wykonania zamachów, nastawienia umysłów społeczeństwa. Czy to jest możliwe obecnie? — czy to w Rosji da się osiągnąć, przy przewrotnym obaleniu etyki i umieszczeniu donosu na pierwszym miejscu cnót obywatela? Mimo wszystko z cierpień ogromnego narodu, coraz bardziej żądającego zmiany, zrodzi się rewolucja. Krwawa, jak zawsze przewroty azjatyckie. Tym razem nieprzygotowana.

Nie ma w Rosji dyskusji o zmianach ustrojowych. Nie ma różnych partii. Nie ma haseł, poza niezdnym — „chleba i wolności!”, na co zdobył się — o ileż bardziej zachodni Poznań i Warszawa.

Na popuszczenie wodzy z ręki nie pójdzie partia — nie będzie ewolucji, przyjdzie rewolucja, znieśie wszystko po drodze i co wystawi? kto stanie na czele i z jakim programem?

Na Amerykę nie można liczyć. Zagadnienie rozładowania napięć w Rosji przerasta ich wyobraźnię, a przekracza środki.

Nadchodzi zupełny krach praktycznego budowania szczęścia ludów na recepcie Marksa.

St. ZOCHOWSKI

OŚWIADCZENIE

W związku z moim opowiadaniem „Drugie zabicie psa”, drukowanym w *Kulturze*, pragnąlbym oświadczyć wszystkim zainteresowanym, iż użyte przeze mnie nazwisko AZDERBAL nie ma absolutnie nic wspólnego z p. Robertem Azderbalem, znanym mi osobiście, i ubolewać tylko mogę, iż pan Robert Azderbal wzięł to jako krytykę własnej osoby.

Pragnąlbym oświadczyć, iż pan Robert Azderbal jest człowiekiem honoru w skali dla mnie niepojętej; tytanem myśli w stosunku do którego ludzie tacy jak Freud, Kant i Spinoza są żałosnymi w swej nicości postaciami; pan Azderbal jest człowiekiem tak nieposzlakowanych zasad moralnych, iż w stosunku do niego Święty Franciszek z Assyżu musi się wydawać figurą równie nieciekawą jak sutenerzy z Placu Pigalle; Święty Józef osobnikiem nie mającym kwalifikacji nie tylko na Świętego ale nawet na stolarza. Jego odwagę osobistą chciałbym porównać do odwagi Aleksandra Wielkiego, Spartakusa i Ryszarda Lwie Serce; nie mogę sobie jednak nawet i na to pozwolić, gdyż byłoby to obelgą w stosunku do pana Azderbala. Potęgę jego umysłu chciałbym porównać do Einsteina, ale również i to wydaje mi się nie stanowiącym ekwiwalentu porównaniem. Tak jak Eliot powiedział, iż tylko myśl o popełnieniu samobójstwa pozwoliła przetrwać mu wiele ciężkich nocy, tak i ja pragnę oświadczyć, iż tylko świadomość o istnieniu mężów w skali pana Azderbala pozwala mi żyć dalej i wiązać z tym pewne nadzieje.

Jest on jedną z gwiazd ludzkości; gwiazd przewodnich; i jeśli nas wszystkich spotka kiedyś katastrofa — tylko sobie będziemy musieli wyrzucać iż nie wzięliśmy pod uwagę istnienia ludzi takich jak pan Robert Azderbal. Na tym kończę, pełen nienawiści w stosunku do niemocy własnego języka, którym chciałbym wyrazić czołobitność; chciałbym również prosić o przyjęcie moich najgłębszych przeprosin.

Marek HŁASKO

SOS recepta z kraju...

Dr. Karol Kratowski
Poznań, Półwiejska 1

Imię i nazwisko chorego A. Pomorski

Rp.

Librium @ 10 mg. 100 tabl. (ANGLIA)
Melleril @ 25 mg. 250 tabl. (ANGLIA)
Persantin 75 dragées (NIEMCY)
Flagyl @ 250 mg. 20 compr. (FRANCJA)
Trecator @ 250 mg. 40 compr. (FRANCJA)
Robaden 30 amp. (SZWAJCARIA)

Data Poznań 2.1.1966

Dr. Med. K. Kratowski
Podpis i stempel lekarza

*P.S. Doradzą załatwić
przez TAZAB w Londynie, bo
wykona natychmiast!*

22 ROLAND GARDENS, S.W.7 · FRE -3175

New York. 100 East 10th Str. N.Y.3.
Tel.: ALgonquin 4-4161.

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI
11 Gainsborough Road, London. W. 4. — Telefon: CHIswick 1860

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI.
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 387456.

Kanadyjski korespondent „Kultury”. Wacław IWANIUK.
263 Keewatin Ave., Toronto 12, Ont. Telefon: 481 93 63.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal 1^{er} Trimestre 1967.

PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Roman Krolikowski, 507 Westmorland, O'Reilly Road, Johannesburg	75 cent.	R 4,20	R 8,00
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires	7 sh. 9 d.	£ 2.02.00	£ 4.00.00
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) Pty Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	\$ A 1,00	\$ A 5,35	\$ A 10,00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönlaterngasse Nr 5/2. Stiege/Türe 14		145 szyl. a.	280 szyl. a.
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app. 57, Bruxelles 3, Nr konta pocztowego 7315-20	60,00 F. b.	300.000 F. b.	560.00 F. b.
BRAZYLIA : Seweryn A. Hartman, rua Barao de Itapetininga 221, s. 1203, Cx. Postal 30.750, Sao Paulo, tél. : 35-5584.			
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	5,00 F.	26,00 F.	50,00 F.
HOLANDIA : M. Barczyk, P. Calandlaan 50, Amsterdam; tél. : 1533311; Konto pocztowe Nr 617512.	4,00 Fl. h.	22,00 Fl. h.	41,00 Fl. h.
KANADA : M. Jaxa-Debicka, Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto 3, Ont, K. Krakowska, 2318 Hingston Ave. Montreal 28, Quebec, tél. : HU 8-5224; « ZWIAZKOWIEC », 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tél. : LE 1-2491; W. T. Drymmer, 31, Argyle Ave., Ottawa, Ont., Tél. : LE 33407.	1,50 \$ Can.	8,00 \$ Can.	13,00 \$ Can.
NIEMCY : St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1	4,50 DM	24,00 DM	46,00 DM
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss. ...	5,50 F.	28,00 F.	54,00 F.
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél. : 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	4,75 F. s.	25,00 F. s.	48,00 F. s.
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV Stockholm.	6,00 Kor.	30,00 Kor.	58,00 Kor.
U.S.A. : J. Bienkowski, 627 Tracy St. Utica, N.Y. 13502; S. Dobczynski, Alma Shipping Co., 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Dudarew-Ossetynski, 1603 N° Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046; S. Dziarczykowski, 2402 Cheremoya Av., Hollywood 46, Cal.; M.K. Dziewanowski, 41 Katherine Rd., Watertown, Mass. 02172; Adam J. Galinski, 1727 Mass Ave. N.W., Washington, D.C. 20036; T. Konopacki, 11839 Edenwater Dr., Lakewood, O. 44107, tel. LA-1-2305 ; Christian M. Kretowicz, 4477 Wilson Ave., San Diego, Cal., 92116; V.B. Kwast, 376, Wallingford Terr., Union, N.J. 07083; Polish Amer. Book Co 1136 Milwaukee Av., Chicago Ill. 60622; E. Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo N.Y. 14212; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia, Pa 19125; The Polish Book Importing Co, Inc., 156 Fifth Ave., New York, N.Y. 10010; R. J. Sas-Babczynski, 9530 East Rosecrans Ave, Bellflower, Cal. 90706, Tel. 867-1857; Jan Wojcik, 131, Gold Street, New Britain, Conn. 06053; Jan Zych, 5515 Tarnow, Detroit, Mich 48210, Tel. : 899-5165.	1,25 dol.	7,00 dol.	12,00 dol.
W. BRYTANIA : « Gryf » Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W. 11	7 sh. 9 d.	£ 2.02.00	£ 4.00.00
WŁOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27 Tél. : 75-67-241	700 L	3.600 L.	7.000 L.

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 2 F półrocznie i 4 F rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,35 F.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

**INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, 78-Mesnil-le-Roi,
par MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18.228-56.**

BIBLIOTEKI « KULTURY »

TOM CXL

SERIA - "ZESZYTY HISTORYCZNE"

ZESZYT JEDENASTY

Styczeń 1967

zawiera m.in. prace:

J. Weinstein: *Władysław Studnicki w świetle dokumentów hitlerowskich II wojny*

St. Kota: *Wspomnienia* (Cz. I.)

M. Młotka: *Samodzielna Brygada Strzelców Karpackich* (Cz. I.)

T. Nowackiego: *Ludowe wojsko polskie*

St. Lubodzieckiego: *Wspomnienia oficera drugiej grupy*

Str. 240.

Cena 15 F (dol. 3,00; 20/-)



TOM CXLI

OLGA SCHERER

W CZAS MOROWY

P o w i e ś ć

Str. 208.

Cena 13,50 F (dol. 3,00; 20/-)



TOM CXLII

ALICJA ZAWADZKA-WETZ

REFLEKSJE PEWNEGO ŻYCIA

W s p o m n i e n i a

Str. 240.

Cena egz. 16,50 (dol. 3,50; 24/6)

Cena 5,00 F